

NA PRAWO OD PiS

Ziemkiewicz ocenia szanse
Konfederacji na sukces



Duda czy Kidawa-Błońska
– Semka arbitrem w boju
o fotel prezydenta

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 44/346 28 PAŹDZIERNIKA–3 LISTOPADA 2019

**SZUKAJ
WYDANIA
Z FILMEM
FABULARNYM
„CHURCHILL”**



Pośmiertna zemsta lewicy
na generale Franco

AMAZONIA POCHŁANIA RZYM

Dziwny przebieg synodu w Watykanie

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 80 tys. egzemplarzy



Wydanie z filmem fabularnym „Churchill”



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 29,99 zł (w tym 8% VAT)

NR 44/346 28 PAŹDZIERNIKA–3 LISTOPADA 2019

Ziemkiewicz ocenia szanse
Konfederacji na sukces



**PORUSZAJĄCY LIST
MATKI DWOJGA
DZIECI: JAK OBRONIĆ
MALUCHY PRZED
SEKSEDUKACJĄ**

Pośmiertna zemsta lewicy
na generale Franco

AMAZONIA POCHŁANIA RZYM

Dziwny przebieg synodu w Watykanie

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 296430
9 772299 850017
Kolekt: 80 tys. egzemplarzy



GI NT RO WS KI X

JUBILEUSZOWY
KONCERT

**TEATR
POLSKI**

im. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

BILETY
DOSTĘPNE
W KASIE
TEATRU



PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONAT MEDIALNY:





W RZECZY SAMEJ

Więcej zysków czy strat?

PAWEŁ LISICKI

Mimo negatywnej opinii Państwowej Komisji Wyborczej Prawo i Sprawiedliwość podtrzymało swoją decyzję o złożeniu protestów wyborczych w kilku okręgach do Senatu. Ma do tego prawo. W sytuacji, kiedy różnica między zwyciężką a przegranym kandydatem jest niewielka i wynosi kilkaset głosów, w okręgu, w którym padło dużo głosów nieważnych, ponowne przeliczenie wydaje się działaniem naturalnym. Nie jest to ani zamach na demokrację, jak krzyczą opozycyjne media, ani koniec polskiego parlamentu.

Podobnie nie da się usprawiedliwić hysterii opozycji, która o możliwym zamachu na wolność wyborów zdążyła już zawiadomić OBWE, Komisję Wenecką, UE i Bóg raczy wiedzieć, kogo jeszcze. To, co robi PiS, to normalna forma dochodzenia swoich interesów. Co nie zmienia faktu, że ponowne sprawdzanie głosów musi przynieść rządzącej partii korzyści. Polityka i prawo nie zawsze idą w parze. Może być wręcz przeciwnie.

Owszem, zdominowany przez opozycję Senat na pewno bardzo utrudni sprawowanie władzy. Już

z pierwszych zapowiedzi widać, że druga, wyższa izba parlamentu miałaby odgrywać rolę swoistej antypisowskiej twierdzy. Nie tylko opóźniałaby ona procedury i wydłużałaby proces tworzenia prawa, lecz także, można sądzić, miałaby stać się swoistą przeciwwagą dla rządzącego Sejmem PiS. Perspektywa niezbyt przyjemna, tym bardziej że przez cztery lata partia Jarosława Kaczyńskiego nie musiała się z żadnymi opóźnieniami i kłopotami liczyć. Wszystko to, powtarzam, czyni ponowne sprawdzenie głosów czymś naturalnym.

Jednak jest i druga strona medalu. Otóż pytanie brzmi następująco: Jaki będzie efekt decyzji PiS? Zgodnie z pierwszym scenariuszem Sąd Najwyższy protesty odrzuci i uzna je za bezzasadne. Nie zmieni to układu sił politycznych w Senacie, wpłynąć może tylko w pewnym stopniu negatywnie na wizerunek rządzących. PiS wystąpi w roli tych, którzy nie potrafią przegrać. Nie jest to wielkie ryzyko i nie ono jest rozstrzygające. Gdyby na tym skończyła się obecna awantura – Sąd Najwyższy odrzuca protesty i nic się nie zmienia, jeśli chodzi o podział mandatów – wszyscy szybko o niej zapomną.

Paradoksalnie ciekawszy jest drugi wariant: Co będzie w sytuacji, w której Sąd Najwyższy uzna protesty i zarządzi ponowne wybory we wskazanych okręgach? Wyborcy są przekorni i bardzo, bardzo nie lubią, kiedy ich decyzja podawana jest w wątpliwość. Biorąc pod uwagę medialną przewagę opozycji, można sądzić, że większość elektoratu uzna, iż ponowne głosowanie jest wybiegiem i ma na celu zachowanie władzy przez PiS. Można się zatem spodziewać, że wskutek ponownych wyborów większa mobilizacja nastąpi po stronie przeciwników PiS – będą szli głosować, sądząc, że chce się im odebrać prawo. Negatywna emocja w tym przypadku będzie silnym czynnikiem mobilizującym i może przesądzić o zwycięstwie opozycji.

W takiej sytuacji ryzyko polityczne rośnie. Wprawdzie PiS co najwyżej straci i tak to, czego nie miał – mandat senatorski. Jednak, i to jest kluczowe, nie byłby to jedyny potencjalnie negatywny skutek powtórnego głosowania. Znacznie ważniejszy jest wpływ, który obecna awantura może wywrzeć na nadchodzące – raptem za siedem miesięcy – wybory prezydenckie. Jeśli opozycyjnym mediom uda się przekonać wyborców, że PiS gra nieczysto – a potwierdzeniem tego byłyby przegrane powtórzone na żądanie PiS wybory do Senatu – może się to skończyć źle dla Andrzeja Dudy. Pierwszą okazją, by ukarać PiS za domniemaną nieuczciwość, będą wybory prezydenckie i pierwszą ofiarą tych protestów stałby się obecny prezydent.

Nie wszystko, co legalne i naturalne, musi być politycznie skuteczne. Utrata większości w Senacie to kłopot, ale nie katastrofa. Czymś o wiele bardziej bolesnym byłoby dla PiS to, gdyby wskutek walki o większość w Senacie stracił prezydenturę. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 KRYSZTOF KRATUŁ
KOŚCIÓŁ O TWARZY AMAZONII?
Ideologia kontra tradycja

KRAJ

22 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM
BĘDZIEMY MIELI SENAT
Najważniejszy jest bój o prezydenturę

26 PIOTR SEMKA
KIDAWA-BŁOŃSKA, CZYLI PLATFORMA ROZEDRGANA

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA NA PRAWO

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CHŁOPI WCHODZĄ DO MIASTA

34 ŁUKASZ WARZECHA
NA LEWO W SEJMIE

36 ROZMOWA Z PEŁNOMOCNIKIEM
„STOP PEDOFILII”

SEKSEDUKACJA SPRZYJA ZACHOWANIOM PEDOFILSKIM

38 LIST DO REDAKCJI
ROZMAWIAMY Z NASZYMI DZIEĆMI

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
LATO PRZECHOWANE W SPIŻARNI

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CORAZ BLIŻEJ NIEBA
Historia przemysłu górskiego

46 ROZMOWA Z PROF. RAFAŁEM WIŚNIEWSKIM
EUFONIE I WIRTUALNA RZECZYWISTOŚĆ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM
PIS ZDEZERTEROWAŁ Z CYWILIZACYJNEGO FRONTU
Walczylimy z czworogłową koalicją

HISTORIA

60 PIOTR SEMKA
MIASTO Z MORZA, MIASTO Z PIASKU
Wystawa o Gdyni i Tel Awiwie

64 ROZMOWA Z ANDRZEJEM FLONTEM
CIEŃ HISTORII

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI
PIERWSZA OFIARA „IMPEACHMENTU”?
Trump ostrzega przed linczem

74 MAŁGORZATA WOŁCZYK
OPERACJA – PROFANACJA

76 PIOTR WŁOCZYK
MEKSYK NA KOLANACH

EKONOMIA

78 ROZMOWA ZE STEVE’EM BANNONEM
POLSKA MUSI WYBRAĆ
Z komunistami nie robi się interesów

82 JAKUB WOZIŃSKI
ORWELL W TWOIM PORTFELU

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
ODFUTRZENIE?
Ekologiczny problem mody

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. ARTUREM MAMCARZEM
SOLNICKA ZE STOŁU, KAWA NA STÓŁ
Medycyna stylu życia

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (58), ZYCHOWICZ, KOPER (66), WARZECHA (72), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj w rubryce prostujemy pomyłkę z ostatniego wydania. Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachęcamy do przysyłania korespondencji.

„Lex Rubik”, Kataryna, „DRz” 43/2019

W ostatnim numerze „Do Rzeczy” pani Katarzyna Sadło („Katarzyna”) w swoim felietonie „Lex Rubik” napisała: „Pozbawiona rzetelnej edukacji seksualnej młodzież będzie skazana na mądrości świeżo wybranej pani poseł Chorościńskiej, która uważa, że przed ciążą można się skutecznie zabezpieczyć... siusiając po stosunku”.

Otóż, pani Katarzyno, nigdy takie słowa nie padły z moich ust. Jest to fake news, którym zostałam zaatakowana tuż po wyborach parlamentarnych, w których uzyskałam mandat posła. Między innymi dziennikarka TOK FM Karolina Opolska, a także doradca Bronisława Komorowskiego – Krzysztof Król – udostępniali tweet nieznanego internauty ocierającego mnie i moją rodzinę.

Kłamiwa publikacja „Pudelka” z listopada 2017 r. i anonimowy tweet stały się materiałem źródłowym.

Na szczęście nie dla wszystkich, dziennikarz Samuel Pereira, rzetelnie podchodzący do swojej pracy, odnalazł, że ów cytat pochodzi z „Gazety Wyborczej”, a dokładnie z wywiadu

dla „Wysokich Obcasów” z ginekolog-endokrynolog dr Katarzyną Skórzewską, która twierdziła:

„Szybkie oddanie moczu zmniejsza szanse na zajście w ciążę, bo tuż po wytrysku spermy do pochwy plemniki w nasieniu są unieruchomione. I dopiero po mniej więcej pół godziny od wytrysku dochodzi do upłynięcia i rozluźnienia nasienia. Dzięki temu plemniki zaczynają się swobodnie przemieszczać. Niestety, w ciągu tych pierwszych 30 min po stosunku nie mogą się one przedostać do kanału szyjki macicy. Obrazowo przedstawiając sytuację, są one zawieszone w „kisielu”. Kobieta, gdy oddaje mocz, przy okazji pozbywa się prawie całego nasienia, bo wypływa ono z moczem”.

Nie jestem autorką tych słów.

Ci, którzy w brudnej walce politycznej używają takich metod, z pewnością znają słowa Goebbelsa, który twierdził, że trzeba kłamać, obrażać błotem przeciwników, a na pewno coś się przylepi.

Żałuję, że Pani dała się temu uwieść.

Czy nie ciekawsze dla dziennikarza jest poszukiwanie prawdy?

Z wyrazami szacunku

Dominika Chorościńska

Od autorki

Szanowna Pani Poseł, przepraszam za błędne przypisanie Pani wypowiedzi, której nie była Pani autorką.

Katarzyna



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysjak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdaniński**, **Joanna Bojanicz**,
Grzegorz Brzozowicz, **Slawomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminik**,
Dominika Coś (*Brusela*), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzelska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Irzieli**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Toraniński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
 Fotoedytacja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
 Okładka: **Abaca Press/Est News**

Adobe Stock, oprac. graf. JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wołyń – groby bez świeczek



PIOTR SEMKA

Jak trudno ustalić imiona wszystkich tych, co zginęli w walce z władzą nieludzką dane oficjalne pomniejszają ich liczbę raz jeszcze bezliście dziesiątkując poległych [...]

a przecież w tych sprawach konieczna jest akuratażność nie wolno się pomylić nawet o jednego jesteśmy mimo wszystko stróżami naszych braci [...]

musimy zatem wiedzieć policzyć dokładnie zawołać po imieniu opatrzyć na drogę [...]

Te słowa Zbigniewa Herberta z wiersza „Pan Cogito o potrzebie ścisłości” powtarzałyśmy, myśląc o „wszystkich tych, co zginęli w walce z władzą nieludzką” – czerwoną lub brunatną.

Gdzieś na dalszym planie były ofiary rzezi wołyńskiej. Zginęli od władzy dowódców UPA – wistunów, buławnych, sotników – bo tak brzmiały nazwy stopni w oddziałach walczących o Ukrainę od „Dunajca po Kaukaz” pod czarnoczerwonymi proporcami.

Władze Ukrainy pod rządami nowego prezydenta Wołodymyra Zełenskiego zniosły już moratorium na poszukiwania polskich ofiar z okresu II wojny światowej. Wiceminister spraw zagranicznych Ukrainy Wasyl Bodnar oświadczył, że Ukraina pozytywnie odpowiedziała na wniosek Polski o pozwolenie na wznowienie poszukiwań i ekshumacji polskich ofiar konfliktów, które pogrzebane są na terytorium ukraińskim.

Przez dwa lata polscy badacze nie mogli zrobić nic. Teraz najważniejsze jest uzyskanie pozwoleń na prace w urzędach władz lokalnych. Oby nie powtórzyła się już wywołująca wiele krwi praktyka – deklaracji o woli współpracy w rozmowach na górze i cichych utrudnień „na dole”.

Nie wiemy, ile jeszcze badacze IPN znajdą ofiar mniejszych i większych mordów. Tych, których wrzucono do ziemi bez pochówku po chrześcijańsku. Bez mogiły i bez świeczki w zaduszny dzień. Musimy ich szukać i musimy ich liczyć:

w tych sprawach konieczna jest akuratażność nie wolno się pomylić nawet o jednego. ©

SĘDZIA ŚMIAŁ SIĘ PO WYROKU W SPRAWIE REPRYWATYZACJI KAMIENICY JOLANTY BRZESKIEJ

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił decyzję komisji reprywatyzacyjnej w sprawie kamienicy przy ul. Nabełaka 9 w stolicy oraz w sprawach budynków przy ul. Mokotowskiej i ul. Skaryszewskiej. W nieruchomości przy ul. Nabełaka mieszkała znana działaczka ruchu lokatorskiego Joanna Brzeska. Była ostatnią osobą przebywającą w kamienicy, którą przejął handlarz roszczeniami Marek M. W 2011 r. zginęła zamordowana w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach – zginęła, a potem jej spalone ciało znalazł spacerowicz. Podczas wydawania orzeczenia WSA z sali wyszła córka Joanny Brzeskiej – Magda. Napisała potem w Internecie, że usłyszała: „Proszę opuścić salę”; a jej wyjście rozśmieszyło sędziego. Wice-minister sprawiedliwości zamieścił w sieci nagranie wideo z tego zdarzenia. Widać na nim, jak sędzia Dariusz Pierogowicz śmieje się, gdy kobieta postanawia opuścić salę. „Śmianie się ze mnie jest śmianiem się z ludzi przeżywających tragedię, śmianiem się ze śmierci mojej mamy” – napisała Brzeska. (luz) ©

Z wielkim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Andrzeja Heidricha

Autora polskich banknotów, wybitnego projektanta i grafika,
Wielkiego Mistrza małej formy.

Przez ponad 50 lat współpracy z Narodowym Bankiem Polskim Andrzej Heidrich projektował banknoty powszechnego obiegu i banknoty kolekcjonerskie, w tym obecne banknoty z serii „Władcy polscy”. Andrzej Heidrich był autorem banknotu kolekcjonerskiego „100. rocznica utworzenia Legionów Polskich” z wizerunkiem marszałka Józefa Piłsudskiego, uznanego w 2015 roku za najlepszy banknot kolekcjonerski świata.

Adam Glapiński, Prezes Narodowego Banku Polskiego
Członkowie Zarządu Narodowego Banku Polskiego
Pracownicy Narodowego Banku Polskiego

XII edycja konkursu „Książka Historyczna Roku” unieważniona

Najnowsza książka redaktora naczelnego miesięcznika „Historia Do Rzeczy” i wicenaczelnego tygodnika „Do Rzeczy” była nominowana w konkursie „Książka Historyczna Roku” w kategorii publikacja popularnonaukowa. Głosowanie miało trwać do 31 października, jednak 24 października na stronie internetowej organizatorów konkursu (do których należą: TVP, Polskie Radio, IPN, Narodowe Centrum Kultury) pojawił się komunikat o wycofaniu „Wołynia zdradzonego” z krótkim wyjaśnieniem, że decyzja jest zgodna z §7 pkt 3 regulaminu konkursu mówiącym, że „organizatorzy mogą odmówić przyjęcia książek lub wycofać je z Konkursu, jeżeli zostaną zidentyfikowane uchybienia wobec niniejszego Regulaminu”.

Instytut Pamięci Narodowej w oficjalnym komunikacie oświadczył jednak, że decyzja o wycofaniu książki Piotra Zychowicza nie była uzgadniana z władzami IPN.

„NIEBYWAŁY SKANDAL”

Sam Zychowicz ocenił, że sprawa jest „niebywałym skandalem”. Dziennikarz podkreślił, że jego książka została usunięta z konkursu bez wiedzy jury. „Prowadziłem w głosowaniu Czytelników. Wszyscy zostaliśmy oszukani. Posunięto się do obrzydliwych metod, żebym tylko nie wygrał” – napisał Zychowicz.

Sprawa wywołała falę komentarzy. Swoje stanowisko opublikował m.in. dyrektor Wojskowego Biura Historycznego dr hab. Sławomir



FOT. MARIUSZ GĄCZYŃSKI/EST NEWS

Po tym, jak książka Piotra Zychowicza „Wołyni zdradzeni” została usunięta z konkursu „Książka Historyczna Roku”, zdecydowano o unieważnieniu tegorocznej edycji Nagrody im. Oskara Haleckiego. Profesor Sławomir Cenckiewicz oraz prof. Antoni Dudek ogłosili, że rezygnują z członkostwa w jury

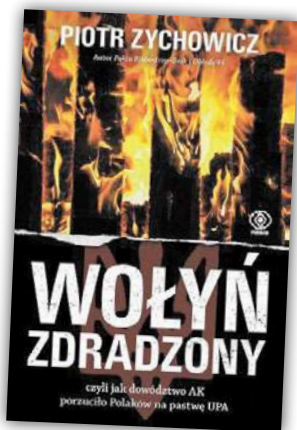
Cenckiewicz, przekonując, że tegoroczna edycja konkursu powinna zostać anulowana. Historyk ponadto przekazał, że rezygnuje z członkostwa w jury konkursowym.

Głos zabrał również inny członek jury konkursowego, publicysta „Do Rzeczy” Piotr Semka. „Ostrzegałem w roz-

mowach z innymi członkami kolegium, że skoro książka Zychowicza prowadzi w rankingu, to jej wycofanie wywoła skandal i nagłośni ją” – napisał w oświadczeniu publicysta „Do Rzeczy”.

LIST OTWARTY

List otwarty w sprawie wycofania książki Zychowicza wystosował zasiadający w jury konkursu prof. Andrzej Nowak. „Pierwszy raz spotykam się z interwencją zewnętrzną wobec Jury i wobec Czytelników, która ma pozbawić nas możliwości wyrażenia swojej opinii o książce zgłoszonej zgodnie z zasadami do konkursu” – napisał historyk. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego podkreślił, że decyzję o wycofaniu książki Zychowicza ocenia nad wyraz krytycznie,



i zaapelował do organizatorów konkursu o wycofanie się z „nieprzemyślanej decyzji”.

List otwarty opublikował również publicysta „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha, który podkreślił, że decyzja o wycofaniu książki zapadła „wbrew woli jury konkursu, bez dyskusji pomiędzy jurorami reprezentującymi różne instytucje, na samym jego finiszu, kiedy trwało jeszcze głosowanie internetowe”. Pod listem wzywającym organizatorów do anulowania konkursu podpisało się wielu naukowców i dziennikarzy, m.in. prof. Sławomir Cenckiewicz, dr Łukasz Jasina, Marcin Makowski, Michał Wójcik, Matthew Tyrmand, Bartłomiej Radziejewski, Andrzej Arseniuk, historyk, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski oraz Rafał A. Ziemkiewicz.

DECYZJA O UNIEWAŻNIENIU

W piątek zasiadający w jury konkursu prof. Antoni Dudek poinformował o unieważnieniu tegorocznej edycji konkursu. Historyk jednocześnie przekazał, że ma zamiar opuścić jury konkursu. „Niestety obawiam się, że to koniec tej niegdyś szanowanej nagrody” – podsumował sprawę Piotr Zychowicz.

W oficjalnym komunikacie Telewizja Polska przekazała, że decyzja o unieważnieniu tegorocznej edycji została podjęta z innymi organizatorami konkursu. – Decyzja jest podyktowana troską o wiarygodność i prestiż Nagrody – zapewnia TVP. ©©

Jan Fiedorczuk



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Behawior Radosława

Na łamach „Polityki” (przepraszam, że znowu, ale szacowny kiedyś tygodnik stał się ostatnio głównym źródłem antypisowskiego LOL-kontentu) eurodeputowany PO Radosław Sikorski, były minister w rządach PiS i były człowiek roku „Gazety Polskiej”, przedstawił plan odebrania władzy Kaczyńskiemu. „Obóz demokratyczny” powinien kupić Jarosława Gowina, oferując mu za przejście wraz ze swymi posłami do PO urząd premiera. Tak powstałaby większość przeciw PiS – od Lewicy do Konfederacji.

Nic nie wskazuje na to, żeby były minister żartował, „Polityka” też nie zamieszcza tej propozycji w rubryce satyrycznej. Fantastycznie komponuje się ona z falą prewencyjnego oburzenia, że PiS będzie próbował kupować senatorów opozycji różnymi

intratnymi stanowiskami (jeden twierdzi, że proponowano mu stanowisko ministra zdrowia, ale oparł się pokusie. Myślę, że już propozycja kopania dołów pod szambo byłaby bardziej atrakcyjna).

I świetnie mieści się w behawiorze politycznym i samego Sikorskiego, i całej PO, do której przecież wszyscy przyszli skądś, a wielu, tak jak Sikorski, wprost na wysokie stanowiska zaoferowane im w rozliczeniu kosztów „transferu”. Świetnie też mieści się w strategii komunikacyjnej PO, polegającej na testowaniu stopnia złobotomizowania jej „lemingów” poprzez stałe emitowanie przekazów wzajemnie sprzecznych.

Ogłaszamy, że protesty wyborcze to koniec demokracji i faszyzm, po czym sami zgłaszamy protesty wyborcze, ogłaszamy, że „500+” to patologia

i greckie bankructwo, obiecując, że nie tylko tę patologię utrzymamy, ale nawet rozdamy jeszcze więcej. Bijemy w dzwony na trwogę i dmiemy w surmy, że PiS planuje wielką „korupcję polityczną”, a jednocześnie wchodzi Radio... I przypomina, z jedną modyfikacją, zresztą obelżywą dla Jarosława Gowina osobiście, stary pomysł swego politycznego mentora, Romana Giertycha, który chciał kiedyś (kto pamięta?) zmontować koalicyjny antypisowski rząd swój, Leppera, Tuska i Millera z prokuratorem Kaczmarkiem na czele.

Wtedy ten światły plan upadł z powodu Tuska, który wołał wcześniejsze wybory. Część mojej duszy (ta od szyderstw i jajcowania) żałuje, że i tym razem upadnie, bo taki gabinet dziwoląg to byłby naprawdę świetny temat dla kpiarzy. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Nowa twarz lewicy

Naprzekonywali się, oj, naprzekonywali przed wyborami do samorządów, Parlamentu Europejskiego i Sejmu politycy obozu skupionego wokół SLD, że dzisiejsza Lewica nie ma nic wspólnego z przestępczą PZPR i ze zbrodniami ustroju służnie minionego. A tuż po wyborach szef SLD Włodzimierz Czarzasty, mentalnie cały w czerwieni, jakby nigdy nic zakomunikował w wiadzie dla RMF FM, że... w Polsce nie było komunizmu. Ot tak, od niechcenia, napluł na groby ludzi zamordowanych, zakatowanych przez siepaczy komunistycznego reżimu, także na grób ks. Jerzego

Popiełuszki, perorując, że niezłomnego kapłana zabili bandyci.

Retoryka Czarzastego to nic innego, jak tylko powielenie opowieści Goebbelsa stanu wojennego – Jerzego Urbana, który w „Dzienniku Telewizyjnym” w 1984 r. przekonywał, iż „z porwaniem ks. Popiełuszki władze nie mają nic wspólnego, są nam obce i obrzydliwe takie metody”. Tego samego Urbana setki młodych miłośników lewicy fetowało przed miesiącem na imprezie w warszawskim klubie Iskra.

Przyzwoitemu człowiekowi nie przyszłoby do głowy, że można, jak to zrobił Czarzasty, usprawiedliwiać PRL-owskie władze ani też że moż-

na fetować Urbana, gdyby nie to, iż zielone światło takim zachowaniom daje największa partia opozycyjna. Jak? Wprowadzając do PE dawnych komunistycznych aparaczyków albo – jak to zrobił Schetyna, były działacz antykomunistycznego podziemia, relatywizując mord na ks. Jerzym – porównując tę zbrodnię z samobójczą śmiercią chorego na depresję Szarego Człowieka.

Można? Chcąc być uczciwym intelektualnie i emocjonalnie, nie można, a jednak – jak się okazuje – można. Ku chwale lewicy, zza której nowego oblicza niepokojąco wychyla się paskudna morda czerwonego reżimu. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O uszczęśliwianiu na siłę

Obóz powszechnego, zrównoważonego postępu, mimo licznych fatalnych doświadczeń, nadal żyje przekonaniem, że wystarczy ludziom dać się napić z krynicy postępowej mądrości, podsypać trochę groszem i ci natychmiast się zreformują, zmienia poglądy, a nawet styl życia.

W Rzymie postępowcy za pieniądze Unii Europejskiej i władz miejskich postanowili zreformować oraz ucivilizować Cyganów. Dwa lata temu pani burmistrz Virginia Raggi z wielką pompą ogłosiła wdrożenie specjalnego programu, dzięki któremu 4,5 tys. nomadów z wozów kolorowych, zaparkowanych w obozowiskach na peryferiach Rzymu, przeniesie się do mieszkań. Program przewidywał 800 euro dla rodziny co miesiąc przez trzy lata na zagospodarowanie i pomoc w opłacaniu czynszu.

A w dodatku 5 tys. euro jednorazowej premii, gdy głowa rodziny podejmie regularną, legalną pracę.

Wydałoby się – warunki marzenie. Też w tym sensie, że w Italii wszyscy poza Cyganami mogą o takich wyłącznie pomarzyć. I co? I nic. Z raportu, który został wysłany z Rzymu do Brukseli, wynika, że program poniósł klęskę. Z jego dobrodziejstw skorzystało zaledwie 10 proc. romskich rodzin. Wolą wozy kolorowe i pracę dorywczą. Informujący o tym dziennik „La Verità” wyznaje, że poprawność polityczna nie pozwala napisać, o jaką pracę dorywczą na ogół chodzi, ale wyjaśnia, że to głównie zajęcia nocne, w ciszy, wymagające umiejętności ślusarskich.

Mało tego. W ramach ambitnego programu wydano kilka milionów euro, by zachęcić cygańskich rodziców do wysyłania Cyganiątek do szkoły. Nie zmieniło się jednak nic. Połowa cygańskich dzieci nadal do szkoły nie chodzi w ogóle, a pośród drugiej połowy odsetek absencji wynosi 85 proc.

Gdy program ruszał, kilku rozsądnych ludzi alarmowało, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, że lepiej byłoby przeznaczyć je na pomoc tym, którzy z niej naprawdę skorzystają. Naturalnie zostali natychmiast oskarżeni o galopujący rasizm. Nie na darmo ulubioną towarzyszką zideologizowanej głupoty jest agresja. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Hołd Schetyny

Gdyby ktoś chciał znaleźć podręcznikowy przykład porównywania rzeczy nieporównywalnych, nie musi sięgać do podręczników. Czasami wystarczy Twitter, a konkretnie jeden wpis lidera PO. „Dziś 35. rocznica śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki. I 2. rocznica śmierci Piotra Szczęsnego – »Szarego Człowieka«. Obaj starali się poruszyć nasze sumienia w czasach ciężkich. Składamy Im hołd” – stwierdził Grzegorz Schetyna.

Ponieważ tweet spotkał się z szeroką falą krytyki, siłą rzeczy musieli się też znaleźć apologety Schetyny. „Nie sądziłem, że oddanie hołdu tragicznie zmarłemu może wzbudzić oburzenie. Prawda jest taka, że gdyby śp. Piotr Szczęśny podpalił się za czasów PO i zostawił oskarżycielski list wobec rządów Tuska, przez środowisko PiS zostałby uznany za bojownika walki z patologiami złej władzy” – przekonywał Jacek Nizinkiewicz. „Pomijając kwestię celowego obniżania rangi męczeństwa ks. Jerzego – dwóch ludzi się podpaliło za czasów Tuska w protestie przeciwko nadużyciom, o które go oskarżali. I PiS nie zrobił żadnych hienich tańców” – zauważył jednak Rafał A. Ziemkiewicz.

Osób, które co nieco pamiętają z ostatniej dekady, znalazło się na szczęście więcej. „Skoro – jak twierdzi poseł Myrcha – pan Grzegorz chciał przypomnieć wszystkie rocznice, to ciekawe, dlaczego pominął 9. rocznicę śmierci Marka Rosiaka, zamordowanego z zimną krwią w biurze PiS przez członka PO” – napisał Marcin Kędryna. Do jego słów można jeszcze dopowiedzieć, że choć Szczęśny podpalił się 19, to zmarł 29 października.

I kiedy człowiek myśli, że już nikt nie odważy się tego bronić, na ratunek liderowi opozycji zawsze ruszy ostatni wierny. „Różni głupcy nie rozumieją porównania dwóch wydarzeń – rocznicy śmierci ks. Popiełuszki i samospalenia Piotra Szczęsnego – bo widzą wszystko oddzielnie: »że dom... że Staszek... że koń... że drzewo...«. A przecież nie porównuje się zbrodni z samobójstwem, tylko postawy wobec zła” – przekonywał Przemysław Szubartowicz. „Na miejscu Grzegorza Schetyny napisałbym kiedyś 2+2=5 i poczękał na wpis redaktora Szubartowicza. Oj, dostałoby się głupcom i matematycznym ignorantom” – podsumował celnie Jacek Prusinowski. Idę o zakład, że kiedyś i tego dnia doczekamy. ©©







HONGKONG: CIĘŻKIE WALKI NA ULICACH

Mimo zakazu demonstracji tysiące protestujących wyszło w ubiegłym tygodniu na ulice Hongkongu. Antyrządowych aktywistów rozwścieczyły ataki na działaczy prodemokratycznych, w tym na przywódcę Obywatelskiego Frontu Praw Człowieka Jimmy'ego Shama. Został napadnięty przez niezidentyfikowanych sprawców, którzy bili go młotkami w głowę.

„Nieznani sprawcy” ugodzili również nożem nastolatka, który

rozdawał ulotki nawołujące do kontynuowania protestów.

Trwających od czerwca demonstracji, które w ramach oporu wobec projektu ustawy ws. ekstradycji, nie zakończyła nawet oficjalna decyzja parlamentu Hongkongu o wycofaniu się z kontrowersyjnego projektu ustawy.

Podczas starć policja używa wobec demonstrantów m.in. gazu łzawiącego, radykalni protestujący rzucają z kolei w policjantów koktajlami Mołotowa. **(jap)** ©©

JAK TRWOGA, TO DO PAPIEŻA

Modelka Anja Rubik, która ostatnio zajmuje się głównie edukacją seksualną Polaków, postanowiła zwrócić się o pomoc w swoim przedsięwzięciu do samego papieża Franciszka. – Jako SexedPL zachęcamy wszystkich wierzących i niewierzących, którym zależy na edukacji, by wzięli udział w akcji pisania wiadomości do Franciszka z prośbą, by uświadomił i wyedukował polskich polityków na temat edukacji seksualnej i tego, jak bardzo jest nam potrzebna – apeluje Rubik. Widać uznała, że Polacy są tak oporni na jej seksedukację, że bez interwencji z góry się po prostu nie uda. Zaryzykujemy tezę, że z interwencją też się nie uda. Na szczęście!



FOT. JANEK SKARZYŃSKI/PIAST NEWS

PALUSZEK I GŁÓWKA

Tymczasem aktorkę Maję Ostaszewską spotkało straszne nieszczęście. Niedawno uczestniczyła w rozdaniu nagród dla niepokornych twórców filmowych na 17. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Tofifest w Toruniu. Została tam wyróżniona nagrodą Złotego Anioła. Przed uroczystą galą doszło jednak do pewnego wypadku. W pokoju hotelowym aktorka tak energicznie kopnęła w krzesło, że złamała palec u nogi. Odbierając nagrodę z obolałą nogą, oznajmiła, że oto dopadła ją „zemsta Rydzyka” za to, że „odwiedziła jego miasto”. Aby pokazać dramatyzm sytuacji, wrzuciła jeszcze do Internetu swoje zdjęcie z SOR na wózku inwalidzkim. „Kość zrasta się miesiąc, ból potrwa trochę dłużej. Butów na obcasie przez dłuższy czas nie założę. Tak to jest, w sztuce niepokorna, ale przez życie warto iść z pokorą” – napisała. Pokorą wobec wszechmocy o. Tadeusza, który – jak się okazuje – w Toruniu ma wpływ nawet na hotelowe krzesła!



FOT. PAWEŁ GRONKALA

ŚWINI ŚPIEW

Ta sama Maja Ostaszewska udzieliła także wywiadu „Wysokim Obcasom Extra”, gdzie mówiła m.in. o prawach zwierząt i apelowała o większe tych praw poszanowanie. – Rosnąca nienawiść do drugiego człowieka, bezmyślna dewastacja przyrody i terror, jaki serwujemy zwierzętom, strasznie mnie martwią – wyznała. – Dziś krów nie widać, żyją w zamknięciu, podobnie jak kury, świni. W strasznych warunkach, traktowane tak, jakby były przedmiotami, choć na przykład świnię, jak dowodzą badania, są inteligentniejsze niż psy, bardzo opiekuńcze, mruczą swoim dzieciom jakby kołysanki – powiedziała. Pamiętajcie, świnię nie kwiczą, one śpiewają jakby kołysanki. Tylko pozbawieni uczuć barbarzyńcy twierdzą inaczej!

CZEGO NIE LUBI MARYLA

Trwają prace nad serialem o Agnieszce Osieckiej. Jak wiadomo, w serialu pojawi się także postać Maryli Rodowicz, która przyjaźniła się z Osiecką. Niedawno ujawniono, kto wcieli się w rolę Maryli – będzie to aktorka Karolina Piechota. Okazuje się jednak, że wokalistka nie jest specjalnie zachwycona tym wyborem. – Nie znam jej, nie mogę wiele powiedzieć – skomentowała w rozmowie z „Super Expressem”. Dodała też, że najgorsze jest to, że jej zdaniem aktorka nie jest do niej podobna! – W ogóle nie jest podobna. Oczywiście blisko nosa – oceniła. – Mi się pewnie i tak nie spodoba, bo ja nawet nie lubię, gdy ktoś śpiewa moje piosenki – dodała jeszcze. Z tym ostatnim się akurat zgadzamy. My też w zasadzie nie lubimy, jak ktoś śpiewa piosenki Maryli. Z nią włącznie.

RAZ, DWA, TRZY, NOGA

Trenerka wszystkich Polek Ewa Chodakowska lubi udzielać rad nie tylko dotyczących treningu czy zdrowego odżywiania, lecz także takich życiowych. Uznała widocznie, że ma zdolności nie tylko sportowe, lecz także psychologiczne, i wygląda, jakby przygotowywała się do rozszerzenia swojej działalności o jakiś coaching. – Ja jestem za tym, żeby każda kobieta zdała sobie sprawę z tego, jak inna jest od kobiety stojącej obok, jak bardzo wyjątkowa. Nie ścigajmy siebie nawzajem. Nie szukajmy ideałów z boku. Zapracujmy na to, żeby wykorzystać swój potencjał i stworzyć najlepszą wersję siebie i niech będzie ona inna od innych osób. Ja nie jestem za tym, żeby powielać, kopiować. Autentyczność przede wszystkim – zradziła w rozmowie z Pudełkiem. Skoro o autentyczności mowa, to pani Ewa jest najbardziej autentyczna wtedy, gdy prowadzi trening i mówi: „Raz, dwa, trzy, noga, dasz radę”. I na tym chyba powinna poprzestać. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, szacun dla europosłanki Spurek, która postanowiła na forum unijnym bronić chomika europejskiego przed antropocentryzmem, bezmyślną industrializacją i nienawiścią gatunkową. Otóż na trasie budowy drogi S7 w okolicach Miechowa odkryto siedliska tego gatunku chomika, w dodatku zagrożonego. Mamy nadzieję, iż dzięki interwencji europosłanki inwestycja będzie zablokowana, a rozłożony asfalt zostanie zwinięty.

Zwróćcie też uwagę, iż mówimy o chomiku europejskim, nic więc dziwnego, iż w tym kraju jego populacja jest coraz mniejsza. Postępowe chomiki nie chcą już u nas mieszkać, a te, które wbrew wszystkiemu postanowiły zostać, muszą się mierzyć z represjami. Jesteśmy solidarni z chomikami i musimy przeprowadzić jakąś akcję afirmacyjną, najlepiej z nakładką na zdjęcie profilowe na fejsie!

Jako iż próbujemy nadążać za modą, postanowiliśmy zacząć dojeżdżać do korpo na elektrycznych hulajnogach. W dodatku podróżując w ten sposób, nikogo nie dyskryminujemy, a równościowo wszystkich wkurzamy: pieszych, rowerzystów i kierowców.

Nasza hulajnoga spotkała się nawet z zainteresowaniem Nowego z Tarnowa, który zapytał, czy można wypożyczyć taką samą, ale w dieslu. Pewnych nawyków jednak nie da się tak łatwo pozbyć.

Ledwo katofashystoffska prawica zwyciężyła wybory, a do Sejmu weszła Konfederacja, w tym narodowcy, to już widzimy plany, iż organizatorzy Marszu Niepodległości będą nas okładać różańcami.

Plakat tegorocznego Marszu pokazuje bowiem zaciśniętą pięść (symbol fashysmu) trzymającą różaniec (katolicyzm). Nasza interpretacja jest więc taka, iż będziemy

mieli prawdopodobnie fizyczne prześladowania i akty agresji na osobach neutralnych światopoglądowo : (

No i to hasło: „Miej w opiece naród cały”. Oczywiście chodzi tu o Jarosława Kaczyńskiego, któremu oddaje się „pod opiekę”, czyli socjał, cały naród. A co z osobami innej narodowości, które mieszkają w tym kraju? Im się opieka i zasiłek nie należą? Okropny nacjonalizm.

Wpisuje się to of kors w nasze przewidywania związane z wynikami wyborów. Prognozowaliśmy, iż księża będą nas zaganiać na msze i pielgrzymki, w każdym zakładzie pracy powstanie kółko różańcowe, a przymus udziału w Marszu Niepodległości obejmie wszystkich obywateli powyżej pierwszego roku życia. ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Gdy drzewami
kup wicher miota,
Smart Casco
na wypadek
wgniota
już od **199 zł**
rocznie!

Sprawdź
22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj agenta

REKLAMA

SMART CASCO od 199 zł dot. wariantu „Szkoda całkowita, Kradzież i Żywioły”. Ubezpieczenie dostępne tylko w pakiecie z OC. Cena zależna od wariantu ubezpieczenia i wartości pojazdu. Szczegóły sprawdź na www.link4.pl



REKLAMA

Zmiany, zmiany, zmiany. Wszystko się przewalało w ubiegłym tygodniu. Decydujące były nocne narady w jego połowie, których celem było ustalenie wszystkiego przed wyjazdowym posiedzeniem klubu PiS. Na klubie koalicjanci tudzież frakcje mieli już wspólnie wypalić fajkę pokoju i razem wysłuchać mowy Kaczora Dyktatora.

Omocy i skuteczności nocnych narad świadczy to, że w czwartek po maratonach negocjacji twarzą Solidarnej Polski nie był już Patryk Jaki, mówiący o potrzebie zwiększenia prawicowości w prawicowości, lecz koncyliacyjny minister Woś, ogłaszający, że SolPol poprze premiera Mateusza.

Wcześniej było ciekawie. Po tym, jak Mariusz Błaszczak nie kwapił się, by być alternatywnym premierem, gdyż zakochany jest w MON, a Kaczor Dyktator zdecydowanie wykluczył własne premierostwo, stugębna plotka niosła po Warszawie, że premierem zostanie Joachim Brudziński. Wiele się musi zmienić, by wszystko zostało po staremu, więc ponownie witamy premiera Mateusza.

Wwiewiórki opowiadają, że w nowym rządzie nie będzie Jerzego Kwiecińskiego. Ma inne ciekawe i ambitne plany. Otwarta jest kwestia obsady szefa resortu finansów. Ministerstwo rozwoju znowu będzie osobnym bytem, zapewne rozwijanym przez Partię Jarosława Gowina. Której Nazwy Nikt Nie Pamięta.

Nieziemna ma pozostać liczba wicepremierów. I w tym samym gronie. Wszystkie możliwe

wiewiórki potwierdzają też, że Jacek Sasin miałby pokierować nowym resortem skarbu, który jest tak naprawdę starym resortem powracającym po przerwie. Ważna wiadomość z podtekstami: resort miałby nadzorować naprawdę wszystkie spółki Skarbu Państwa. Jak wszystkie, to wszystkie. Pomyślcie chwilę.

Ciekawe wieści dotyczą Krwawego Maria Kamińskiego. Faktycznie ma zielone światło, żeby budować superresort łączący sprawy wewnętrzne i służby specjalne. De facto już to robi. I będzie robił, choć z początku może się to tak nie nazywać i na razie nie być oficjalnie ogłaszane. Docelowo jednak taki będzie model.

Tak czy inaczej zmiany obejmą nie więcej niż jedną piątą ministerstw, więc będą raczej kosmetyczne. Nie z powodu koalicyjnych naparzanek, ale przez dwie sprawy: kłopoty w Senacie

i starą dobrą teorię zderzaków. Senat w rękach opozycji oznacza, że trzeba szczególnie dobrze i szybko szykować kolejne projekty, co najlepiej zrobi stara sprawdzona ekipa. Teoria zderzaków zaś mówi, że zderzaki wymienia się wtedy, kiedy się zużyją i nie ma innego wyjścia. Kadencja zaś jest długa i nie ma co już teraz niepotrzebnie instalować nowych zderzaków, skoro stare są jeszcze w całkiem dobrym stanie.

który wydawał przyjęcie, nie mniej fetowano mec. Romana zwanego Koniem. On bowiem też nie szczędził grosza na jadło i napitki. Na biednego nie trafiło.

Gościami spotkania był też Radek znany jako Sknerus. Jego nie fetowano. I tu ważne uzupełnienie. Owszem, Radek brzydzi się potrzęsaniem trzosem, ale to nie jedyny powód. Po prostu Radek wciąż uważany jest za

Kuchnia światowa zna takie specjały jak np. gravlax, czyli pogrzebany łosoś. Kluczem do zrozumienia tej cienkiej aluzji nie jest słowo „łosoś”

Do naszej rubryki dotarły słowa krytyki ze strony jednego z niedoszłych senatorów. A dokładnie jego rodziny. Członek rodziny Konstantego Radziwiłła protestuje przeciwko nieuprawnionej jego zdaniem tezie, jakoby kampania byłego ministra była mało energiczna. Jako dowód przedstawia opinię samego Kaczora Dyktatora, który miał powiedzieć, że kampania Konstantego była modelowa. Niespecjalnie nas to uspokaja. Jeśli bowiem ta była taka dobra, to jak dobra musiała być kampania Misia Kamińskiego, który Konstantego pokonał? A przecież wiecie, że wszystko, co robi Misio, nie jest dobre.

człowieka, któremu ufać nie można za grosz, gdyż zawsze ma na uwadze tylko jedno – Radka.

Oczywiście wielkim nieobecny posiedzenia w Chianti był Grzegorz Skorpion Schetyna, który w tym czasie zapewne wciął słynne pasztety strasburskie tudzież alzacki specjał zwany z niemiecka Flammkuchen, czyli tamtejszą odpowiedź na pizzę. Dla Scheta to lepiej, ponieważ w Chianti atmosfera była taka, że Grzegorz mógłby tam robić jedynie za przystawkę. Kuchnia światowa zna takie specjały jak np. gravlax, czyli pogrzebany łosoś. Kluczem do zrozumienia tej cienkiej aluzji nie jest słowo „łosoś”, lecz słowo „pogrzebany”.

Tymczasem w szeregach Eine Totalopposition. Przez media przetoczyła się fala tekstów o posiedzeniu dintojry Peło w knajpie Chianti na Foksals w Warszawie. Nasze wiewiórki też tam się przyczaiły. Z naszych informacji wynika, że obok Staszka Gawłowskiego,

Tymczasem nasze importowane wiewiórki donoszą, że Zły Donald z Brukseli podjął już decyzję, a konkretnie dwie. Jedną dobrą. Ta dobra to fakt, że z poparciem berlińskiej Angeli da się Donald łaskawie wybrać na szefa Europejskiej Partii Ludowej,



co zapowiadaliśmy zresztą miesiąc przed „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Druga wiadomość jest zła. Otóż Donald z Brukseli nie będzie tym szefem długo, gdyż zrezygnuje z funkcji, gdy tylko ojczyzna będzie w potrzebie. A ojczyzna będzie w potrzebie, gdy zajdzie konieczność powstrzymania ponownego wyboru na prezydenta Andrzeja Sebastiana.

No dobra, mamy też trzecią wiadomość z importu. Zły Donald z Brukseli podjął również decyzję, że Grzegorz Skorpion Schetyna jest martwy. I może tyle co martwa mrówka. I to słowo stanie się ciałem już niedługo.

Wracając do spraw mniej krwawych, przerażających i istotnych. Ciekawe wieści dobiegają od strony nowo wybranych posłów kukistów ludowych, zwanych też ludowcami kukistycznymi. Otóż znamy przynajmniej jednego posła-elekta, który jeszcze przed wyborami pytał w PiS, czy by go chcieli. Wtedy nie chcieli, ale zmienili zdanie, bo dodatkowy głos zawsze się przyda. Ten poseł zaś zdania nie zmienił – wciąż chce, żeby oni go chcieli.

Nie – odpowiadamy – nie chodzi o posłankę Agnieszkę Ścigaj, która rozważa wsparcie rządu premiera Mateusza. Wyraźnie napisaliśmy, że chodzi o męż-czynę-posła-elekta. W jego nazwisku można znaleźć literę S, ale nie powiemy w którym miejscu.

Mało kto wie, że wyborcze decyzje Polaków będą też miały wpływ na dzieje polskiej literatury. A konkretnie polskiej literatury historycznej. Na przykład taki Paweł Kowal. Jako nieposeł i człek, który porzucił PiS, był niezależnym ekspertem i komentatorem, a jego książkę zamierzała wydać „Krytyka Polityczna”. Teraz jest już posłem, co zmienia postać rzeczy. Tylko jednej rzeczy bowiem koledzy z „Krytyki Politycznej” nie cierpią bardziej od eks-PiS-owców – to czynni platformersi. No, a tak się składa, że Paweł Kowal takim właśnie został.

Apropos ekspertów – pochwalimy się, gdyż jeśli tego nie zrobimy, to nikt nas nie pochwali. Otóż jesteśmy ekspertami. W wyborczą niedzielę już po godz. 12, gdy tylko poznaliśmy cząstkowe dane o frekwencji

Czy brukselskie elity wycofają wniosek z faktu, że człowiek europejski, który stał na drodze pisoskich siepaczy, jest gatunkiem zagrożonym?!



nie wierzyli. Przytaczamy tę historię ku nauce wszystkich czytelników rubryki. Nie tylko z rządu.

Na koniec optymistyczna historia z życia zwykłych ludzi. Zaprzyjaźniony kolejarz opowiedział nam o pewnej posłance, której nie ujrzyście w nowym Sejmie. Często podróżowała, a on wciąż ją spotykał, gdyż sprawdza na różnych trasach bilety. „Dlaczego kupuje pani bilety? – pytał wielokrotnie zdziwiony – skoro jako poseł ma pani gratis wszystkie przejazdy?”. „Kiedy jadę na Sejm – odpowiadała – to korzystam z przywileju poselskiego, ale tak poza tym to zawsze kupuję sobie sama”. Jak dopowiedział nam kolejarz: zawsze w drugiej klasie. Ta posłanka nazywa się Krystyna Pawłowicz. Pani Krystyno, będzie nam pani brakowało. ©©

REKLAMA

Michael O'Brien

APOKALIPSA
przestroga
nadzieja
pocieszenie

O widmach kataklizmu i niezawodnym zwycięstwie

**22,90
teraz 19,90**

NOWOŚĆ

Tylko dla czytelników: Odrogę - ceny promocyjne

Książka pokazująca w perspektywie eschatologicznej, że „nasze słabości są bramą, przez którą wlewa się Boża łaska, o ile tylko na to pozwolimy, o ile zaakceptujemy fakt, że jesteśmy jedynie dziećmi Boga”. Jej autor, Michel O'Brien, to poczytny pisarz i publicysta, którego książki są tłumaczone na wiele języków. W Polsce wydane zostało kilka jego powieści, m.in. *Zimowe opowieści*, *Oczekiwanie*, *Refleksje na Adwent*.

Tylko jednej rzeczy koledzy z „Krytyki Politycznej” nie cierpią bardziej od eks-PiS-owców – to czynni platformersi

www.wydawnictwo.pl

WYDAWNICTWO PROMIC

ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa, tel. 22 651 90 54, e-mail: sprzedaz@wydawnictwo.pl



Kościół o twarzy Amazonii?



Krystian Kratiuk

Wyświęcanie żonatych mężczyzn, włączanie pogańskich elementów do chrześcijańskich obrzędów, nacisk na ekologię. Co ostatni synod zmieni w Amazonii, można się spodziewać. Jednak co zmieni w Kościele w ogóle?

Papież Franciszek przyzwyczaił nas do organizacji synodów wzbudzających kontrowersje. Synod ds. rodziny np. prócz problemami katolickich rodzin zajmował się również swoistą rehabilitacją rozwodników żyjących w nowych związkach, a synod ds. młodzieży pochylał się nad „problemami katolików LGBT”. Nie może zatem dziwić, że synod ds. Amazonii – prócz dość specyficznych problemów duszpasterskich charakterystycznych dla tamtej części świata – zajął się również globalnym ociepleniem, wyciną lasów, złym traktowaniem Indian, „rabunkową gospodarką” czy nierównościami społecznymi. Nietrudno zauważyć, że takimi sprawami do tej pory zajmowali się raczej urzędnicy ONZ oraz aktywiści lewicowych NGO-sów.

Być może jednak, gdyby ojcowie synodalni poprzestali na tych właśnie kwestiach, synod wzbudzałby znacznie mniejsze kontrowersje. Ktoś skomentowałby, że agenda tego synodu jest ekologiczna, kto inny zauważyłby zapewne, że na konferencjach prasowych jest znacznie więcej dziennikarzy mediów lewicowych niż dotychczas, jeszcze ktoś zapytałby, czy biskupi aby na pewno mają kompetencje, by rozmawiać o zmniejszaniu się obszaru lasów w Ameryce Południowej lub przeciwdziałaniu zmianom klimatu. Ktoś mógłby ów synod nazwać kolejnym etapem przekształcania się Kościoła w zwyczajną organizację pozarządową, a jeszcze kto inny podniósłby temat zaskakującego sponsora działających w Amazonii katolickich organizacji – którym według ustaleń brazylijskiego dziennikarza Bernardo Küstera miała być Fundacja Forda, znana m.in. z promocji „prawa” do aborcji oraz ideologii gender.

Ale zarówno biskupi przygotowujący synod, jak i sami ojcowie synodalni nie poprzestali na owej, dalekiej od

FOT. ALESSANDRA BERIQUETTI/ORBIS/GETTY IMAGES

„niewtrącania się do polityki” agendy. Postanowili bowiem na poważnie wziąć sobie do serca pomysł budowy Kościoła o twarzy Amazonii i „zapropoNOWać rozważenie” bardzo daleko idących zmian – i w kościelnej praktyce, i w nauce katolickiej.

GROŹBA „HEREZJI I APOSTAZJI”

Oto na synodzie rozmawiano bowiem o zniesieniu obowiązkowego celibatu, wyświęcaniu kobiet na diakonów (według niektórych biskupów mówiło się również o „pewnej formie kapłaństwa kobiet”), utworzeniu nowego rytu liturgii specjalnie dla Amazonii (do którego to dopuścić można by było „pewne elementy praktyk ludów rdzennych”), „wysłuchiwanie się w wołanie Matki Ziemi”, uznaniu Amazonii za „szczególne źródło Bożego objawienia”, unikaniu głoszenia przez Kościół „oferowania rozwiązań o wartości uniwersalnej” czy o określeniu oderwania się człowieka od natury mianem „fundamentalnego aspektu korzeni ludzkiego grzechu”.

Swego rodzaju tradycją synodów papieża Franciszka stał się podnoszony przez konserwatywną część hierarchii sprzeciw wobec dokumentów roboczych (instrumentum laboris) tych zgromadzeń. Wielce symptomatyczne jest to, że o ile podczas pierwszego synodu (ds. rodziny) sprzeciw wobec udzielania komunii świętej rozwoznikom podnosiło kilkunastu biskupów, a przed synodem ds. młodzieży kilkunastu, o tyle przed synodem ds. Amazonii odezwało się już zaledwie kilku.

Wśród tej garstki konserwatystów znalazł się niemiecki kard. Walter Brandmüller – nazwał niektóre z zapisów dokumentu roboczego synodu heretyckimi, a inne określił mianem „apostazji wobec Objawienia Bożego”. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, również Niemiec, kard. Gerhard Ludwig Müller, ostro skrytykował fragmenty dokumentu, interpretowane przezeń jako apologia pogaństwa, oraz stanowczo podkreślił, że Kościół nie ma prawa wyświęcać kobiet na diakonów ani na kapłanów, gdyż nie życzył sobie tego Jego Święty Założyciel.

O krok dalej poszli kard. Raymond Burke i bp Athanasius Schneider. Opublikowali oni długi manifest wskazujący na „błędy i herezje” zawarte w synodalnym dokumencie i skonfrontowali je z nauczaniem Kościoła. Stwierdzili, że akceptacja niektórych fragmentów

dokumentu może zaimplementować w Kościele „ukryty panteizm” (utożsamienie natury z Bogiem), że instrumentum laboris promuje „pogańskie zabobony jako źródła Boskiego Objawienia i jako alternatywne ścieżki do zbawienia”, że proponuje „dialog międzykulturowy z Indianami zamiast prób ich ewangelizacji”, że zakłada „zupełnie błędną koncepcję święceń sakramentalnych, postulując ustanowienie szafarzy obu płci mających sprawować nie tylko katolickie, ale i szamańskie rytuały” oraz że promuje „umniejszający ludzkiej godności” pogląd filozoficzny nazywany ekologią integralną oraz sprzeczny z chrześcijaństwem „kolektywizm plemienny, który podważa wyjątkowość i wolność osobistą”. Autorzy listu wezwali katolików na całym świecie do wytrwałej modlitwy oraz 40-dniowego postu w intencji synodu!

Przed błędami ostrzegali także katolicy świeccy – z początkiem października w Rzymie odbyło się spotkanie liderów katolickich organizacji z kilku państw. Najgłośniejsze przemówienie wygłosił na nim prof. Roberto de Mattei – uznany historyk Kościoła. Zwrócił uwagę, że w Wyznaniu Wiary mówimy: Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi. A dokument roboczy synodu zdaje się mówić co innego: – Dokument powtarza mantrę papieża Franciszka, według której „wszystko jest połączone ze sobą”. A przecież zgodnie z wiarą katolicką Bóg jest panem świata i wszechrzeczy, kiedyś tych, którzy temu zaprzeczali, obkładano anatemą. Dziś miejsce Boga w duszach wielu duchownych zajmuje natura. Zamiast mówić, że Bóg stworzył wszystko i metafizycznie może być we wszystkim, oni mówią, że Bóg jest tym wszystkim fizycznie!!! To jest właśnie Kościół amazoński – tłumaczył uczony. Historyk zwrócił również uwagę, że z dokumentu wyczytać można pochwałę politeizmu i panteizmu. Padły bardzo mocne słowa: – Zachowując wielki szacunek do władz Kościoła, muszę powiedzieć wprost – oskarżam wszystkich biskupów i kardynałów, którzy potwierdzają tezy zawarte w instrumentum laboris, o politeizm albo nawet polidemonizm! Wzywam tych kardynałów, którzy wciąż są katolikami, do interwencji.

KRYTYKOWAĆ KRYTYKÓW

Jak można się spodziewać, owe słowa krytyki do ojców synodalnych

nie docierały – zbyt wielu konserwatystów na zgromadzenie bowiem nie zaproszono. Wyjątek stanowi gwinejski kardynał Robert Sarah, szef Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Sugerował, że skorzystanie ze zgromadzenia dla wprowadzenia do Kościoła planów ideologicznych byłoby „niegodną manipulacją, nieuczciwością, oszustwem, obrazą Boga, który prowadzi swój Kościół i powierza mu swój plan zbawienia”.

Wątpliwe jednak, by jego głos został wysłuchany. Wśród ojców synodalnych panuje bowiem atmosfera oddana słowami kard. Christopha Schönborna, który już pod koniec watykańskiego zgromadzenia z rozbrajającą szczerością przyznał, że „nie czyta Internetu, a więc nie zna krytyki synodu” oraz że „list kardynała Burke’a i biskupa Schneidera do niego nie dotarł”. W swoim stylu na temat krytyków synodu wypowiedział się również kard. Marx, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec. – Słyszałem, że dokument roboczy synodu jest krytykowany w Kościele katolickim, że jest krytykowany poza synodem. Dyskusje synodalne mają jednak miejsce w auli w Watykanie – powiedział. Wyjaśnijmy, że listę uczestników synodu osobiście zatwierdzał papież Franciszek.

Publicyści postępowych mediów kościelnych także krytykowali krytyków, sugerując, że ci zajmują się wyłącznie marginalnymi kwestiami, nie chcąc wraz z papieżem pochylić się nad główną tematyką synodu – a więc nad troską o planetę, o zasoby naturalne Amazonii oraz o ubogich. Aby podkreślić swe umiłowanie przyrody oraz przynęcenie ociepleniem klimatu, organizatorzy synodu już pierwszego dnia zapowiedzieli, że posadzą w tym regionie świata 50 ha lasu. Sekretarz generalny synodu – kard. Baldisseri – wskazał, że wyliczono, iż w związku z obradami do atmosfery zostanie wyemitowanych ponad 572 tys. kg dwutlenku węgla (438 373 kg na loty samolotem i 134 435 kg w związku z innymi działaniami), wygenerowanych przez zużycie energii, wody, podróże uczestników, przygotowanie materiałów promocyjnych i wytworzenie śmieci. Stąd też właśnie decyzja, by zbilansować emisję dwutlenku węgla przez zasadzenie nowych drzew.

Krytykom synodu zarzucono również niedostrzeżenie konieczności stworzenia nowych sposobów dotarcia z Eucharystią do rdzennych mieszkańców tego regionu. Jednym z pomysłów na owe

dotarcie do Indian żyjących w dżungli stał się właśnie pomysł wyświęcenia tzw. viri probati, a więc „wypróbowanych mężów” na kapłanów. Dzięki temu ludy Amazonii – cierpiące na brak powołań i wynikający z tego brak dostatecznej liczby kapłanów – mogłyby chociażby częściej uczestniczyć w mszy świętej czy przyjmować sakramenty.

POGAŃSTWO I KATOLICKA REAKCJA

Warto jeszcze nadmienić, że tuż przed otwarciem zgromadzenia synodalnego w Ogrodach Watykańskich odbyła się

rajającej wiele rytuałów przypominających w swojej formie amazońskie obrzędy – podczas nabożeństwa jedna z kobiet okadzała tłum specjalną mieszanką ziół, a kilka osób rozganiało dym za pomocą pióropuszków. Towarzyszyły temu tubylcze śpiewy z akompaniamentem amazońskich instrumentów. Wśród rozważań męki Pańskiej znalazło się miejsce na zwrócenie uwagi np. na „płacz Matki Ziemi wobec nadmiernej eksploatacji, którą popełnia się w dziewięciu krajach z rejonu Amazonii”.

W ramach eventów towarzyszących „ojcom synodalnym” każdego dnia w kościele Santa Maria in Traspontina

była to Matka Boża. Rzecznik synodu dodał, że to „po prostu kobieta w ciąży symbolizująca płodność”. Wskutek tego zamieszania jacyś zbulwersowani niejasną sytuacją katolicy w ostatni synodalny poniedziałek o wschodzie słońca wynieśli owe figurki z kościoła i wrzucili je do Tybru, oznajmiając jednocześnie, że nie godzą się na jawną promocję pogaństwa w miejscach kultu katolickiego.

INKULTURACJA I RZEŻ NIEWINIĄTEK

Podczas codziennych konferencji prasowych, na których miałem okazję być jako korespondent PCh24.pl, mówiono jednak najwięcej o głównych zagadnieniach synodu – a więc o ekologii integralnej, ociepleniu klimatu, ochronie środowiska, prawach kobiet, handlu ludźmi, problemach z narkotykami i kościelnej drodze synodalności. Sporo miejsca poświęcano również amazońskiemu lasom. Kardynał Baldisseri, przywołując encyklikę „Laudato si”, zwrócił uwagę, że ponieważ „wszystko jest ze sobą połączone”, to „działanie człowieka nie odbywa się w hermetycznie zamkniętych komorach, a obrona Ziemi, obrona kultur i obrona życia są ze sobą nierozzerwalnie związane”.

Mówiono również o inkulturacji – jedni obawiali się, by nie poszła za daleko, inni zaś ochoczo ją promowali. Już pierwszego dnia synodu pojawiła się bowiem propozycja stworzenia nowego, specjalnego amazońskiego rytuału mszy świętej – i była żywo dyskutowana w drugim tygodniu synodu. „Postuluje się, by synod przyjął propozycję, zgodnie z którą ludy Amazonii mogą podjąć nową drogę własnego rytuału amazońskiego, wyrażającego dziedzictwo liturgiczne, teologiczne, dyscyplinarne i duchowe, które do nich należy” – mówił na konferencji prasowej prezentującej pracę w grupach roboczych abp Fisichella. „Ze specjalnym odniesieniem tego, co [soborowa konstytucja] »Lumen gentium« stanowi dla Kościołów wschodnich. To ubogaci dzieło ewangelizacji wyrażającej wiarę poprzez specyfikę własnej kultury”. Biskup Adair Guimarães z Brazylii zauważył jednak, że „misją Kościoła jest nieść Ewangelię wszędzie, również do rdzennych plemion, które muszą ją poznać. Żadna kultura nie stoi ponad Chrystusem, żadna koncepcja filozoficzna nie zastąpi tajemnicy Odkupienia”.

Wielokrotnie podnoszono również kwestię viri probati, ale i ta natrafiła na przeciwników – tyle że nieobecnych



FOT. HANDBOUT/ARTICAN MEDIA/PEP/ST NEWS

pewna symboliczna uroczystość – oto Ojciec Święty wraz z rdzennymi mieszkańcami Amazonii wziął udział w ceremonii zasadzenia drzewa. Kamery wychwyciły towarzyszące uczestnikom spotkania specyficzne drewniane figurki przedstawiające nagie ciężarne kobiety. Dziennikarze pytali, co to takiego – ale przez wiele dni nikt nie potrafił im odpowiedzieć. Pojawiły się więc domysły, że to albo bardzo specyficzne przedstawienie Matki Bożej, albo... inkaskiej boginki zwanej Pachamamą – „Matką Ziemią”.

Synodowi towarzyszyły również eventy mające promować amazońską kulturę i duchowość – owe współsponsorowane przez episkopat niemiecki wydarzenia nazwane „Amazonia: Casa Comun” (Amazonia: Wspólny dom) organizowane były w rzymskich kościołach i na ulicach. I tak rzymianie uczestniczyć mogli np. w specyficznej drodze krzyżowej zawie-

odbywało się spotkanie zwane „chwilą duchowości amazońskiej”, prowadzone przez „grupę wędrownych misjonarzy”. Codziennie więc w kościele tym śpiewano pieśni i opowiadano o Amazonii. W świątyni, oprócz plakatów z wizerunkami misjonarzy, którzy pracowali, a w niektórych przypadkach zmarli w Amazonii, pokazano także wizerunek kobiety trzymającej w jednej ręce małe dziecko i karmiącej swą piersią zwierzę – najpewniej łasicę. O ołtarz oparto łożo dłubankę oraz wiośła, a na ołtarzu, tuż obok krucyfiksu, ustawiono wspomniane wcześniej figurki nagich kobiet – artefakty te wnieśli do kościoła w czymś na kształt procesji katolickiej duchowni.

Dziennikarze znów drążyli temat – zastanawiając się, cóż to za figurki. Watykańscy oficjele nie potwierdzili, by przedstawiały one Pachamamę, ale zdecydowanie zaprzeczyli również, by

■ w Watykanie. Teza, według której ludy pierwotne „nie rozumieją celibatu”, głoszona przez licznych hierarchów (w tym obecnego na synodzie emerytowanego ordynariusza diecezji Xingu bp. Erwina Kräutlera), spotkała się z krytyką innego emerytowanego biskupa Brazylii José Luísa Azcony. „Nie jest tak, że ludy Amazonii posiadają niemożliwe do pokonania przeszkody na drodze do zrozumienia idei celibatu” – napisał biskup w artykule dla ACI Digital. Zdaniem kapłana sytuacja w tamtejszym regionie wynika z niedostatecznie dobrze wykonanego procesu ewangelizacji. „Odbywający się tam transfer ewangelicznego przesłania z wielu powodów nie był zakorzeniony w kulturze, przez co wiara została przyjęta jedynie fragmentarycznie, bez głębokiego przemyślenia i autentycznego przeżycia” – podkreślał hierarcha.

w Watykanie, ale w katakumbach Świętej Domiceli. Oto 150 ojców synodalnych podpisało tam tzw. pakt z katakumb – było to swoiste „rozszerzenie” i „odświeżenie” paktu katakumbowego sprzed ponad pół wieku, podpisanego przez ponad 40 ojców soborowych. Gdy trwał bowiem sobór watykański II, w katakumbach zebrało się owych kilkudziesięciu hierarchów, ślubując tworzenie „Kościoła ubogiego i służebnego”. Teraz zaś znacznie większa grupa podpisała „Pakt z katakumb dla wspólnego domu, dla Kościoła o amazońskiej twarzy, ubogiego i służebnego, profetycznego i samarytańskiego”.

Wśród zobowiązań, które w uroczysty sposób złożyli biskupi, znalazły się m.in. bronienie dżungli amazońskiej w obliczu zagrożenia globalnym ociepleniem, uznanie się za synów Matki Ziemi,

materalnej, jak i umysłowej. Potwierdził również – a zna się na rzeczy jak mało kto – że Indianie obecni podczas ceremonii otwarcia synodu amazońskiego są „całkowicie zdominowani przez ludzi wierzących w teologię wyzwolenia i pragnących ich wykorzystać”, a sama ceremonia w jego opinii „bez wątpienia zawierała elementy pogańskie”.

SYNODALNOŚĆ BĘDZIE TRWAĆ

Niniejszy numer tygodnika „Do Rzeczy” został wysłany do druku przed oficjalnym zamknięciem synodu – a więc przed ogłoszeniem treści dokumentu końcowego. Dotychczas podczas synodów papieża Franciszka dokumenty podsumowujące synod nie różniły się znacznie od dokumentów roboczych – przewidywać można, że i tym razem stanie się podobnie. Wydaje się więc prawdopodobne, że synod zaproponuje papieżowi eksperyment z wyświęcaniem żonatych mężczyzn na kapłanów. Nieprawdopodobne wydaje się zaś, by papież zgodził się na jakąkolwiek formę kapłańskiej posługi kobiet, nawet jeśli taki zapis znajdzie się w dokumencie. Być może zwolennikom stworzenia czegoś na kształt amazońskiego rytu mszy świętej uda się przekonać do tego pomysłu większość ojców synodalnych – ale zapis ten obwarowany będzie licznymi uwagami zabezpieczającymi liturgię przed synkretyzmem. Ale jaka będzie rzeczywista praktyka takich mszy – czas pokaże.

Z pewnością też niektórzy progresywni kapłani Zachodu zapragną doświadczenia i ustalenia synodu amazońskiego po jakimś czasie przenieść i do Europy – przecież już dziś kapłanów brakuje nie tylko w brazylijskiej dżungli, lecz także na niemieckiej prowincji. Czy więc praktyka wyświęcania viri probati zostanie przyjęta również za naszą zachodnią granicą? Kto wie.

Pewne jest jedno – zgodnie z wolą papieża Kościół ma często pokazywać amazońską twarz, a synodalność nadal będzie drogą tego pontyfikatu, a może również i następnych. Bardzo zależy na tym samemu Franciszkowi, który zapowiedział to już kilka lat temu, oznajmiając, że tego właśnie Duch Święty oczekuje od Kościoła trzeciego tysiąclecia. I mało kto będzie chciał mu się sprzeciwić.

Z pewnością niektórzy progresywni kapłani Zachodu zapragną ustalenia synodu amazońskiego przenieść do Europy

Wielu uczestników synodu wykazywało się wielką atencją dla ludów Amazonii – niektórzy z nich uznali nawet, że powiedzenie o zwyczajach rdzennych mieszkańców tamtego regionu czegośkolwiek niedobrego byłoby złamaniem swego rodzaju nowej poprawności politycznej. I tak kard. Pedro Ricardo Barreto Jimeno podczas konferencji prasowej odmówił przyznania, że niektóre plemiona amazońskie do dzisiaj praktykują zabijanie chorych noworodków. Ów członek Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka stwierdził stanowczo, że „wysuwając tak radykalne oskarżenia, należy posługiwać się odpowiednimi dowodami”. Problem w tym, że dowodów na występowanie zbrodniczego procederu nie brakuje. Po zamieszanu wynikłym z jego wypowiedzi sytuację podsumował jednak bp Wilmar Santin z Itaituby w Brazylii – zwracając się do europejskich i amerykańskich dziennikarzy, powiedział: „Gorszy was zabijanie dzieci, a wasze szpitale to rzeźnie”.

I miał niestety rację.

PAKTY Z KATAKUMB

Dwudziestego października, a więc na tydzień przed zakończeniem synodu, do ważnego wydarzenia doszło nie

odnowienie opcji preferencyjnej na rzecz ubogich, denuncjowanie wszystkich form przemocy i agresji przeciwko autonomii i prawom ludności tubylczej, wprowadzenie w lokalnych Kościołach synodalnego stylu życia czy uznanie posługi i rzeczywistej diakonii ogromnej liczby kobiet, które obecnie kierują społecznościami w Amazonii.

Jerzy Wolak, komentujący synod dla dwumiesięcznika „Polonia Christiana”, barwnie określił oba paki katakumbowe, mówiąc w jednej z internetowych audycji, że ten sprzed 50 lat pisany był czerwonym, a ten współczesny – zielonym atramentem. Oba te atramenty mają jednak wspólne źródło – teologię wyzwolenia, której jedną z gałęzi stanowi tzw. teologia indiańska, jeszcze kilkadziesiąt lat temu stanowczo krytykowana przez szefa Kongregacji Nauki Wiary kard. Józefa Ratzingera, a dziś przyjmowana w Watykanie z niemalym zaciekwaniem. Szczęśliwie znajdują się jeszcze ludzie zwracający na to uwagę – i tak Jonas Marcolino Macuxi, w rozmowie z dziennikarzami portalu Life Site News przekonywał, że teologia wyzwolenia tak naprawdę nie pozwala ludziom wyjść z biedy i nędzy – zarówno

ZAPALASZ SILNIK GASISZ POŻAR



#DobryKierowca

**Kupując na stacjach ORLEN, wspierasz
ORLEN DLA STRAŻAKÓW**

Fundacja ORLEN, od blisko 20 lat, przekazuje środki na zakup sprzętu dla komend Państwowej Straży Pożarnej oraz jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej.

Dowiedz się więcej na:

www.dobrykierowca.orlen.pl



ORLEN

KAMILA BARANOWSKA: Gorzkie zwycięstwo, prawie zwycięstwo? Jak pan ocenia wynik wyborów 13 października?

ADAM BIELAN: To było zwycięstwo. I kropka. Jestem z ostatecznych wyników wyborów do Sejmu bardzo zadowolony. Ciężko pracowaliśmy przez ostatnie półtora roku w kampanii samorządowej, europejskiej, teraz parlamentarnej, więc jeśli nie będziemy potrafili się cieszyć z efektów tej pracy, to będzie nam trudno się mobilizować w przyszłości. A już niedługo przed nami niezwykle ważna kampania prezydencka. Nie rozumiem tych wszystkich z prawej strony, których nasz wynik smuci. Oczywiście jest kilka elementów, które trzeba bardzo szczegółowo przeanalizować, żeby być jeszcze silniejszym w przyszłości, ale plan minimum, czyli uzyskanie samodzielnej większości w Sejmie, został zrealizowany. Gdyby ktoś na początku kadencji powiedział nam, że po czterech latach rządzenia otrzymamy 235 mandatów – a przypomnę, że wtedy w 2015 r. mówiono, że samodzielna większość to efekt jakiegoś cudu albo przypadku, bo lewica nie weszła do Sejmu itd. – to wszyscy bralibyśmy taki wynik w ciemno. A fakt, że po zdobyciu 43 proc. pozostał pewien niedosyt i odniesienie tego wyniku do wyborów europejskich i ostatnich przedwyborczych sondaży pokazuje, że wciąż mamy potencjał wzrostowy.

W kampanii słowo „mobilizacja” było odmienne przez wszystkie przypadki, jako czynnik decydujący o zwycięstwie. W sprawie mobilizacji wyborców można było zrobić więcej?

Na pewno musimy na przyszłość popracować nad mobilizacją, bo to był jeden z głównych powodów niższego poparcia niż to sondażowe. Gdy przeanalizujemy wzrost frekwencji na mapie Polski, to widać, że był on mniejszy w regionach, które tradycyjnie na nas głosują. Zawsze partia rządząca ma trudniej, jeśli chodzi o mobilizację swoich wyborców, ale trzeba się tego nauczyć. Nie wystarczy tylko apele wygłaszane w mediach, by iść na wybory. Każdy, kto śledzi kampanie amerykańskie wie, że tam są osobne sztaby do mobilizacji, które pracują przez wiele miesięcy tylko po to, by uaktywnić się w ostatnim tygodniu, a nas te techniki są wciąż jeszcze niestosowane i w tym tkwi duży potencjał dla prawicy. Jest nad czym pracować, ale to nie zmienia faktu, że jestem z wyniku wyborów do Sejmu bardzo zadowolony.

A z wyniku wyborów do Senatu?

W Senacie nie uzyskaliśmy większości, choć dostaliśmy więcej głosów niż blok opozycyjny, co warto podkreślić. Trzeba sobie powiedzieć jasno – zabrakło osobnej, dedykowanej kampanii do Senatu, mimo że powtarzaliśmy, że Senat jest zagrożony i jest bardzo ważny. Nie było kampanii skupionej na tych kilkunastu bitewnych okręgach, senatorowie byli trochę pozostawieni sami sobie. Ani nie otrzymywali specjalnej pomocy z centrali, ani też nie byli rozliczani z aktywności. Mieliśmy kandydatów na senatorów, którzy bardzo chcieli pracować, ale nie mieli możliwości czy środków, i mieliśmy też takich, którzy uznali, że szyld załatwia wszystko. O ile w przypadku kandydatów na posłów można uznać, że to ich sprawa, bo jeśli zrobili słabą kampanię, to nie dostali się do Sejmu, o tyle w przy-

regularnie są tam przeliczane głosy, np. na Florydzie. Nikt tam nie mówi, że partie, które domagają się przeliczenia głosów, podważają demokrację. A pamiętajmy, że tam proces wyborczy jest kontrolowany przez polityków. Fundamentem zaufania obywateli do demokracji jest zaufanie do procesu wyborczego. A jednym z elementów budowania tego zaufania są procedury zaskarżania wyników. Te procedury w Polsce istnieją i PiS z nich po prostu korzysta. Po raz kolejny niestety przekonujemy się, że nam wolno mniej.

Da się skutecznie rządzić bez Senatu? Energia, którą PiS wkłada w to, by tę większość uzyskać, pokazuje, że może być trudniej, niż się wydaje.

Oczywiście, że się da, choć nikt tego jeszcze nie próbował, bo taka sytuacja – jeśli do niej dojdzie, co nie jest jeszcze



Z Adamem Bielanem, europoseł, byłym wicemarszałkiem Senatu (Zjednoczona Prawica) rozmawia Kamila Baranowska

Będziemy mieli Senat

padku senatorów to nie była wyłącznie ich sprawa. Tutaj utrata mandatu staje się kłopotem dla całego obozu politycznego.

Warto w tej sytuacji wszczynać awanturę z ponownym przeliczaniem głosów z sugestią, że mogło dojść do nieprawidłowości?

Po każdych wyborach są dziesiątki protestów. Teraz jest blisko 60 protestów, z czego my złożyliśmy sześć. Dziwię się mocnym, emocjonalnym reakcjom, że to coś nadzwyczajnego. Są kraje, których jakości demokracji nikt nie kwestionuje, w których zarządzane jest automatyczne przeliczanie głosów w przypadku, gdy różnica jest niewielka. Tak jest w USA,

przesądzone – będzie miała miejsce po raz pierwszy. Przy czym pamiętajmy, że większość opozycji jest bardzo chybotała i te wszystkie dość agresywne wystąpienia polityków opozycji, którzy mówią o korupcji politycznej, wskazują, że oni doskonale zdają sobie sprawę, iż nawet jeśli 12 listopada będą mieć 51 głosów, to biorąc pod uwagę przebieg zarówno naszej pierwszej kadencji w latach 2005–2007, jak i tej ostatniej, nasz klub w Sejmie i Senacie zawsze się zwiększał. Jestem przekonany, że ta opozycyjna większość szybko się wykruszy. Znam dobrze wielu z tych ludzi i myślę, że opozycja nie może być pewna tych 51 głosów.



Na razie senatorowie opozycji wydają się zdyscyplinowani i prześcigają się w zapewnieniach o swojej lojalności.

Uważam, że my tę większość w Senacie prędzej czy później będziemy mieli. Platforma też świetnie zdaje sobie z tego sprawę, dlatego zleciła już prace nad zmianami w regulaminie, by odwołanie marszałka Senatu następowało większością trzech piątych głosów i zmiana regulaminu także. Chodzi o to, by 12 listopada wybrać władze i zabetonować tak, by były nieodwoływalne. Tam też nie ma specjalnie wiary, że ta większość dotrwa do końca kadencji. Platforma nie jest formacją ideową. To zbiór ludzi nastawionych na sukces, zadaniowych. Jeśli był sukces i Platforma wygrywała wybory, to była spójna. Gdy sukcesów nie ma, a partię czekają kolejne chude lata w opozycji, to myślę, że różni politycy będą podejmować dość indywidualne decyzje.

W poprzedniej kadencji był pan senatorem, wicemarszałkiem Senatu. Nie żałuje pan, że teraz, gdy wielka polityka przenosi się do Senatu, pana tam nie ma?

Trochę żałuję. Jednak gdy byłem w Senacie, tęskniłem za polityką europejską (śmiech). Tak to jest, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Oczywiście Senat zrobi się bardzo ważny. Pytanie: Czy to będzie sprzyjało jakości obrad? Senat mijającej kadencji pozytywnie różnił się od Sejmu, nie było tam takich scen i rozrób, które opozycja gotowała w Sejmie, a które zrażają wyborców do demokracji parlamentarnej. Mam nadzieję, że to się nie zmieni.

Jak będzie wyglądała teraz współpraca w ramach Zjednoczonej Prawicy? Dwaj mniejsi koalicjanci wprowadzili do Sejmu więcej posłów, niż mieli dotąd. Ich apetyty będą rosły.

Porozumienie osiągnęło niesamowity sukces, bo cztery lata temu wprowadziliśmy ośmiu posłów, teraz 18, bez jakichś wielkich zasobów finansowych czy wsparcia medialnego. To przede wszystkim wynik kolosalnej pracy Jarosława Gowina, chyba najciężiej pracującego w terenie lidera partyjnego. Oczywiście jest, że polityka to miejsce, gdzie jest mnóstwo ambitnych ludzi i po wyborach wszyscy, a szczególnie nowo wybrani posłowie, noszą buławy w plecakach. I tymi ambicjami zarówno w ramach poszczególnych partii, jak i w ramach koalicji trzeba dobrze zarządzać. Kto jak kto, ale Jarosław Kaczyński udowodnił w ostatnich latach, że radzi sobie z zarządzaniem ambicjami

■ i różnicami programowymi, bo jesteśmy też obozem niezwykle pojemnym programowo. Myślę, że na poziomie liderów jest świadomość, iż Zjednoczona Prawica to najbardziej udany projekt polityczny w historii polskiej demokracji parlamentarnej i od momentu jej utworzenia wygrywamy wszystkie wybory. Ktokolwiek chciałby dziś ją rozbić, to – parafrazując senatora opozycji Fedorowicza – zostanie objęty anatemą na trzy pokolenia. Ktoś, kto rozbije teraz obóz Zjednoczonej Prawicy, po prostu zniknie ze sceny politycznej, bo nasi wyborcy czegoś takiego nie darują.

Czy zagrożeniem może stać się Konfederacja? Dotąd PiS udawało się nie mieć konkurencji po prawej stronie, teraz się to zmieni.

To nie musi być śmiertelne zagrożenie. Pokazał to przykład Orbána i Jobbiku. Orbánowi obecność Jobbiku nie zaszkodziła, a niektórzy twierdzą, że nawet pomogła. Natomiast z całą pewnością nie możemy zgrzeszyć arogancją i musimy przeanalizować powody, dla których tak wielu wyborców wybrało Konfederację. Jeśli chodzi o przepływy elektoratu, to mniej więcej wiadomo, jak to wyglądało – zwinięcie sztandaru przez Kukiza i przejście do PSL sprawiło, że część wyborców tego nie zaakceptowała i przepłynęła do nas. Jednak duża część przeszła na stronę Konfederacji i z tego trzeba wyciągnąć wnioski, sprawdzić, dlaczego tak się stało.

Czy efektem obecności Konfederacji w Sejmie będzie przesuwanie się PiS w prawo, np. w sprawach światopoglądowych?

Dla Zjednoczonej Prawicy najważniejszym celem politycznym na najbliższe miesiące – po sformowaniu władz Sejmu, Senatu i rządu – jest zwycięstwo w wyborach prezydenckich. I myślę, że wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Jeżeli dzisiaj martwimy się tym, jak będą wyglądały nasze rządy, gdybyśmy stracili Senat, to nasz ból głowy – gdybyśmy stracili prezydenta – byłby sto razy większy. Mam nadzieję, że wynik wyborów do Senatu będzie takim zimnym prysznicem, który pobudzi nas do jeszcze większego wysiłku. W wyborach prezydenckich przy większej frekwencji potrzeba 50 proc. plus jeden, nie wystarczy mieć 43 czy 45 proc. Potrzebujemy przynajmniej milion głosów więcej i nasze zadanie na najbliższe miesiące to odpowiedź na pytanie, co możemy zrobić, aby pomóc prezydentowi Andrzejowi Dudzie w utrzymaniu funkcji głowy państwa. Nie ma ważniejszego zadania.

O ile w pierwszej turze głosy opozycji się pewnie rozłożą, bo będzie kilku kandydatów, o tyle druga będzie wielkim plebiscytem za i przeciwko PiS.

Ktokolwiek z opozycji przejdzie do drugiej tury, będzie musiał być potraktowany bardzo poważnie. Jestem przekonany, że prezydent Andrzej Duda nie popełni błędu Bronisława Komorowskiego i nie zlekceważy swojego konkurenta. To będzie dla nas bardzo trudna kampania i nie ma co tego ukrywać. Uważam, że Andrzej Duda jest faworytem, ma wszelkie atuty w rękę, żeby te wybory wygrać, ale wynik na pewno nie jest przesądzony. Z licznych wypowiedzi pana prezydenta wynika, że on świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

Spodziewał się pan, że emocje antypisowskie po tylu latach odżyją z taką siłą? PiS zaferował Polakom wiele transferów społecznych, dużo obiecał, dużo zrealizował. I to nie wystarczyło, by wygrać zdecydowanie. „Otrzymaliśmy dużo, ale załugujemy na więcej” – stwierdził prezes Kaczyński w wieczór wyborczy.

W pełni podpisuję się pod tymi słowami prezesa Kaczyńskiego, że zasługujemy na więcej. To jest to, o czym mówiłem – potencjał PiS jest większy niż 43 proc. i wynik w okolicach 50 proc. jest dla nas jak najbardziej osiągalny. W naszym interesie leży obniżanie emocji i temperatury sporu. Od lat powtarzam, że większe emocje w polityce sprawiają, iż duża liczba wyborców głosuje wbrew własnemu interesowi ekonomicznemu, społecznemu. Oczywiście łatwo to mówić, trudniej zrobić, gdy ma się opozycję, która nas atakuje tak agresywnie, jak robiła to Platforma w ostatnich latach.

Teraz Platforma i Schetyna mają własne problemy wewnętrzne, więc zanim zajmą się PiS, będą zajmować się sobą.

Tak naprawdę trudno przewidzieć, co czeka Platformę. Niezależnie od tego, kto wygra wybory na przewodniczącego partii, grupa pokonanych tego wyboru nie zaakceptuje, więc Platforma przez najbliższe miesiące, jeśli nie lata, będzie rozdarta wewnętrznie. To będzie okazja dla Lewicy, by Platformę dogonić. Z tym że Lewica sama najpierw musi przejść proces integracji i on też nie będzie łatwy, bo tam nie widać wyraźnego lidera ani w sensie partii, ani w sensie osoby, która by niczym Aleksander Kwaśniewski w latach 90. skupiła wokół siebie wszystkie siły. Niemniej Platforma będzie coraz

bardziej przez Lewicę podgryzana i myślę, że sama będzie coraz bardziej przechylać się w lewo. Dlatego w Platformie będzie bardzo mało miejsca zarówno dla polityków centrowych, jak i dla takich wyborców. Z tego trzeba skorzystać.

A PSL jest dziś dla PiS rywalem czy potencjalnym sojusznikiem?

PSL to jest twór niejednorodny. Mamy partię PSL, jest Kukiz z grupą kilku posłów i wyrzuconych przez Schetynę polityków Platformy. Pewnie potrzeba czasu, aż to się wyklaruje. PSL też podgryza Platformę od strony centrowej, podkreślając, że Platforma idzie w lewo. W opozycji będzie nadal trwała rywalizacja, bo wynik wyborów tej rywalizacji nie zakończył. Znam wielu polityków PSL na poziomie gmin czy powiatów, z którymi można i da się współpracować, ale są też oszalali z nienawiści, którzy porównują Jarosława Kaczyńskiego do Hitlera. Zobaczymy, który kierunek ostatecznie PSL wybierze.

Jak wynik wyborów parlamentarnych w Polsce przyjęto w Brukseli?

Politycy europejscy wydają się już pogodzeni z tym, że prawica będzie rządzić w Polsce przez kolejne lata. Myślę, że największy przełom w ich myśleniu nastąpił po wyborach europejskich. Do mają wielu polityków, dyplomatów wierzyło w zapewnienia kolegów z Platformy, że oto zaczyna się marsz opozycji po władzę. Było widać duże napięcie, jeśli chodzi o śledzenie przebiegu kampanii europejskiej w Polsce. To się wiązało także z wejściem do gry Donalda Tuska, bo Tusk uchodził w Brukseli za polityka, który nie przegrywa wyborów. Kiedy on się zaangażował w kampanię, w Polsce uważano, że przegrana Zjednoczonej Prawicy jest przesądzona. Gdy nastąpiło nasze zdecydowane zwycięstwo i wyrażona porażka opozycji, całe to napięcie jakby uszło. Sygnał do odwrotu dali Niemcy, którzy zachowują się w takich sytuacjach bardzo pragmatycznie. Wierzę, że relacje z nową Komisją Europejską mają w końcu szansę być normalne. Będą spory, bo Komisja toczy je niemal z każdym niemal krajem członkowskim, ale skończy się czas, gdy część Komisji ingerowała w proces wyborczy w Polsce i próbowała obalać demokratycznie wybrany rząd, by do władzy doszli politycy, cieszący się większym poparciem eurokratów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIAŻKA

JAN I MAŁGORZATA ŻARYN
„ROK 1939. OD BEZTROSKI
DO TRAGEDII”

~~350~~ zł



138,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
218 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Kidawa-Błońska, czyli Platforma rozedrgana



Piotr Semka

Platforma nie wie, czy chce Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na prezydenta. Nie wie też, czy jej nie chce. PO zastanawia się również, czy można ustalać prezydenckiego kandydata, zanim wybrało się szefa partii. Słowem – chaos i czekanie na decyzję wielkiego Donalda

Kampania prezydencka? „Jestem gotowa podjąć się tego wyzwania” – powiedziała w Radiu Zet 23 października Małgorzata Kidawa-Błońska. Co znaczące – natychmiast dodała, że decyzję tę podejmie Koalicja Obywatelska i że kandydata KO powinniśmy poznać na początku grudnia.

Jak widać, dwa tygodnie od wyborów nauczyły były marszałek Sejmu pokory.



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Trzeba było dopiero wielu poirytowanych głosów wewnątrz PO, że Schetyna chce swoją porażkę w kampanii do Sejmu przykryć hasłem: „A teraz wszyscy razem na nowe wybory” – by Kidawa-Błońska spuściła z tonu.

Nikt zresztą nie wie, jak ma przebiegać procedura wyboru kandydata Koalicji Obywatelskiej do starcia z Andrzejem Dudą. A ona na dodatek odbywa się równoległe z walką o fotel szefa PO.

KARIERA W CINI PARTII

Na zdrowy rozum Małgorzata Kidawa-Błońska powinna znajdować się poza wyborem. Ogłoszona twarzą kampanii wyborczej do Sejmu, prócz wysokiego osobistego wyniku 400 tys. głosów w Warszawie nie przyczyniła się do żadnego sukcesu KO. Jeśli zestawzić łączną liczbę głosów oddanych na Platformę i Nowoczesną w 2015 r. (4 810 844) z liczbą wyborców KO w ostatnich wyborach (5 060 355), to widać dreptanie w miejscu. Formuła dobrej, szlachetnej pani przytulającej nieszczęśliwe kobiety z ludu kiepsko się sprzedawa.

A przecież kampania będzie o wiele bardziej spersonalizowana. Każdy, kto zna polską politykę, wie, że sztaby przenicują życiorysy rywali na wylot. A tu Małgorzata Kidawa-Błońska ma nie tylko mocne strony. Gdy ogłoszono ją kandydatką na premiera w kampanii KO, przychylny jej dziennikarz „Rzeczpospolitej” ogłosił, że jako prawniczka prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego i premiera Władysława Grabskiego „ma papiery na szefa nowego rządu”.

Znacznie bardziej skomplikowany i mniej pasujący do państwowotwórczych laurów jest życiorys jej dziadka Władysława Jana Grabskiego (1901–1970). Walczył on w wojnie 1920 r. i był obiecującym urzędnikiem Biura Ekonomicznego Banku Polskiego, ale gruźlica wygnała go do Zakopanego. Spod Tatr pisywał do pisma „ABC” – organu Bolesława Piaseckiego i jego ONR-Falangi. Jeszcze przed wojną zerwał z Piaseckim. Po 1939 r. służył w AK, ratował Żydów. Po wojnie, już w marcu 1945 r., uległ namowom dygnitarza komunistycznej PPR Edwarda Ochaba i został jego doradcą w Biurze ds. Ziemi Odzyskanych. W 1948 r. odszedł ze stanowiska, protestując przeciw traktowaniu autochtonów na Warmii i Mazurach i zaangażował się w radę odbudowy kościołów Warszawy. Po 1956 r. staje się współpracownikiem

wydawanych przez Piaseckiego tygodników „Kierunki” i „WTK”, choć do samego PAX nie wstąpił. Ojciec Kidawy-Błońskiej – prof. Maciej Władysław Grabski (1934–2016) – skupił się na karierze naukowej w dziedzinie metaloznawstwa.

Sama MKB, jak się zdaje, w epoce PRL od opozycji trzymała się na dystans. Od młodych lat natomiast interesował ją świat filmu. Dzisiaj przynosi to jej niekiedy kłopotliwe sytuacje. W sierpniu br. Internet obiegło jej zdjęcie z Ryszardem Gontarzem – byłym pracownikiem UB, agentem SB, propagandzistą Marca '68, scenarzystą filmu „Zamach stanu” i wreszcie znanym warszawskim playboyem – na planie filmu „Zamach stanu”. Gontarz obejmuje dzisiejszą politykę PO w bardzo poufały sposób, kładąc rękę na jej szyi. Pytana o to zdjęcie przez „Super Express” wyjaśniła, że na plan filmu trafiła jako prawniczka Wojciechowskiego, jednego z antagonistów w walce w maju 1926 r., który był bohaterem filmu o akcji Piłsudskiego. „Nie do końca wiedziałam wówczas, kim jest Ryszard Gontarz”. Na zdjęciu widać jednak dość czułe obejmowanie szyi MKB przez powszechnie znanego wówczas w Warszawie propagandzistę.

Drobiazg? Być może, ale w kampanii prezydenckiej nawet drobniejsze szczegóły potrafiły stawać się bardzo ważne.

W tekstach o Kidawie-Błońskiej, które posypały się po tym, jak zaczęto mówić o jej ewentualnym kandydowaniu na prezydenta, trudno znaleźć ślady udziału w opozycji i aktywności w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, mimo że MKB studiowała do 1983 r. socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. Zbigniew Rykowski, działacz NZS studiujący z Kidawą, pytany o tamte lata odpowiada: „Nie działała w NZS i nie udzielała się w antykomunistycznych wystąpieniach studentów”. Okres drugiej połowy lat 80. i lat 90. to czas jej kariery producenta telewizyjnego w firmie Gambit TV. Wtedy poznaje też swego męża, znanego reżysera filmowego Janusza Kidawę-Błońskiego.

Do PO trafia w 2001 r., by rok potem wygrać mandat w Radzie Warszawy. W 2005 r. z powodzeniem startuje do Sejmu, a w 2006 r. zostaje na siedem lat szefem warszawskiej PO. W 2010 r. zostaje rzecznikiem kampanii prezydenckiej Bronisława Komorowskiego, w 2014 r. rzecznikiem rządu, by w czerwcu 2015 objąć fotel marszałka Sejmu na ostatnie pięć miesięcy VII kadencji.

Bo przecież jej kandydaturę prezydencką niemal jako pewnik ogłosił już w wieczór powyborczy sam Grzegorz Schetyna. Co więcej, tę kandydaturę wsparł szef „Rzeczpospolitej” Bogusław Chrobot, poświęcając jej górnołotny, pełen pochwał wstępniak na pierwszej stronie swojej gazety. Także czołówka „Wyborczej” pod bojową nazwą „Operacja Kidawa” wyglądała jak sankcja dla MKB z redakcji przy ulicy Czerskiej.

Mówiąc krótko, bardziej kariera rzecznika prasowego niż wiecowego polityka. Nikt nie wie, jak może się zachować w sytuacji debaty z wygadanyymi rywalami. W ostatniej kampanii Schety na nie wystawił MKB w żadnej z dwóch debat. A jej niedawne pomyłkowe głosowanie za ustawą broniącą Kościoła przez atakami też nie zwiększyło jej prestiżu.

POMRUKI SPRZECIWU

Jak każda decyzja podjęta jednoosobowo przez Grzegorza Schetynę, tak i wypromowanie MKB na kandydata prezydenckiego musiało w PO wywołać opór. Pierwszą szpilkę wbiła wojownicza ostatnio Julia Pitera. „Rafał Trzaskowski byłby lepszym kandydatem na prezydenta niż Małgorzata Kidawa-Błońska, która nawet bez kartki nie potrafi przemawiać. [...] chyba żeśmy wszyscy zobaczyli, że nawet teksty czytane są czytane z dość dużymi oporami” – mówiła w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

Pitera, pytana, czy Kidawa-Błońska to „format prezydencki”, odparła: „Nie wiem. Ja nie widziałam tych wystąpień porywających tłumy. [...] Uważam, że nawoływanie do miłości i wzywanie, że »współpraca, a nie kłótnie«, jest dość nieszczęśliwe, bo polityka to spór”.

Jeszcze bardziej obcesowy był Władysław Frasyniuk: „Cieszę się, że Kidawa-Błońska dostała 400 tys. głosów w Warszawie. Gdyby Schetyna startował w stolicy, to dostałby pewnie 300 tys. Jednak na ten sukces pracowała Olga Tokarczuk, celebryci czy raperzy, którzy docierali do ludzi ze swoim przekazem. Nie znam żadnego porywającego zdania pani Kidawy-Błońskiej”.

Na tym tle subtelna dyplomatka okazała się Joanna Mucha, wskazując, że każdy, kogo Schetyna będzie wysuwał na prezydenta bez porozumienia z całą partią, ma już na starcie mniejsze szanse.

Sama Kidawa-Błońska wyczuła szybko, że rola nominatki Schetyny szkodzi jej szansom. Wpierw oceniła kampanię do Sejmu na trzy plus, a potem odcieła się od tweetu Schetyny porównującego śmierć ks. Popiełuszki z samospaleniem Piotra S. „To niezręczność. Pamiętałabym też, że rocznica śmierci Piotra Szczęsnego przypada 10 dni później” – mówiła w Radiu RMF.

Różne zygzaki w taktyce byłej marszałek Sejmu nie robią jednak specjalnego wrażenia na coraz bardziej krytycznych wobec jej kandydatury publicystach

liberalnych. Łukasz Pawłowski z „Kultury Liberalnej” zacytował niedawno pochwałę politolog dr Ewy Marciniak: „Autentyczność marszałek Kidawy-Błońskiej jest na tyle dużym atutem, że może »przykryć« jej problem nijakości”. Pawłowski skwitował ten cytat krótkim pytaniem: „A jak ktoś jest autentycznie nijaki?”

Jeszcze bardziej znamienna była twitowa wymiana zdań między Markiem Migalskim, sprzyjającym MKB Waldemar Kuczyńskim i Tomaszem Lisem.

Migalski pisał: „Jeśli PO wystawi partyjnego kandydata w wyborach prezydenckich, ten na pewno przejdzie do drugiej tury i prawie na pewno przegra w niej z PAD. Partyjna kalkulacja podpowiada taką grę, ale państwowa wymagałaby postawienia na kogoś, kto w drugiej turze uzyska głosy całej opozycji”. Migalski doprecyzował swoje obawy tak: „Na MKB w drugiej turze nie zagłosuje nikt z PiS, Konfederacji i mało kto z PSL. Powtarzam: to musi być ktoś pozapartyjny, ale z polityczną werwą: sędzia Matczak, sędzia Markiewicz, J. Owsiak itp. Nie chodzi mi o konkretne nazwiska, ale o sposób myślenia”. Tomasz Lis skrytykował start MKB z innej strony: „Szansy na pokonanie Dudy nie ma grzeczny kandydat, który na papierze przyciąga różne elektoraty, ale fighter, który pójdzie na starcie i wygra. Jak Macron czy Trump”.

JEŚLI NIE TUSK, TO KTO?

Na forach zwolenników Platformy sypią się ostatnio coraz to nowe kandydatury – od Hanny Zdanowskiej, prezydent Łodzi, jako przykładu „samorządowca bliskiego ludzi”, do Szymona Hołowni jako „kandydata mogącego zdobyć głosy katolików”.

Wobec krytyki MKB do gry próbują wbić się zwolennicy lidera PSL – Władysława Kosiniaka-Kamysza. Argumentują oni, że jeśli ktoś ma zabrać wyborców PiS, to musi być to ktoś kojarzący się z chrześcijaństwem i umiarem, a nie z LGBT i czarnymi parasolkami. Krytycy tej opcji odpowiadają: Kamysz jest zbyt konserwatywny, by skusić do głosowania progresywny elektorat i jednocześnie zbyt nijaki, by zdobyć wyborców Dudy sprzed pięciu lat.

Ten rozróżnienie opinii, ale i całe zjawisko niewiary w szanse MKB pokazują ciekawą fenomen. Tradycyjna poprawność typowa dla Unii Wolności, a potem Platformy premiowała Kidawę za estetykę. Podobnie jak Róża Thun czy wcześniej

Andrzej Wielowieyski mieli być konserwatywni w formie, ale liberalni w treści. Tyle że takie kariery możliwe były tylko w świecie III RP bez realnej politycznej konkurencji. Gdy wytworzyli ją PiS i Andrzej Duda, obóz liberalny przestaje udawać, że nie widzi wad MKB. Chce skutecznego kandydata, bo chodzi o ich polityczne przetrwanie. A skutecznego kandydata w zasięgu wzroku nie ma.

W tej sytuacji powraca nienowa fraza: „A może jednak Tusk?”. Bogdan Borusewicz w „Rzeczpospolitej” przekonuje: „Najlepiej, jakby to był wspólny kandydat opozycji [...] dlatego, że wtedy on mógłby rozstrzygnąć wybory na swoją korzyść w pierwszej turze. [...] Uważam, że kandydatem najlepszym jest Donald Tusk”.

Taka opinia polityka z czołówki Platformy pokazuje, że KO będzie tracić czas na wybór kandydata do mitycznego 2 grudnia, gdy obecny szef Rady Europejskiej poinformuje swych wyznawców znad Wisły o swoich planach. Dopóki to nie nastąpi, dopóty w PO trwać może chaos.

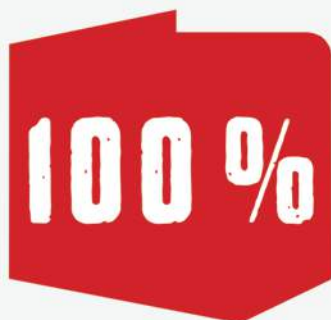
Nikt nic nie wie. Platforma nie wie, czy chce Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na prezydenta. Nie wie też, czy jej nie chce. PO zastanawia się, czy można ustalać prezydenckiego kandydata, zanim wybrało się szefa partii. Słowem chaos i czekanie na decyzję wielkiego Donalda.

Czy wszystko to oznacza gwarancję reelekcji dla Andrzeja Dudy? Bynajmniej. W polskiej polityce po ostatnich wyborach wszyscy są bowiem znacznie mniej pewni siebie.

Obecny gospodarz Belwederu będzie z uwagą czekał na decyzję Donalda Tuska. Jeśli ten uchyli się od walki, Andrzejowi Dudzie przyjdzie najprawdopodobniej zderzyć się w pierwszej turze z trudnym jeszcze do ustalenia kandydatem PO, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem z PSL, Robertem Biedroniem z Lewicy i Januszem Korwin-Mikkem z Konfederacji. Wtedy najlepszym scenariuszem dla prezydenta Dudy będzie wygrana w pierwszej turze. A ta wymaga megamobilizacji prawej strony. W drugiej turze może zadziałać logika „wszyscy przeciw PiS”.

Każda kampania rządu się jednak własną, nieprzewidywalną dramaturgią. Kidawa-Błońska wciąż wierzy w swoją szansę. Wie, że nie jest idealna, ale oprócz Tuska mało kto w PO jest jakoś specjalnie lepszy. Byle dopchać się do drugiej tury...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

ZGŁOŚ SWÓJ PRODUKT

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI





Wieczór wyborczy Konfederacji.
Z lewej: szef sztabu wyborczego
Bartłomiej Pejo, z prawej:
Janusz Korwin-Mikke

FOT. JACEK ŁAGOWSKI/FORUM

Polska na prawo



Rafał A. Ziemkiewicz

Logika tożsamościowego podziału polskiego społeczeństwa sprawia, że Prawo i Sprawiedliwość oraz Konfederacja skazane są na współdziałanie. W obu formacjach nie widać jednak za grosz świadomości tego faktu. Przeciwnie – dominuje wzajemna wrogość, i to szybko narastająca

Jarosław Kaczyński i jego współpracownicy samo wejście do Sejmu drugiego, bardziej radykalnego ugrupowania prawicowego zdają się uważać za naruszenie właściwego porządku rzeczy i omalże zniewagę. Przez wiele lat polityczną doktryną Komendanta było pilnowanie, by na prawo od PiS nie było niczego, lwią część swej aktywności przed rokiem 2003 poświęcił on na zniszczenie konkurencji do rządu dusz nad katolicko-patriotyczną częścią Polski, w szczególności wpływowego w latach 90. ZChN oraz, bliżej współczesności, Giertychowskiej LPR. I oto spacyfikowana już, wydawało się, formacja „narodowego katolicyzmu” zmartwychwstała mu jako Ruch Narodowy Winnickiego i Bosaka. W dodatku w so-

juszu z orientacją wolnorynkową, nawet z lekka libertariańską, której Kaczyński, ukształtowany w podziwie do de Gaulle’a, Adenauera i „społecznej gospodarki rynkowej”, nigdy nie rozumiał i nie cenił.

Z pierwszych powyborczych wypowiedzi liderów PiS przebija uraza do konfederatów, że są i że popsuli PiS zwycięstwo, które mogło przełożyć się na większą przewagę nad opozycją. Jarosław Zieliński oznajmił wręcz, że „źle się stało, iż Konfederacja w ogóle stanęła do wyborów”, bo nie miała szansy na sukces. Na uwagę, że jednak, jak się okazało, miała, odparł lekceważąco, iż „to nie jest żaden sukces”, bo 11-osobowe koło poselskie nie odegra w parlamencie żadnej roli. Wygląda na to, że jego pogląd nie jest w PiS odosobniony,

że panuje tam przekonanie, iż nowy polityczny twór to „wypadek przy pracy” i że musi on podzielić los LPR czy Kukiz’15.

Po stronie Konfederacji królują z kolei resentymenty. Dobrze zakarbowwała sobie wszystkie brudne zagrania, które wobec niej stosowano, wszystkie próby zdyskredytowania jej pomówieniami o agenturalność, inspirację WSI lub wprost Putina, cały PiS-owski „dyskurs wykluczania”, swoją drogą bardzo podobny do tego, jaki przed laty lewicowo-liberalne salony stosowały wobec PiS. Szczególna chęć zemsty zapanowała tam wobec TVP – przy czym wyjątkową furię zwolenników Konfederacji zdaje się budzić zwracanie im uwagi na fakt, że to przecież właśnie ten atak, dzięki nieudolności, z jaką go TVP przeprowadziła, był jedną z przyczyn wyborczego sukcesu.

TRWAŁY PRZEPŁYW?

Poczucie triumfu i przetrwanie prawdziwych czy urojonych krzywd (wielu wyznawców ma w Konfederacji tezę, że gdyby nie „zamilczanie” przez TVP, mieliby wynik jeszcze lepszy i ponad 40 posłów – stąd zapowiedź niezbyt sensownego wniosku o unieważnienie wyborów, ostatecznie za-

stąpionego wnioskiem o powtórzenie ich w okręgach, gdzie konfederaci byli bliscy sukcesu) sprawiają, że nowa formacja nie zaczęła się chyba jeszcze zastanawiać nad swą przyszłością. Tymczasem zadanie, przed którym stoi – przejść z radykalnego marginesu w stronę centrum – jest bardzo trudne. Są jednak dowody (np. historia niemieckich Zielonych), że wykonalne.

Polska stopniowo przesuwana się politycznie na prawo. W roku 2007 liczony wspólnie wynik PO, SLD i PSL był o 5 mln głosów większy od wyniku PiS, LPR i Samoobrony, w kolejnych wyborach przewaga liberalnej lewicy stopniowo topniała, aż do stanu obecnego – 9,3 mln głosów na PiS i Konfederację wobec 8,5 mln SLD, PO i PSL (a wypada uwzględnić, że PSL swój sukces zawdzięcza odcięciu się od lewicy i od formuły „opozycji totalnej” oraz wizerunkowej zmianie w „koalicję Polską”). Zarazem jednak PiS, walcząc o bezwzględnie większość, bardzo rozciągnął się w kierunku centrum – jak się okazuje, za bardzo, by zachować wyborczy habitat, w którym przetrwał najtrudniejsze dla siebie lata.

Trudno wyrokować, nie mając w ręku solidnego badania wyborczych przepływów (a takiego jeszcze nie zrobiono), co bardziej przyciągnęło byłych wyborców PiS do Konfederacji. Przeszarżowanie w obietnicach socjalnych, zwłaszcza zapowiedzi dotyczące płacy minimalnej i ZUS, czy rozczarowanie kunktatorstwem zabiegającej o centrum partii władzy w sprawach takich jak aborcja, roszczenia żydowskie i LGBT. Poza dyskusją jest jednak, że Konfederacja zasiłowała się rozczarowanym elektoratem PiS. I to, wydaje się, w większym stopniu niż elektoratem „antysystemowym”, osieroconym po przejściu Pawła Kukiza do PSL.

Zła wiadomość dla PiS jest taka, że ten przepływ ma wszelkie dane nabierać charakteru trwałego. Trudno sobie wyobrazić, by w rozpoczynającej się kadencji PiS zdołał utrzymać przy sobie tak bezprecedensowo wielką liczbę wyborców. Nawet jeśli znajdzie pomysły i sposoby ich realizacji, by w zauważalny dla wyborców sposób poprawić służbę zdrowia i wymiar sprawiedliwości, narastać będzie zmęczenie jego władzą i kolejnymi nieuniknionymi incydentami w rodzaju sprawy Banasia. Przyszłość Polski zależy od tego, w którą stronę będą rozczarowani odpływali. Bardziej na prawo, do Konfederacji – czy, co również miało miejsce w tej kampanii, do rozrastającego się w centrum PSL? Dla Polski ten pierwszy wariant jest znacznie

dla lepszego, dla samego PiS również – bo Konfederacja, nawet jeśli urośnie kilkakrotnie, będzie pod silną presją na antylewicowy sojusz z PiS, podczas gdy PSL prawdopodobnie przeprowadzi tradycyjny elektorat na stronę PO i Lewicy, postulujących bezwarunkowe poddanie się ekonomicznej i kulturowej kolonizacji.

Trudno powiedzieć, czy PiS przekonany o własnej sile i pełny lekceważenia dla radykałów, potrafi myśleć w podobnych kategoriach jak Leszek Miller, który swego czasu, świadom „zużycia siebie” SLD, dyskretnie hodował sobie jako przyszłego koalicjanta Samoobronę. Obóz przeciwny natomiast wyraźnie tę dalszą perspektywę dostrzega i licząc na antyendecką fobię Komendanta, kusi go do tworzenia wokół Konfederacji „kordonu sanitarnego” – z łatwym do przewidzenia rezultatem.

ZEJŚĆ ZE ŚCIEŻKI RADYKALIZMU

Taki „kordon” może też jednak Konfederacja sama stworzyć wokół siebie i widać do tego silną tendencję. Jej liderów kusi wygoda, którą daje pozycja wiecznej partii protestu, na kilkuprocentowym marginesie, z niewielką, ale zwartą grupką zwolenników, z której można żyć latami, za nic nie odpowiadając i nie mając pokusy zniesienia się do jakichkolwiek kompromisów. Stąd silna w Konfederacji retoryka „PiS, PO – jedno zło” i demagogiczne głupstwa o „bandzie czworga”, niezastępowanej jakoby na jakiegokolwiek różnicowanie. Trwanie w niej – zwłaszcza w połączeniu z liberalną pogardą dla „socjalnych” wyborców PiS – nie tylko zamknie Konfederację na radykalnym marginesie, na którym całe życie spędził Korwin-Mikke, lecz także bardzo ograniczy potencjalny przepływ rozczarowanych wyborców PiS. W czarnym scenariuszu samomarginalizująca się Konfederacja, zdolna krytyką „zdrady ideałów” demobilizować i podbierać elektorat PiS w stopniu wystarczającym do utraty przez neosanację władzy, ale niezdolna go zagospodarować dla realnej polityki, stanie się wtedy, mówiąc hasłowo, patriotycznym „pożytecznym idiotą” Timmermansów i Sorosów.

O ile wiadomo, kto podejmuje decyzje w PiS, o tyle co do Konfederacji nie ma takiej pewności. Przywództwo Korwin-Mikkego, choć on sam zdaje się tego nie przyjmować do wiadomości, zostało już wyraźnie zakwestionowane – w kampanii wyborczej zdołano go skutecznie ukryć, nie bez trudu chyba, sądząc po tym, z jaką furją potem wyładowywał frustrację,

atakując w wieczorze wyborczym Bogdana Rymanowskiego (w przedwyborczy piątek, jak poinformował ten ostatni, to, że do studia przyjdzie jednak Winnicki, a nie Korwin-Mikke, okazało się 20 minut przed emisją). Nie zdołał też Korwin-Mikke prze-forsować pomysłu podziału ugrupowania na dwa sejmowe koła – swoje i narodowców. To daje nadzieję, że Konfederacja zejdzie ze ścieżki skrajnego radykalizmu i podgryzania PiS, pod pretekstem zwalczania wyimaginowanej „bandy czworga”, ale w istocie w interesie „opozycji totalnej”.

Jednak tylko nadzieję. Winnicki i Bosak wielokrotnie dawali wyraz fascynacji drogą węgierskiego Jobbiku – a ten skończył przecież w antyurbanowskiej koalicji z węgierskimi odpowiednikami SLD i Wiosny. Z kolei po stronie „postkorwinizmu”, choć widać godnych uwagi, merytorycznych polityków, takich jak Sośnierz, Kulesza czy nieobecny niestety w Sejmie Mentzen, nie pojawił się jeszcze przywódca.

RYWALIZACJA WE WSPÓLNOCIE

Tymczasem trzeba szybko podejmować decyzję co do wyborów prezydenckich. Niewystawienie w nich własnego kandydata Konfederacji zamknie jej na dłuższy czas drogę do wyższej ligi. A wystawić nie ma kogo, poza – jak zawsze zapewne chętnym – Korwin-Mikkem, czego odbiór byłby wiadomy. Z drugiej strony PiS wydaje się nie zauważać, że jeśli kampania zmieni się w kolejny plebiscyt za i przeciw PiS, a to bardzo prawdopodobne, reelekcja Andrzeja Dudy nie jest wcale pewna. A na pewno, jeśli założy się – jak to publicznie oznajmił już Jarosław Gowin – że elektorat Konfederacji się w tej układance nie liczy, bo „i tak nie zagłosuje” (?!). Wyraźne poparcie dla obecnego prezydenta byłoby korzystne dla obu stron, ale wymagałoby jakiegoś znaczącego gestu wobec Marszu Niepodległości i postulatów wolnorynkowych. Tymczasem na razie prezydent, wręcz przeciwnie, broni fatalnych obietnic płacy minimalnej, a jego urzędnicy dystansują się od Marszu.

Zarówno ugrupowanie rządzące, jak i obchodząca je od flanki radykalna prawica muszą zrozumieć, że jeśli przekroczą granice uczciwej rywalizacji w obrębie wspólnoty nadrzędnych celów, to oddadzą Polskę siłom, po których nie będzie już czego naprawiać. Czas płynie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE ROZMOWĘ Z ROBERTEM WINNICKIM NA STR. 54

Chłopi wchodzą do miasta

Trzeciego listopada w niewielkich Wierchosławicach ma się odbyć specjalne powyborcze spotkanie Rady Politycznej PSL, podsumowujące wynik wyborczy partii, sposób prowadzenia kampanii i jej efekty. Przede wszystkim będzie to jednak wielkie święto Władysława Kosiniaka-Kamysza. O liderze PSL, po nieudanej kampanii do Parlamentu Europejskiego i krytykowanym przez środowiska wiejskie mariażu z lewicową Koalicją Europejską, mówiono, że będzie tym, który „wyprowadzi sztandar ruchu ludowego”. Tymczasem PSL nie tylko ze sporą nadwyżką przekroczyło próg wyborczy (8,55 proc. głosów), wprowadziło 30 posłów, lecz także stało się języczkiem u wagi w Senacie – trzy mandaty. W dodatku jego rywal i szef największej opozycyjnej wobec Władysława Kosiniaka-Kamysza frakcji w PSL – Waldemar Pawlak – przegrał walkę o miejsce w Senacie.

– Dokonuje się bardzo ciekawy proces wymiany wyborców. Partia z jej historycznym, ludowym sztandarem, postrzegana niemal jako partia klasowa



Wojciech Wybranowski

Polskie Stronnictwo Ludowe pierwszy raz w historii zyskało reprezentantów w dużych miastach i sympatię przedsiębiorców. Teraz ludowcy mają plan na budowę silnej opozycji, konkurencyjnej wobec Platformy Obywatelskiej, ale nie wykluczają współpracy z rządem

związana z wsią i rolnictwem, zyskała pierwszych wyborców w miastach. Stało się to dzięki próbie przywrócenia obrazu PSL jako partii umiarkowanego stronnictwa bardzo różnych wyborców – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Rafał Chwedoruk, politolog. Podkreśla, że partia, którą przedwyborcze sondaże sytuowały na granicy progu wyborczego, w ostatecznym rozrachunku zyskała wyborców kosztem Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej, nastąpił też pewien przepływ wyborców Kukiz’15 – to dzięki sojuszowi z ugrupowaniem Pawła Kukiza w ramach Koalicji Polskiej.

– To polityczny sukces ludowego stronnictwa, o którym ta partia od lat marzyła. Rodzą się jednak pytania o trwałość tego zjawiska. Przykład Kukiza pokazuje, że bardzo trudno jest zróżnicowanych wyborców utrzymać przy jednej eklektycznej partii – zwraca uwagę ekspert.

NOWA LUDOWA PLATFORMA

W wieczór wyborczy kamery, tuż po ogłoszeniu wyniku PSL, uchwyciły Władysława Kosiniaka-Kamysza stojącego z wyrazem ogromnej ulgi na twarzy. Dzisiaj lider ludowców w rozmowie

z „Do Rzeczy” mówi, że się spodziewał, iż partia przekroczy próg, ale po przebudowie stoi na początku nowej drogi.

– Wyborcy dali nam zielone światło do budowania racjonalnego centrum, szerszego niż samo stronnictwo, stąd np. współpraca z Pawłem Kukizem, Markiem Biernackim, z przedsiębiorcami i rzemieślnikami – mówi Kosiniak-Kamysz. I dodaje: – Na Radzie Politycznej zapadną bardzo ważne decyzje w sprawie naszej dalszej aktywności.

Na pewno partia będzie chciała skonsolidować sukces, który dało jej otwarcie na środowiska przedsiębiorców. PSL przed wyborami mówiło m.in. o konieczności obrony przedsiębiorców przed nadmierną biurokracją i obciążeniami fiskalnymi. Jednym ze sztandarowych postulatów PSL w kampanii wyborczej był pomysł dobrowolnego ZUS dla przedsiębiorców. PSL krytykowało też pomysł PiS zwiększenia pensji minimalnej, mówiąc, że lepszym rozwiązaniem byłoby podniesienie wysokości kwoty wolnej od podatku. Jak mówią nasi informatorzy w PSL, na Radzie Naczelnej PSL mają pojawić się kolejne postulaty mające budować wizerunek PSL jako partii bliskiej przedsiębiorcom. Dlaczego? „Bo to grupa wyborców, o której zapomnieliśmy zarówno PiS, jak i PO. Nie mają dziś swojej reprezentacji” – słyszymy od jednego z naszych rozmówców w PSL.

– Na pewno przedsiębiorcy są grupą, która potrzebuje docenienia, potrzebuje uznania, bo to ich wkład pracy dał szansę na realizację „500+” – mówi „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz. – Ta kadencja powinna być poświęcona ludziom ciężkiej pracy, płacącym podatki, składającym się na całe społeczeństwo. I to oni powinni być docenieni, o nich będziemy zabiegać, o ich warunki funkcjonowania, by nie przenosili działalności do Czech czy na Słowację – dodaje.

Prawdopodobnie już w Wierchostawicach lider PSL usłyszy, że powinien być kandydatem Koalicji Polskiej tworzonej przez PSL i ruch Kukiza na prezydenta RP. Będzie to wyłącznie deklaracja, bo sam Kosiniak chce, by ewentualna decyzja była wynikiem ustaleń także z Kukizem. Jednak raczej na pewno ludowcy wystawią własnego kandydata w wyborach prezydenckich. Nie ukrywają też, że dalsza współpraca z PO w ramach Koalicji Obywatelskiej i bycie przystawką dla Grzegorza Schetyny już ich nie interesuje.

– Nie ma takiej możliwości, by był jeden kandydat opozycji. Z pewnością więc będzie W.K.K. kandydował na prezydenta z poparciem PSL – stanowczo mówi Marek Sawicki, poseł PSL. – W pierwszej turze będziemy popierać naszego kandydata, co będzie dalej, trudno dziś powiedzieć – dodaje.

Najprawdopodobniej też w listopadzie zapadnie decyzja, o której dziś głośno mówią politycy PSL – że ugrupowanie Kosiniaka-Kamysza nie wejdzie oficjalnie w żadną koalicję z PiS ani nie dołączy do bloku skupionego wokół Schetyny. Ludowcy nie ukrywają jednak, że są otwarci na współpracę z PiS, nawet jeśli będzie ona miała mniej oficjalny charakter.

– Będziemy racjonalną opozycją, tak jak w tej kadencji poparliśmy „500+”, tak jak będą dobre prospołeczne czy progospodarcze projekty, to będziemy je popierać. Jak będą głupie projekty, które niszczą wspólnotę, to będziemy je zwalczać. Jedno jest pewne: w totalnych zachowaniach z jednej czy z drugiej strony nie będziemy brać udziału – mówi nam lider PSL.

Polskie Stronnictwo Ludowe już rozpoczęło swoją grę polityczną, której celem mają być kreowanie ugrupowania na chadecką konstruktywną opozycję, wyraźne odróżnianie się od Platformy i przejmowanie części jej wielkomiejskiego elektoratu. Czy taka taktyka może okazać się skuteczna?

– Przyszłość PSL rozstrzygnie się w wielkiej grze, w której ludowcy uczestniczą, choć nie są głównym rozgrywającym. Jeśli obecny układ władzy w PO się utrzyma, to nie ulega wątpliwości, że PO będzie chciała podtrzymać status głównej partii opozycyjnej i że PSL, znajdując się w nieco gorszej sytuacji, będzie się musiało do tego odnieść – mówi prof. Rafał Chwedoruk. – Jeśli jednak dojdzie do zmiany władzy w PO, to kolejnym etapem gry będą lansowanie prezesa PSL jako głównego kandydata opozycji i budowa dwubiegowości opozycji: z radykalnie antyrządową PO i umiarkowanym PSL – uważa ekspert.

TAK SAMO, A JAKBY INACZEJ

PSL, które w Senacie zdobyło tylko trzy mandaty, w pełni wykorzystuje jednak swoje atuty, które daje mu podział miejsc w izbie wyższej. Bez głosów ludowców – o ile Prawo i Sprawiedliwość nie uda się pozyskać któregoś z senatorów PO – ustawy będą mogły być przetrzymywane tam przez wiele dni. PiS sondował co

najmniej jednego z przyszłych senatorów PSL do przejścia do PiS, podobne rozmowy prowadzili też nieoficjalnie z ludowcami działacze Porozumienia Jarosława Gowina, ale nie przyniosły one efektu. Nieoficjalnie zarówno w PiS, jak i w PSL niektórzy działacze przebakują jednak o rozmowach, które mają prowadzić do cichego porozumienia – „my poprzemy was w Senacie, wy zagłosujecie za naszymi projektami w Sejmie”. Ile w tych kuluarowych pogłoskach jest prawdy, pokaże dopiero głosowanie nad kandydatem na marszałka Senatu.

– Ta kadencja będzie inna i Senat też będzie inny. My jesteśmy otwarci na to, by w Senacie była współpraca opozycji z koalicją rządzącą. I dobrze, by Senat nie był izbą blokującą, ale też by był izbą inicjującą, wykorzystując inicjatywę legislacyjną. Spo-

Prawdopodobnie już w Wierchostawicach lider PSL usłyszy, że powinien być kandydatem Koalicji Polskiej na prezydenta RP

dziewam się porządniejszej legislatury po Sejmie. Jeśli PiS się zreflektuje i wprowadzi inne zasady pracy w Sejmie, to będzie też łatwiej znaleźć porozumienie w Senacie – słyszymy od posła Sawickiego.

W kuluarach PiS niektórzy spekulują jednak, że cicha ewentualna współpraca z PSL w Senacie mogłaby oznaczać dodatkowe frukta dla ludowców. Jakież? Dostęp do władzy w sejmikach samorządowych, w których w 2018 r. PiS wyparł PSL. W kilku przypadkach, np. w województwie świętokrzyskim, ludowcy stracili swoje bastiony, stanowiące zaplecze finansowe dla działaczy, ich rodzin i zaangażowanych wyborców.

Pytamy o to Sawickiego. Ten jednak uciną: – Myślę, że to za daleko idące spekulacje. Gdybyśmy chcieli taką współpracę poszerzyć, zrobilibyśmy to rok temu. Ze strony rządzących takiej przestrzeni nie było zbyt wiele.

Ludzie na górze PiS mówią jednak, że takiej woli nie było też ze strony ludowców, a w partii Kaczyńskiego strategia „zaorania” PSL ostatecznie nie zakończyła się sukcesem, co na obu ugrupowaniach wymusza „nowe otwarcie”.



Łukasz Warzecha

Młoda lewica jest lepiej wykształcona, ale za to ideologicznie skrzywiona i niebezpieczna. SLD będzie miał z nią problem

Czy to szef PZPR zamordował Popiełuszkę czy po prostu bandyta? – to stwierdzenie Włodzimierza Czarzastego wielu oburzyło. Oburzać może, bo przewodniczący SLD w rozmowie w Robertem Mazurkiem próbował dowodzić, że mordowanie ludzi w PRL nie miało wiele wspólnego z komunizmem i rządami PZPR, ale nie powinno zaskakiwać. W końcu Czarzasty przemawiał do własnego elektoratu. Jednak uwaga: własnego znaczy nie elektoratu całej Lewicy takiej, która jest dziś w Sejmie, ale Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Jego podstawą stała się Socjaldemokracja RP (rozwiązana ponad 20 lat temu), będąca z kolei bezpośrednim następcą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Obecna sejmowa lewica jest w gruncie rzeczy niespójną hybrydą, której wyborcy mocno się różnią. Nie jest nawet pewne, czy powstanie jeden lewicowy klub.

SLD jest ugrupowaniem starej – także wiekowo – lewicy i nietrudno zidentyfikować jego typowego wyborcę. Jego główną cechą nie jest wcale upodobanie do rozwiązań socjalnych czy równościowych bredni, ale stosunek do PRL-owskiej przeszłości. To albo dawny pracownik aparatu państwowego, albo PRL-owskich służb, albo ktoś, kto w PRL odniósł sukces dzięki układom i znajomościom, doskonale się tam urządził, a w III RP sobie średnio poradził. Nie jest w stanie zaakceptować tego, że bohaterowie jego najlepszych lat, od Berlinga do Gierka – nawet jeśli wtedy miał do nich stosunek czysto cyniczny – w niepodległej Polsce zostali strąceni z piedestału. Odbiera to jako osobisty despekt. O żołnierzach podziemia niepodległościowego nie powie inaczej niż „bandyci”, Kuliński to dla niego zdrajca, Kościół to panoszący się „czarni”, a Popiełuszko mógł siedzieć cicho lub przynajmniej wyjechać na studia do Rzymu, jak proponował mu prymas Glemp, a wtedy nic by mu się nie stało.



Włodzimierz Czarzasty (SLD)
celuje w inny elektorat niż
Adrian Zandberg (Razem)

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Na lewo w Sejmie

Do takiej publiczności przemawia Czarzasty, mając zarazem pełną świadomość, że ta grupa wyborców kurczy się w naturalny sposób. W 2015 r. koalicyjny komitet, którego trzonem był SLD, dostał 1,14 mln głosów przy frekwencji wynoszącej niecałe 51 proc. W ostatnich wyborach, przy frekwencji wyższej o 11 pkt i połączeniu sił trzech ugrupowań (SLD, Wiosna, Razem), głosów było 2,31 mln. To nie wskazuje na olbrzymią dynamikę wzrostu poparcia.

PROBLEMATYCZNA WIOSNA

Najmniej istotnym i najmniej ciekawym składnikiem tegorocznej koalicji jest Wiosna. To sukces, ale tylko jeśli traktować ją jako osobisty projekt Roberta Biedronia.

Lider dostał się dzięki niej do Parlamentu Europejskiego (wraz z niepodrabialną Sylwią Spurek, chodzącą karykaturą lewaka), a jego „chłopak” Krzysztof Śmiszek – do Sejmu. I właściwie na tym rola Wiosny się skończyła, choć z list SLD weszło do parlamentu aż 17 osób związanych z ugrupowaniem Biedronia. Są wśród nich Joanna Scheuring-Wielgus czy Wanda Nowicka. Niepasującym elementem jest dr Maciej Gdula, politolog, jeden z najciekawszych umysłów lewicy. Reszta jest zafiksowana na sprawach mniejszości seksualnych i kilku standardowych wątkach, podniecających nowoczesną lewicę: totalistycznie pojmowanej ekologii, aberracyjnej politycznej poprawności, walki z „nienawiścią” – czyli z tym wszystkim, co może szkodzić lewicy.

W wersji Wiosny to jałowy sztafaż, który mógłby stanowić wygodne dla Czarzastego uzupełnienie przekazu kierowanego do starzejącego się elektoratu i dawać możliwość zwabienia młodszych wyborców. Zwłaszcza że intelektualnie i taktycznie ludzie Wiosny nie są dla Czarzastego, staro politycznego wygi, żadnymi partnerami i mogliby zostać potraktowani w stu procentach instrumentalnie.

Tutaj jednak może się pojawić problem, bo wprawdzie z jednej strony zachodziłaby tu pozytywna synergia, gdyby SLD mógł Wiosnę stopniowo wchłaniać – Biedroń chyba nie miałby nic przeciwko temu, szczególnie gdyby dzięki temu mógł zostać kandydatem lewicy na prezydenta. Z drugiej – Czarzasty musi zdawać sobie sprawę, że przekaz Wiosny będzie stanowił potencjalny problem dla tradycyjnego elektoratu SLD. Jakkolwiek bowiem są to ludzie głęboko osadzeni w PRL-owskim sentymencie, to paradoksalnie są też dość konserwatywni obyczajowo. SLD nigdy nie siedł w awangardzie obyczajowych nowinek, a podczas swoich rządów pod koniec lat 90. i na początku 2000 r. dbał o dobre relacje z Kościołem. Z tego punktu widzenia bliskie przymierze z Wiosną, której przekaz oparty jest głównie na powtarzanych bezmyślnie kalkach radykalnej zachodniej lewicy, może być dla Czarzastego kłopotliwe. Przed wyborami Czarzasty miał sygnalizować, że zadowolili go wynik na poziomie 9 proc., bo wtedy do Sejmu weszliby głównie przedstawiciele SLD, a dwóch pozostałych aliantów zostałyby zmarginalizowane. Poszło jednak za dobrze.

No i wreszcie jest Razem. Jeszcze trzy lata temu w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” Adrian Zandberg powiedział o SLD: „W każdym razie resztki tej formacji nie zaprzatają szczególnie naszej uwagi. Oczywiście to, że przez lata pod słowem »lewica« funkcjonowała w Polsce partia pełna skorumpowanych aparatczyków, w dodatku wdzieczająca się do biznesu i mająca w nosie pracowników, będzie jeszcze długo utrudniało nam przekonywanie ludzi do lewicy. Polacy tyle razy zawiedli się na politykach, że dziś największe wyzwanie dla Razem to udowodnić, że gdy mówimy o sprawiedliwej społeczności i demokracji, to jesteśmy wiarygodni”.

Była to jedna z bardzo wielu wypowiedzi Zandberga na temat SLD w podobnym tonie. Teraz Razem weszło do Sejmu na plecach „partii pełnej skorumpowanych

aparatchyków”. I to chyba jakoś Zandberga jednak uwiera, bo podczas publicznych okazji widać, że chemii między nim a Czarzastym nie ma. Przy czym, o ile Wiosna z 17 posłami mogłaby utworzyć własny klub, o tyle Razem, które wprowadziło sześćdziesięciu posłów, jedynie koło.

Razem, w przeciwieństwie do Wiosny, to lewica nowoczesna, ale poważna, a nie kabaretowa. I dlatego, z punktu widzenia konserwatysty, nawet groźniejsza, lecz także wyraźnie odmienna od postkomunistycznych klimatów. Swego czasu, po wyborach sprzed czterech lat, w których głosy na lewicę się podzieliły i za sprawą Razem koalicja SLD nie weszła do Sejmu, ten rozjazd pomiędzy lewicą postkomunistyczną a „młodą” został przywitany z dziecinny entuzjazmem przez niektórych publicystów sprzyjających PiS. List do ludzi z Razem opublikował nawet w „Gazecie Polskiej” Piotr Lisiewicz, uznający się sam za zacieklego antykomunistę. Stwierdzał, że to z Razemami da się rozmawiać.

FANATYCY Z RAZEM

To oczywiście kompletne złudzenie. Z konserwatywnego, ale też pragmatycznego punktu widzenia znacznie łatwiej wyobrazić sobie rozsądną współpracę czy przynajmniej pakt o nieagresji ze „starymi komuchami” z SLD niż młodymi ideowcami z Razem. Ci ostatni mają niezłe przygotowanie teoretyczne – to lata pracy bardziej thinktankowej niż politycznej, wiele dyskusji, analiz i artykułów programowych – ale to również typowy dla młodej lewicy fanatyzm w forsowaniu własnych idei. W programie Razem roi się od populistycznych pomysłów, których realizacja oznaczałaby ruinę gospodarki i koniec osobistej wolności. W tym wolności słowa.

Mamy więc zapowiedź maksymalnie progresywnej skali podatkowej jako „sprawiedliwej”. Mamy postulat zniesienia limitu 30-krotności składek na ZUS (to sprawa, w której PiS będzie musiał za moment podjąć decyzję). Jest też mowa o zniesieniu „przywilejów” podatkowych Kościoła. Mamy ściśle ideologiczne zapowiedzi, takie jak „kompleksowe ustawodawstwo antydyskryminacyjne, które zapewni pełną i skuteczną ochronę przed dyskryminacją w takich sferach jak dostęp do dóbr i usług, edukacja, ochrona zdrowia czy zabezpieczenie społeczne”, ułatwienie prawnej procedury „uzgodnienia płci” (cokolwiek

ten nowolewacki termin ma oznaczać), a „wszelkie procedury medyczne w tym zakresie” mają być „bezpłatne” (czyli finansowane przez podatnika). Jest też mowa o tym, że „prawna korekta płci nie będzie wymagać medycznej korekty płci”. Do Kodeksu karnego Razem chce wprowadzić „przestępstwa związane z nienawiścią na tle orientacji psychoseksualnej i tożsamości płciowej”, czyli po prostu uderzyć w wolność słowa.

W niektórych jednak sprawach Razem dzieli postulaty z ugrupowaniami z całym innej strony spektrum. W programie jest bowiem na przykład punkt: „Wniosek o referendum podpisany przez

Jeśli gdzieś szukać zagrożenia dla konserwatywnego ładu, to nie w partii Włodzimierza Czarzastego, ale wśród ludzi Adriana Zandberga

500 tysięcy obywateli nie może zostać zignorowany przez parlament”, choć nie bardzo wiadomo, co znaczy stwierdzenie „nie może zostać zignorowany”.

Jeśli gdzieś szukać poważnego zagrożenia dla konserwatywnego ładu (jakkolwiek samo PiS zrobił niewiele, żeby go utrwalić), to nie w partii Czarzastego, ale właśnie wśród ludzi Zandberga. Czy to jest realne zagrożenie – czas pokaże. Lewica poszła do wyborów formalnie nie jako koalicja, a więc samo Razem nie ma prawa do państwowych subwencji. Rękę na pieniądzech trzyma SLD, a ludzie z ugrupowania Zandberga mogą jedynie dodawać Sejmowi kolorytu. W dodatku – paradoksalnie – ich thinktankowe przygotowanie może zadziałać przeciwko nim. W dzisiejszej polskiej polityce liczą się bowiem głównie bon moty i efekciarskie chwytły. Istnieje duża szansa, że wizerunek sejmowej lewicy będą w tej kadencji tworzyć historyczne tyrady poseł Scheuring-Wielgus lub odstraszaające przeciętnego wyborcę wynurzenia posła Śmiszka, a nie wygłaszane na chłodno analizy Marceliny Zawiszy z Razem.

Pragmatycznie rzecz biorąc – lepsza jest lewica postkomunistyczna lub wariacka niż zimno fanatyczne towarzystwo razemowych neomarksistów.

**Z Mariuszem
Dzierżawskim,
pełnomocnikiem Komitetu
Inicjatywy Ustawodawczej
„Stop Pedofilii”**



rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Celem projektu ustawy przygotowanego w ramach projektu „Stop Pedofilii” jest „zapewnienie prawnej ochrony dzieci i młodzieży przed deprawacją seksualną i demoralizacją”. Jako źródło tych zagrożeń jednoznacznie wskazana jest edukacja seksualna. Dlaczego?

MARIUSZ DZIERŻAWSKI: W ostatnich miesiącach w Polsce toczyła się gorąca debata na temat edukacji seksualnej. Dzięki niej Polacy dowiedzieli się, że wychwalane przez wielu polityków „Standardy edukacji seksualnej w Europie” promują masturbację już od żłobka, a w przedszkolu dzieci mają dowiadywać się o związkach osób tej samej płci i akceptować różnorodność.

Od szóstego roku życia dzieci mają poznawać różne metody antykoncepcji. Dwunastolatki mają rozwijać umiejętności negocjowania i komunikowania się w celu uprawiania bezpiecznego seksu. Nietrudno dostrzec, jak taka „edukacja” sprzyja zachowaniom pedofilskim.

Ustawa przewiduje wyższe kary za pochwalanie za pomocą środków masowego przekazu seksu przed osiemnastką niż za publiczne pochwalanie lub propagowanie zachowań o charakterze pedofilskim. Można to zinterpretować tak, że pedofilia jest mniejszym złem niż współżycie małoletnich. Czy tak jest? A jeśli tak, to dlaczego?

Promowany przez „Gazetę Wyborczą” seksuolog twierdzi, że jeśli dziewięciolatek zgadza się na seks z dorosłym, to nie można mówić o pedofilii. Faktycznie zachęca w ten sposób do wykorzystywania seksualnego dziewięciolatek. Seksedukatorzy grasują w szkołach i zachęcają dzieci do masturbacji, oglądania pornografii i doświadczeń seksualnych. Nie dopuszczają się wprost aktów pedofilskich, ale zwiększają ryzyko, że dzieci staną się ofiarą pedofilów. Zakres szkód, wyrządzonych dzieciom w ten sposób, może być większy niż działalność pedofila.

„Odpowiedzialne za »edukację« seksualną środowiska wchodzą do kolejnych placówek oświatowych w Polsce, rozbudzając dzieci seksualnie oraz promując wśród uczniów homoseksualizm, masturbację i inne czynności seksualne” – czytamy w treści uzasadnienia

Seksedukacja sprzyja zachowaniom pedofilskim

FOT. PAMEL SUPERNAK / PAP



projektu. Z czego wynikają te praktyki seksedukatorów? Jaka idea im przyświeca?

W broszurze „Jak powstrzymać pedofila” dostępnej na stoppedofilii.pl znajdują się przykłady seksedukatorów, którzy okazali się pedofilami. Najbardziej spektakularnym przykładem jest Benjamin Levin, wieloletni wiceminister edukacji w kanadyjskiej prowincji Ontario, który był odpowiedzialny za program edukacji seksualnej. Levin został aresztowany przez policyjną jednostkę ds. przestępstw seksualnych i oskarżony o siedem przypadków wykorzystywania dzieci, w tym o posiadanie pornografii dziecięcej i dostęp do niej.

Seksedukacja prezentowana przez wspomniane wcześniej „Standardy” to nic innego jak przygotowanie dzieci na to, aby stały się ofiarami pedofilów.

Jakie są najgroźniejsze skutki seksualizacji dzieci? Do czego to wszystko może prowadzić?

Seksualizacja to stan, w którym samo dziecko postrzega siebie jako seksualny obiekt. Takie dziecko jest idealną ofiarą dla pedofila. Jednak szkody wyrządzone przez seksualizację mają większy zakres. Jeśli dorastające dzieci koncentrują swoje zainteresowania na seksie, to blokowany jest ich rozwój w innych obszarach. Mamy

w tej chwili w Polsce epidemię uzależnień od pornografii i seksu. Te uzależnienia mają skutki negatywne podobne do uzależnienia od alkoholu albo od nich gorsze. Wielu ludzi chce się uwolnić, ale terapia jest trudna.

Czy nie uważa pan, że potrzebna jest taka czy inna forma rzetelnej edukacji seksualnej, w ramach której dzieci nie byłyby namawiane do współżycia, ale uczone, jak dbać o własne bezpieczeństwo, gdy już same się na to współżycie decydują?

Wprowadzeniem dzieci w świat płciowości powinni zajmować się rodzice. To trudne zadanie, wymagające dobrych relacji z dziećmi, wiedzy i delikatności. Dlatego wielu rodziców wolałoby pozbyć się tego obowiązku, przekazując go „ekspertom”. Nie zdają sobie sprawy, że ci „eksperci” w większości przypadków szkodzą dzieciom. Jeśli mówimy w tym kontekście o edukacji, to przede wszystkim potrzebna jest ona rodzicom. Trzeba również pamiętać, że płciowość to sprawa intymna i dlatego należy o niej mówić w warunkach intymnych. Zajęcia w kilkudziesięcio- lub kilkunastoosobowej klasie nie spełniają tego warunku.

Olgiert Pankiewicz stwierdził, że ten projekt „w ogóle nie dotyczy edukacji”. Jednak przecież dotyczy, o czym możemy przeczytać w uzasadnieniu. Czy ustawa „Stop Pedofilii” nie powinna raczej nosić nazwy „Stop Edukacji Seksualnej”?

Uzasadnienie to tło, a nie treść prawa. Nie ma w projekcie zakazu edukacji ani rozpowszechniania wiedzy o seksualności człowieka. Proszę pamiętać, że to jest przecież projekt zmiany w kodeksie karnym, który zakazuje czynów będących ekscesami, marginesem życia społecznego. Nie należy mylić ekscesów samowolnych seksedukatorów z samą edukacją.

Ustawa zakłada odpowiedzialność karną za pochwalanie lub propagowanie obcowania płciowego przez osoby małoletnie. Czyli również przez młodzież do 18. roku życia. A przecież od 15. roku życia współżycie jest dozwolone. Seks z osobą 16-, 17-letnią to nie jest pedofilia. Dlaczego propagowanie czegoś, co jest legalne, ma być nielegalne?

To, że coś jest dozwolone prawnie, nie znaczy, że jest moralnie godziwe. Zachęcanie 15-latków do regularnej masturbacji lub oswajanie go z grupowym seksem analnym (do czego dochodzi w trakcie zajęć z „edukacji seksualnej” w Niemczech, za które odpowiadają współautorzy standardów WHO), jest czynem

zasługującym na potępienie i domagającym się reakcji. Projekt „Stop Pedofilii” zabezpiecza przed deprawacją seksualną wszystkich niepełnoletnich, niezależnie od ich wieku, gdyż zobowiązują nas do tego podstawowe normy moralne, którymi powinniśmy kierować się jako społeczeństwo.

Ustawa dotyczy młodzieży do 18. roku życia. Tymczasem wiek inicjacji seksualnej w Polsce wynosi średnio 17 lat. Po co chronić przed namawianiem do seksu młodych ludzi, którzy swój pierwszy raz mają już za sobą?

Standardem moralnym powinno być dążenie do budowania trwałych małżeństw opartych na miłości i odpowiedzialności. Zachęcanie młodych ludzi do postaw egoistycznych i hedonistycznych ma fatalne konsekwencje dla nich samych i przyszłości całego społeczeństwa. Wczesna inicjacja seksualna to jeden z efektów działań ruchów pedofilskich i LGBT, które seksualizują dzieci już od najmłodszych lat życia. W czym to leży interesie? Pedofilów, którzy chcą mieć łatwy dostęp do ofiar, oraz koncernów pornograficznych, aborcyjnych i antykoncepcyjnych, które czerpią zyski z ludzi niepotrafiących panować nad swoimi popędami.

Oczywiście edukacja seksualna prowadzona jest również w szkołach średnich, a więc teoretycznie seksualizacją zagrożeni są także starsi nastolatki. Jednak to są już prawie dorośli ludzie. Czy nie lepiej byłoby ten próg obniżyć do 15. roku życia?

Nie rozumiem, dlaczego 15-, 16- i 17-latkowie mieliby być pozbawieni ochrony przed szkodliwą dla nich demoralizacją. Tym bardziej że to właśnie ta grupa wiekowa jest obecnie głównym celem polskich aktywistów LGBT i „edukatorów” seksualnych. Już teraz uczniów szkół w Gdańsku, w ramach zajęć z „edukacji seksualnej”, zachęca się do masturbacji i eksperymentowania ze swoją tożsamością płciową oraz oswaja się ich z homoseksualizmem. W kolejnych szkołach na terenie całego kraju odbywają się „tęczowe piątki”, których celem jest otwarcie uczniów na „różnorodność seksualną”, czyli w praktyce na wszelkie perwersje seksualne.

Chyba że jest pan zwolennikiem tego, by za pedofilię uznać współżycie z małoletnim, aż do 18. roku życia? Jeśli tak, to dlaczego?

Oczywiście nie. Ustawa chroni dzieci przed pedofilami nie wprost, ale pośred-

nio, przez zakaz propagowania treści będących dla pedofilów zachętą i ułatwieniem przestępstwa.

Nie obawia się pan, że penalizacja seksedukacji przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego? Seksedukatorzy będą protestować na ulicach, robić z siebie męczenników, sprawa zyska rozgłos międzynarodowy i z ustawy i tak trzeba będzie się wycofać...

Przypominam, że nie penalizujemy seksedukacji, tylko „publiczne propagowanie i pochwalanie obcowania płciowego przez małoletnich”. Oczywiście ludzie pokroju wspomnianego Benjamina Levina będą protestować, bo przyzwyczaili się do bezkarności. Nie przeceniałbym skali tych protestów. W dniu głosowania nad projektem „Stop Pedofilii” warszawskie media zapowiadały gigantyczny protest, a skończyło się na kilkudziesięciu rozhisteryzowanych feministkach. Policjantów było więcej. Ma pan rację, że naciski międzynarodowe będą mocne, ale w ostatnich latach Polacy potrafili się im opierać i do żadnej katastrofy nie doszło.

Anna Maria Siarkowska zarzucała wam, że zbyt mało lobbowaliście za projektem, zbyt słabo przekonywaliście posłów PiS do poparcia... Jak pan odpowie na ten argument?

Naivnością jest sądzić, że za pomocą rozmów przedstawicieli organizacji społecznej można wywrzeć wpływ na większość rządową. Posłowie korzystają z własnych analiz i badań społecznych, które wskazują, czy dana inicjatywa jest dobrze przygotowana pod względem prawnym i czy cieszy się poparciem społecznym. Nie muszą, a często nie chcą, spotykać się z inicjatorami, by wyrobić sobie zdanie. Staramy się przede wszystkim wpłynąć na opinię społeczną, tak aby miało to wpływ na badania, które zlecają politycy. Naszym lobbingsiem była intensywna kampania społeczna, którą prowadziliśmy przez wiele miesięcy. Jednoznaczne poparcie klubu PiS dla projektu „Stop Pedofilii” wskazuje, że wybraliśmy dobrą drogę.

Tak czy inaczej pierwszą przeszkodę udało się wam pokonać. Posłowie PiS zagłosowali za dopuszczeniem projektu do dalszych prac w Sejmie. Co dalej?

Cieszymy się bardzo z poparcia klubu, który dysponuje większością parlamentarną. Co do przyszłości nie jestem jasnowidzem i wiem, że różne rzeczy mogą się wydarzyć. Dlatego będziemy nadal intensywnie oddziaływać na opinię publiczną, aby dopomóc dobrej zmianie w dziedzinie moralnej.



Rozmawiamy z naszymi dziećmi

Poniższy list napisała do redakcji jedna z naszych czytelniczek. To głos matki w dyskusji o edukacji seksualnej dzieci. List publikujemy w całości

Mam synka. Mam synka i jestem przerażona tym, co się dzieje. Dlaczego dzieci już w przedszkolu mają być uświadamiane o podstawach reprodukcji (i co dla kogo oznaczają „podstawy”)? Dlaczego trzy-, czterolatek ma rozmawiać o wczesnodziecięcej masturbacji? Dlaczego w zerówce i w pierwszych klasach szkoły podstawowej ma już się dowiadywać o antykoncepcji (chwalenie skuteczności poszczególnych metod na tym lub nieco późniejszych etapach może chyba raczej zachęcić do wczesnego rozpoczęcia współżycia, niż zniechęcić?). Dlaczego dziecko w wieku 9–12 lat ma słuchać wywodów na temat pierwszych doświadczeń seksualnych czy też dowiadywać się, jak w przyszłości używać prezerwatyw? Tak, to tylko nieliczne z proponowanych tematów zawartych w dokumencie: „Standards for Sexuality Education in Europe” autorstwa WHO oraz niemieckiego Federalnego Biura ds. Edukacji Zdrowotnej, z którego edukatorzy seksualni korzystają i promują zawarte w nim treści (jest dostępny pod adresem: www.bzga-whocc.de/fileadmin/user_upload/WHO_BZGA_Standards_English.pdf).

A może raczej warto by było zacząć od pytania: Jak osoba po kursie dającym tytuł edukatora seksualnego, który trwa cztery, pięć czy nawet dziewięć dni (oferty kursów sprawdzone w trzech centrach szkoleniowych i poradniach), może być uznana za kogoś odpowiedniego, godnego zaufania i posiadającego odpowiednio rzetelną wiedzę, aby poruszać takie tematy?

Od jakiegoś już czasu, kiedy wchodzę na Facebook, widzę rozhisteryzowane posty, niektóre pełne nienawiści, nieprawdy i pustych, ślepo powtarzanych haseł o tym, co się stanie po wejściu w życie nowelizacji art. 200b Kodeksu karnego. Ciekawa jestem, ile osób załamujących ręce i ogarniętych głębokim strachem przed nastaniem totalnego ciemnogrodu przeczytało treść dokumentu. Jeśli komuś wydaje się, że karanie za pochwalanie lub propagowanie zachowań o charakterze pedofilskim lub za pochwalanie/propagowanie podejmowania obcowania płciowego przez nieletnich jest niesłuszne, krzywdzące i błędne, to szczerze martwię się o taką osobę i najzwyczajniej się boję.

Ci, którzy myślą podobnie, pewnie nie wymagają wyjaśnień, ale przeciwnikom lub wątpiącym chcę powiedzieć jasno: w pełni popieram edukację, również w zakresie biologiczno-seksualno-społeczno-psychologicznym, ale niech będzie to edukacja rzetelna, wprowadzana w późniejszym okresie, adekwatna do wieku, realnych potrzeb i problemów nurtujących dzieci i młodzież. Wydaje mi się, a nawet jestem pewna, że pierwszoklasiście zdecydowanie nie należy mówić o seksie w mediach, jednocześnie pobudzając jego wyobraźnię i ciekawość oraz zachęcając do zgłębiania tematu na własną rękę, ani też 9- czy 10-letniemu dziecku naprawdę nie należy pomagać w dojściu do perfekcji w nakładaniu prezerwatyw.

Wychowywać powinni przede wszystkim nie edukatorzy seksualni, tylko rodzice, a pomagać im i wspierać ich powinni wychowawcy. Zadaniem rodziców jest natychmiast odłożyć komórki i zamiast podstawiać dzieciom pod nos

tablet, żeby tylko były cicho i nie przeszkadzały, zacząć z nimi rozmawiać, troszczyć się, spędzać czas, bawić się razem, pomagać im w nauce, interesować się życiem dziecka, jego potrzebami, zainteresowaniami, pytaniami, obawami, wątpliwościami i nigdy go z nimi samego nie zostawiać.

Wychowawcy zaś muszą traktować swój zawód oraz swoją rolę bardzo poważnie i zamiast na lekcjach wychowawczych uzupełniać dziennik lub pozwalać uczniom odrabiać zadania domowe czy też przygotowywać się do kartkówki na następnej lekcji, powinni z uczniami po prostu rozmawiać. Rozmawiać, słuchać, poznawać ich, interesować się nimi, traktować poważnie zgłaszane przez nich pytania, uczciwie przygotowywać się do lekcji i podejmować tzw. trudne tematy, a nie uciekać od nich. Powinni wychowywać, uczyć szacunku, mówić o tolerancji, ale w stosunku do każdego, nie tylko do wybranych mniejszości. Tak, to rola bardzo trudna i odpowiedzialna – rola wychowawcy, nie edukatora seksualnego po pięciodniowym kursie. Dzieci powinny czuć i wiedzieć, że w każdej chwili z każdą sprawą mogą się zgłosić do rodziców albo właśnie do wychowawcy i liczyć na wysłuchanie, zrozumienie i uzyskanie informacji, pomocy lub rady, kiedy szukają odpowiedzi na jakieś pytanie czy problem.

A dojrzewanie? Ciało? Narządy płciowe? Zmiany fizyczne i emocjonalne zachodzące w okresie dorastania? Brak zrozumienia ze strony rówieśników i/lub rodziców? Choroby przenoszone drogą płciową? Ciąża? Antykoncepcja? Seks? To nie tematy zakazane, wbrew obawom niektórych osób. Jednak to tematy dla biologów, nauczycieli

przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie albo lekarzy, ginekologów, psychiatrów i psychologów, odpowiednio przygotowanych, posiadających wiedzę i praktykę zdobytą nie w ciągu pięciu dni.

I jeszcze jedno na koniec: nie dajmy sobie wmówić, że seks i edukacja seksualna to najważniejszy temat dla naszych dzieci i że to właśnie wokół tych spraw kręci się całe życie. Jest ważny, oczywiście, ale nie najważniejszy i nie od najmłodszych lat, bo wtedy może tylko zgorzyszyć, przstraszyć i wyrządzić wielką krzywdę.

Może raczej warto poświęcić więcej uwagi dzieciom, spędzać z nimi więcej czasu, częściej rozmawiać, dawać im przykład, jak radzić sobie w życiu, jak odnaleźć się w dzisiejszym (trudnym) świecie. Może lepiej bardziej skupić się na kwestii samobójstw i problemów psychicznych u coraz większej liczby dzieci, na słabości dzieci i braku odporności w trudniejszych momentach? Może dobrze byłoby zadbać o przekazanie dzieciom przynajmniej elementarnych zasad dobrego wychowania, o których, mam wrażenie, sporo osób już dawno zapomniało albo uważa za zupełnie zbędne? A może o to, żeby dzieci umiały pisać, mówić poprawnie po polsku, czytać ze zrozumieniem i żeby znały lepiej historię swojego kraju i rodziny? Albo o to, żeby radziły sobie w życiu bez „cioci Wiki” i „wujka Google”?

Dbajmy o dobrą, prawdziwą edukację, o więzi rodzinne, o szacunek dla wszystkich, zamiast zabiegać o przedwczesne oswojenie dzieci z seksem i przekazywanie im treści nieodpowiednich dla ich wieku, często bardzo szkodliwych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Zuzanna Nowak



NOWE SPOJRZENIE NA XX I XXI WIEK!



10 tajnych umów, które
ukształtowały światową gospodarkę!



Premiera:
8.10.

Klucz do zrozumienia
współczesnych konfliktów!



FB/REBIS



www.rebis.com.pl



Agnieszka Niewińska

Jesień to czas nalewek. Robimy je coraz chętniej, sięgając po przepisy z Internetu albo ucząc się tej sztuki na warsztatach kulinarnych

Jedne z najlepszych smaków lata stoją zamknięte w butelkach w spiżarni pana Tadeusza, gospodarza z powiatu rypińskiego. Nalewka z czereśni spokojnie czeka na specjalną okazję. – Dobra nalewka potrzebuje czasu. I nie chodzi o tydzień czy miesiąc. Owoce muszą się przegryźć z alkoholem. Trzeba poczekać pół roku, a nawet i rok, żeby była dobra – tłumaczy pan Tadeusz.

Domowe alkohole robi od lat. – Doskonała jest nalewka z aronii, bardzo dobra na serce. Jesienią warto nastawić pigwówkę i sięgnąć po nią po roku. Lubię nalewkę z soku z winogron. Czasem robię także nalewki lecznicze, na ziołach. Specjalne mieszanki ziół na nalewkę litewską czy leśniczego kupuję na rynku. Ta ostatnia pomaga na trawienie, poprawia apetyt. Można ją wyciągnąć drugiego dnia świąt, kiedy gościom brakuje sił na próbowanie kolejnych specjałów. Kieliszek nalewki leśniczego i apetyt wraca – doradza pan Tadeusz, a początkującym pasjonatom domowych alkoholi przypomina, że podstawa udanego wyrobu to prawdziwy polski spirytus, na którym nie warto oszczędzać.

DOMENA PAŃ

Dariusz Turzyński, dyrektor Ośrodka Kultury w Dziemianach na Kaszubach, który od kilku lat organizuje Konkurs Domywych Nalewek, przyznaje, że w ostatnich latach entuzjastów robienia domowych alkoholi przybywa. – Coraz więcej z nas poszukuje produktów domowych, a nie tych wytwarzanych na masową skalę. Na rynkach widać, że klienci pytają o domowe przetwory, tradycyjnie wypiekany chleb czy domowe ciasta. Nic więc dziwnego, że coraz większą popularnością cieszą się także domowe nalewki – mówi.

Jedni szukają przepisów w Internecie czy w gazetach i nastawiają swoje pierwsze nalewki. Inni idą po radę do rodziców czy dziadków, którzy mają już sprawdzone przepisy i udziela rad. Można także znaleźć warsztaty robienia nalewek. Tych nie brakuje. We



Lato przechowane w spiżarni

FOT. ADAM STOK

wrześniu radomskie stowarzyszenie Droga Mleczna zorganizowało warsztaty z robienia nalewek radomskich i – jak informuje – największe zainteresowanie podczas warsztatów wzbudziła nalewka z suszonych prawdziwków. Nalewkowe warsztaty można znaleźć w różnych miejscach Polski: w domach kultury, kołach gospodyń wiejskich czy studiach kulinarnych.

A jak ktoś opanuje sztukę do perfekcji, może ze swoim trunkiem stanąć do jednego z wielu nalewkowych konkursów. W ostatniej edycji Konkursu Domowych Nalewek w Dziemianach zgłoszono rekordową liczbę 80 domowych trunków. Udział w konkursie biorą nie tylko okoliczni mieszkańcy. – Przysyłane są do nas nalewki z całej Polski. W tym roku swój trunek na nasz konkurs przysłał nawet mistrz Polski w robieniu nalewek – mówi Dariusz Turzyński.

Konkursowe nalewki oceniano w kilku kategoriach: wiśniówki, nalewki owocowe, ziołowe i pozostałe. Jurorzy przyznawali punkty między innymi za klarowność, kolor, aromat, bukiet czy moc. – W tym roku konkursowe nalewki były naprawdę wyśmienite. Pamiętam pierwsze edycje. Niektóre zgłoszone nalewki były np. źle przefiltrowane, z zawiesiną. Dzisiaj mają taką jakość, że mucha nie siada. Okazało się, że konkurs pełni funkcję edukacyjną. Panie – bo większość uczestników to kobiety – próbują nawzajem swoich nalewek, wymieniają się uwagami, radami i dzięki temu robią coraz lepsze domowe trunki – opowiada Dariusz Turzyński.

Jako juror próbował wielu wiśniówek i podkreśla, że najlepiej wychodzą te ze starych odmian wiśni, tych, które w ogrodach sadzili nasi dziadkowie. – Na nalewkę ze śliwek najlepsze są z kolei węgiarki – doradza. I nie ma tu cienia wątpliwości, bo w kaszubskiej chacie Ośrodka Kultury w Dziemianach wraz z pasjonującymi się wyrobem nalewek paniami nastawił trunki aż z siedmiu różnych odmian śliwek. – Nalewka z węgierek była zdecydowanie najlepsza – wskazuje.

SŁÓJ I FILTR

Jarosław Głasek, autor strony bibliotekanalewek.pl i facebookowego fanpage'a Biblioteka Nalewek z przepisami i poradami dotyczącymi przygotowywania domowych alkoholi przyznaje, że jesień to najlepszy czas na robienie nalewek. Tak zwany nastaw, czyli owoce

zalanę spirytusem i zasypane cukrem, należy przygotować w szklanym słoju z dużym wieczkiem. Nie potrzeba żadnego specjalistycznego sprzętu. Oprócz słoja przydać się mogą drylownica, ostry plastikowy lub srebrny nóż do krojenia i oczyszczania owoców z nasion, drewniana łyżka do mieszania i filtr; by na koniec przefiltrować nalewkę. – W zasadzie nie ma nic prostszego niż przygotowanie nalewki. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Ważne są proporcje między cukrem i owocami czy to, kiedy je zbieramy. Na przykład tarninę czy dereń najlepiej zbierać po pierwszych przymrozkach, bo takie

**Od lat mówi się o tym,
by wzorem takich państw
jak Słowacja czy Węgry
dopuszcili sprzedaż
domowego alkoholu**

przymrożone owoce są słodsze, a część kwasów i garbników w nich rozkłada się w niskich temperaturach. Zamiast czekać na przymrozki, można też skorzystać z zamrażalnika – wyjaśnia Jarosław Głasek.

W jego Bibliotece Nalewek znajdziemy przepis m.in. na krupnik, anyżówkę, nalewkę gruszkową czy z czarnej porzeczki. – Teraz warto nastawić nalewkę z jesiennych owoców. Polecam owoce pigwowca zwane potocznie pigwą. Pigwówka ma świetny słodko-kwaśny smak. Doskonała jest nalewka ze śliwy tarniny. Owoce te trudno jednak zebrać, bo krzak ma kolce. Dobrze robić to w rękawicach. Wszędzie w lasach znajdziemy owoce derenia jadalnego, z których można przyrządzić nalewkę. Nalewka z owoców cytryńca chińskiego ma ciekawy smak o orientalnym zabarwieniu – cytrynowy z dodatkiem pieprzu. Owocowanie kończy właśnie rokitnik słynący z właściwości zdrowotnych. Nalewka z rokitnika ma kwaskowaty smak i niepowtarzalny kolor.

Autor Biblioteki Nalewek zamieszcza w niej tylko te przepisy, które sam sprawdził. Ile butelek liczy jego spiżarnia? – Jest tego dużo. Myślę, że nawet podczas dużego wesela nie udałoby się wypić wszystkich nalewek, które przechowuję. Najstarsze nalewki mają już 10 lat – mówi Jarosław Głasek. I dodaje, że kiedy niemal dekadę temu zakładał bloga w Internecie nie było przepisów na nalewki. – Dzisiaj

są ich setki, a w ciągu miesiąca 100 tys. internautów szuka w sieci informacji o tym, jak zrobić nalewkę. Zauważyłem, że to wśród młodego pokolenia – 20-, 30-latków – rośnie zainteresowanie przygotowaniem domowych alkoholi – mówi.

SKARBÓWKA NA FESTYNACH

Domowy wyrób nalewek może pozostać tylko hobby. Trudno coś na tym zarobić, bo o ile można je produkować na własne potrzeby, o tyle sprzedaż nawet niedużej ilości domowej nalewki może spowodować na nas problemy z funkcjonariuszami skarbowki. Nalewki są bowiem napojami alkoholowymi i podlegają przepisom akcyzowym. Bez stosownych dokumentów i akcyzowych banderoli na butelce nie można ich sprzedawać nawet na regionalnych festynach.

Przed dwoma laty głośno było o wizytach skarbowki na festynach i jarmarkach, gdzie koła gospodyń wiejskich sprzedawały domowe nalewki. W wielu miejscach skończyło się na zarekwirowaniu domowych trunków i nałożeniu mandatów. Na gospodynie padł błąd strach i choć wiele nalewek to produkty regionalne, to na festynach ich nie kupimy. Trzeba albo zaprzyjaźnić się z gospodynią lub gospodarzem, by zostać zaproszonym na nalewkę, albo zakupić taki trunek u producenta, który założył działalność gospodarczą i płaci akcyzę. Od lat mówi się o tym, by wzorem takich państw jak Słowacja, Austria, Hiszpania czy Węgry dopuścić sprzedaż domowego alkoholu. Padają propozycje wyznaczenia limitu rocznej sprzedaży albo znacznego uproszczenia procedur akcyzowych. Na razie jednak bez efektów. Domowe nalewki pozostają trunkiem, który produkujemy na własny użytek i dzielimy się nim z przyjaciółmi czy rodziną.

– Nalewki nie robi się po to, żeby pić ją na co dzień. Jest na specjalne okazje, spotkania rodzinne – mówi pan Tadeusz. Jego czereśniówka poczeka do grudnia. – Nastawiona w czerwcu jest świetna na Gwiazdkę, na rozgrzanie – dodaje.

Jarosław Głasek podkreśla, że nalewki robi się właśnie po to, by w ponury zimowy wieczór usiąść z rodziną czy przyjaciółmi i przypomnieć sobie zamknięty w domowym trunku smak minionego lata. Przypomina też nalewkowy *savoir-vivre*. – Podczas spotkania przy nalewce nie opróżniamy butelki. Pijemy po kieliszku. Obowiązuje zasada: jedna okazja, jeden kieliszek danego smaku.



Wiesław Chełminiak

Dla jednych wałęsanie się po górach jest świecką religią. Dla innych, o wiele liczniejszych – kulturowym przymusem

Wspinaczka w polskich Tatrach, początek XIX w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Coraz bliżej nieba

Gwałtowna nawałnica zaskoczyła grupę harcerzy na zboczu Świnicy. Pioruny i spadające kamienie uśmierciły kierownika wycieczki oraz piątkę jego podopiecznych. Był 15 sierpnia 1939 r. Informacje o tragedii szybko zniknęły z czołówek gazet. Redaktorzy zapewne nie chcieli psuć rodakom urlopowego nastroju. Dwa dni później Zakopane żyło już inną sensacją: kilku zapaleńców wjechało na szczyt Kasprowego Wierchu motocyklami marki Sokół.

Minęło 80 lat, na wysokościach tłok coraz większy. W burzy, która przeszła nad Giewontem, poszkodowanych zostało ponad 150 turystów. Efektu odstrasza-jącego nie było. Jeszcze tej samej nocy na świętą górę ceprów wdrapali się kolejni śmiałkowie, skwapliwie dokumentując swój wyczyn w mediach społecznościowych. Dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego obiecała, że zdewastowany szlak zostanie znowu udostępniony publiczności tak szybko, jak się da. Trekking na Giewont – mniej lub bardziej legalny – będzie z pewnością przebojem jesienne-go sezonu.

OD STRACHU DO EUFORII

„Na wyniosłym szczycie staje się każdy prawie filozofem, marzycielem, poetą: odzywają się w człowieku uczucia, kiedy indziej śpiące” – twierdził malarz Walery Eljasz-Radzikowski, ojciec chrzestny naszego taternictwa. Dawniej uznano by go za człeka niespełna rozumu. Naturalny krajobraz nikogo nie zachwycał. W góry zapuszczali się jedynie myśliwi, past-rze, pobożni pustelnicy oraz desperaci szukający złota i szlachetnych kamieni. Rozsądni ludzie omijali skalne pułapki z daleka. Budziły trwogę jako wylęgarnie tajemniczych, wrogich chrześcijanom mocy, np. smoków, których kości znajdowa-no w jaskiniach.

Na stromiznach łatwo było spaść w przepaść, zostać zasypanym przez lawinę, paść ofiarą dzikich zwierząt lub złych ludzi. Myślących praktycznie góry irytowały przez swoją bezużyteczność. Ot, zawalidrogi, wydłużające handlowe i pielgrzymkowe szlaki. Estetom kojarzyły się z czyrakami szpecącymi oblicze Ziemi. Przeniesiono zresztą ich wysokość i nie-dostępność. Z „naukowych” pomiarów wykonanych przez humanistów wynikało, że Śnieżka może mieć nawet 10 tys. m.

Podróżni zmierzający do Italii przeklinali Alpy, ignorując urodę otaczają-

cych szczytów. Forsowaniu przełęczy towarzyszyły nudności i bóle głowy. Co wrażliwi zakładali opaski na oczy, by łatwiej przewyciężyć paniczny lęk. Petrarca, który wiosną 1336 r. wdrapał się na prowansalski Mont Ventoux, by zaznać tam mistycznych uniesień, należał do absolutnych wyjątków. Sceptycy twierdzą zresztą, że poeta wznosił się tak wysoko wyłącznie na skrzydłach wyobraźni. Musiało minąć jeszcze kilka stuleci, by wejście na niebosiężny szczyt stało uniwersalnym symbolem sukcesu i przewyciężenia trudności.

GÓRY JAK NARKOTYK

Bogowie greccy urzędowali na Olimpie, muzy zaś – na Parnasie. Mojżesz wszedł na Synaj, gdzie dostał od Stwórcy tablice z przykazaniami. Góry czczone przez pogan chrystianizowano, wznosząc na nich kościoły, kaplice lub przynajmniej krzyże. Ludzie, którzy w XVIII w. zaczęli penetrować dzikie ostępy, nie kierowali się jednak pobudkami religijnymi.

Do oswojenia Alp i Sudetów przyczyniła się moda na uzdrowiska. Kuracjusze zachęceni przez lekarzy lub po prostu z nudów wybierali się na coraz dłuższe spacerunki po okolicy. Żelaznym punktem pobytu w śląskich Cieplicach stało się wejście na Śnieżkę. Bardziej chorych lub leniwych tragarze wnosili w lektykach. Powstała księga pamiętkowa, do której zdobywcy szczytu wpisywali swoje refleksje lub pretensje.

Rozwój geologii stworzył z kolei popyt na kolekcjonowanie minerałów. Uczni, badając skały, chcieli odkryć prawdę o przeszłości Ziemi. Naukowe publikacje uruchomiły wyobraźnię czytelników, skłaniając ich do wyruszenia w plener. Zajrzeć w otchłań czasu, podziwiać efekty działania potężnych sił, które ukształtowały powierzchnię globu – jakże to było ekscytujące! Górskie wycieczki zyskały wymiar podróży w czasie.

W zgoła nowy ton uderzył w „Nowej Heloizie” prorok nadchodzącej ery sentymentalizmu Jean-Jacques Rousseau: „Wznosząc się ponad ludzkie siedziby, pozostawiamy w dole wszystkie nikczemne i ziemskie uczucia, a zbliżając się krok za krokiem do podniebnych regionów, wprowadzamy do duszy coś z ich nienaruszonej świętości”. Strzelistą myśl filozofa twórczo rozwinęli poeci. Byron („Góry to nasze spiętrzone marzenia”), Keats i Shelley opiewali Alpy. Bożyszcze Niemiec, Goethe, wysłał Fausta na sabat

czarownic w górach Harzu, a i sam nie gardził wspinaczką. Romantyczny ideał – wejść na dach świata i doznać tam iluminacji – zrealizował Kordian, bohater polskiego dramatu wydanego anonimowo w Paryżu. „Na góry, na góry / Tam bliżej nieba / Tam słońce, tu chmury / Nam słońca potrzeba” – rymował w 1839 r. przyszły jezuita Karol Antoniewicz.

MARTWI, ALE SZCZĘŚLIWI

Wkrótce wyszło na jaw, że niektórym z wędrowców chodzi nie tyle o poznawanie natury, ile granic własnych możliwości. W poszukiwaniu mocnych doznań zaczęli zaglądać do kraterów czynnych wulkanów, eksplorować groty i jaskinie, przechadzać się tanecznym krokiem krawędzią klifu podczas wichury i testować wytrzymałość łuków skalnych, przerzuconych nad przepaścią. Ocieranie się o śmierć sprawiało im perwersyjną satysfakcję.

Mont Blanc został zdobyty już w 1786 r. przez Francuzów, ale to Brytyjczycy uczynili wspinaczkę jednym ze swych narodowych sportów. Robert Macfarlane w książce „Góry. Stan umysłu” zajmując przedstawiał historię tego szaleństwa, któremu sam zresztą uległ, będąc jeszcze nastolatkiem. Dla wiktoriańskich dżentelmenów alpinizm stał się próbą charakteru i egzaminem z męskości. Rezygnacja ze zdobycia szczytu z powodu zmęczenia lub złej pogody uchodziła za plamę na honorze. Kierując się Nietzscheańską dewizą: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni” dumni synowie Albionu sięgali coraz wyżej i dalej.

Śmierć w górach stała się wzniosłą i godna szacunku. Ówczesna literatura podróżnicza pełna była ociekających masochizmem opisów niebezpieczeństw, na które wystawia się śmiało przemierzający dziewicze tereny. Autor przewodnika z 1836 r. z zachwytem podkreślał, że w Alpach „człowieka może pochłoniąć przerażająca rozpadlina pękającego lodowca, która potrafi się w jednej chwili rozdziawić, a jeśli człowiek ów wymknie się innym zagrożeniom, którymi usiane są zbocza szwajcarskich gór, czyhają też na niego jeszcze urwiska”. W innym bedekerze zachęcono damy, by walczyły z lękiem wysokości, spoglądając w przepaść przy każdej nadarzającej się okazji.

Duże zasługi w reklamowaniu skalnych krajobrazów położyli również malarze. John Ruskin, guru XIX-wiecznej

krytyki sztuki, wręcz obnosił się z pogardą dla nizinnej pejzażu. Charakterystyczne dla gór efekty świetlne i optyczne natchnęły niejednego mistrza pędzla. Obraz „Wędrowiec nad morzem mgły” autorstwa Caspara Davida Friedricha, wielkiego fana Karkonoszy, stał się ikoną romantycznego stylu. Polska Panorama Tatrzańska, mimo rekordowych rozmiarów (115 m długości, 16 wysokości) i poświęcenia artystów, którzy musieli wielokrotnie wgramolić się ze szroniska nad Morskim Okiem na szczyt Miedzanego, poniosła finansową klęskę. Gdyby nie pocięto jej na kawałki i nie sprzedano jako surowiec wtórny, byłaby dziś zapewne dumą zakopiańskiego muzeum.

Pierwsi turyści wyprawiali w górach huczne imprezy. Do historii przeszedł bankiet, urządzony w 1791 r. na cześć pruskiego ministra Karla von Hoyma na Szczelińcu Wielkim. Opici i objedzeni oficjele wpadli na pomysł, by ochrzcić miejscowe formacje skalne mianem Gór Stołowych. W tych pionierskich czasach nader chętnie korzystano z usług przewodników i tragarzy. „Król Zakopanego”, doktor Tytus Chałubiński, na organizowane przez siebie wycieczki zabierał całą kapelę góralską. Na biwakach juhasi tańczyli i rozpalali ogniska, nad którymi odgrzewano bigos i parzono herbatę. Długo utrzymywał się zwyczaj odgrywania na szczytach hejnału, strącania w dół wielkich głazów i urządzania palby z pistoletów. Dzierżawca schroniska nad Morskim Okiem witał co zacniejszych gości wystrzałem z moździerza.

Niczego złego nie widziano również w raczeniu się alkoholem. W 1851 r. niejaki Albert Smith, będąc w stanie wskazującym na spożycie, wtoczył się na Mont Blanc. Wytrzeźwiawszy, wrócił do Londynu i postanowił zarobić na tym wyczynie górę pieniędzy. Przez sześć lat wystawiał na Piccadilly Circus monodram, perorując o swym męstwie na tle dioram najwyższego szczytu Europy, makiety pasterskiego szałas z tektury, w towarzystwie dwóch żywych kozic i psa bernardyna. Ilu widzów zaraził miłością do alpejskich lodowców i wodospadów, Bóg jeden raczy wiedzieć.

OBRZEK MÓZGU

Gwoli sprawiedliwości warto dodać, że znaczna część opinii publicznej uważała wspinaczkę za czysty obłęd. Z amatorów szwendania się po wysokich górach

■ szczydził bezlitośnie Charles Dickens. Jego imiennik, Darwin, podczas swej podróży dookoła świata zdobył Dzwon Quilloty, 1900-metrowy szczyt w Chile, skąd mógł podziwiać Andy. „Nigdy przyjemniej nie spędziłem czasu” – te słowa twórcy teorii ewolucji bardziej trafiły do przekonania Brytyjczykom niż połajanki autora „Opowieści wigilijnej”.

Alpiniści, pragnąc zaznać dreszczu emocji, podejmowali coraz większe ryzyko. Zdobycie Matterhornu w 1865 r. zostało okupione śmiercią czterech z siedmiu uczestników wyprawy. Tragedie tylko podkreślały rywalizację, która sięgnęła himalajskich szczytów. Oprócz grawitacji śmiałków zabijały mróz i choroba wysokościowa, powodująca obrzęk płuc i mózgu. Niektórzy umierali po prostu z wyczerpania.

Na obsesję nie ma lekarstwa. Dzisiaj na zboczach Mount Everestu zalegają stopy trupów, a w Chamonix podczas letniego sezonu wspinaczkowego ginie przynajmniej jedna osoba dziennie. Tymczasem chętnych, by spojrzeć na świat z „boskiej perspektywy”, wciąż przybywa.

Polacy, naród nizinny, odkryli góry dopiero wtedy, gdy zegnali się z niepodległością. Tuzów oświecenia interesowały jednak przede wszystkim flora, fauna i minerały. Stanisław Staszic, uosobienie rozsądku, mając już pięćdziesiątkę na karku, odbył forsowną wędrowną po Karpatach, badając je pod kątem korzyści z eksploatacji złóż metali i kamieni szlachetnych. Nie pozostał jednak obojętny na widoki rozciągające się z Kołowego Szczytu, Krywania i uważanej za najwyższą Łomnicy (na której nawet przenocował).

Zaraz po nim u stóp Tatr pojawili się pierwsi kuracjusze, wierząc w dobroczynne właściwości tutejszego klimatu. Górskie powietrze miało być lekarstwem na choroby płuc. Oprócz suchotników ubogie krańce Małopolski upodobali sobie romantycy, szukający „wytnienia duchowego” w kontakcie z dziką naturą. To oni, wzorem swych zachodnioeuropejskich kolegów, odkryli magiczny wymiar gór, formułując tezę, że prawdziwa wolność możliwa jest tylko na odludziu.

Mało kto wie, że 25-letni poeta Antoni Malczewski był jednym z pierwszych ludzi, którzy stanęli na szczycie Mont Blanc. Juliusz Słowacki, uważany za rachityka, wdrapał się na Wezuwiusza i wędrował po wysokich partiach Alp,

co pozostawiło liczne ślady w jego utworach. W tym świetle pomysł, by szczątki wieszczki pochować w grobowcu, wykutym w ścianie Kościelca, wydaje się całkiem zrozumiały. Literacka kariera Tatr zaczęła się od Seweryna Goszczyńskiego. Do narodowej mitologii wprowadzili je Adam Asnyk, który z wycieczki na Wysoką wrócił bez butów, i Wincenty Pol – autor słynnej frazy: „W góry, w góry miły bracie! Tam swoboda czeka na Ciebie!”.

Ich następcy mieli już z góry. Jarosław Iwaszkiewicz po zdobyciu Rysów wyznawał: „Dusza moja znalazła drogę do duszy wszechświata”. Niższe i bardziej ucywilizowane Beskidy i Sudety nie wywoływały aż takich namietności i metafizycznych przeżyć. Podgórskie wsie stopniowo zamieniały się w regularne lotniska, a pasterskie budy – w schroniska dla ceprów. Tubylcy zaczęli utrzymywać się z obsługi ruchu turystycznego i sprzedaży tandetnych pamiątek.

CI WSPANIALI GÓRALE

Wzorem była Szwajcaria, która z Alp uczyniła swój narodowy produkt. Robiono wszystko, by stały się one dostępne dla typowej mieszczańskiej rodziny. W górach pojawiły się wygodne, dobrze oznakowane ścieżki, schodki, barierki, stoły, i ławeczki w punktach widokowych. Sztucznie piętrono wodę w potokach i niejednego właściciela pensjonatu lub karczmy mógł się pochwalić własnym wodospadem. Karkonoski Duch Gór z groźnego demona stał się rubasznym piwoszem ze zmierzwioną brodą.

Dzięki narciarzom sezon przestał kończyć się wraz z pierwszymi opadami śniegu. Na zmianach tracili tylko przewodnicy: przybysze z nizin coraz chętniej korzystali z map i bedekerów. Budowa systemu kolejek i wyciągów sprawiła, że szlag trafił elitaryzm. Teraz już każdy, nie tracąc czasu ani energii na wspinaczkę, mógł obcować ze wspaniałym dziełem natury lub – tak jak Kordian na dachu Europy – doznać przemiany i odnaleźć sens życia.

BIZNES PRZED WSZYSTKIM

Fascynacja górami zbiegła się w czasie z falą chłopomanii. Wcześniej uważano górali za zakałą społeczeństwa. Mądrale z nizin pomstowali na ich grube obyczaje, brak higieny, pijaństwo i skłonność do przemocy. Rousseau swoją teorią dobrego dzikusa zmienił wszystko. Zrozumi-

awszy, że „dzieci cudownej natury” nie mogą być złe ani głupie, nasze elity jęły wysławiać podtatrzańskie plemię pastarzy pod niebiosa (Stanisław Witkiewicz pisał o „genialnej rasie”).

Góral stał się wzorcowym, kochającym wolność Polakiem. Jego mowa – czystą polszczyzną, pozbawioną obcych naleciałości. Zbójnicy – ludowymi herosami, wysławianymi przez literatów, a w przyszłości również przez filmowców. Wiejscy rzemieślnicy – artystami godnymi stanąć w jednym rzędzie z absolwentami akademii. Był to trend ogólnowiatowy. Apoteozy dostąpili również Tyrolczycy, Huculi oraz okrutni górale z Bałkanów (o Tybetańczykach nie wspominając).

Niektóre szczyty zyskały miano narodowych. Czescy patrioci pielgrzymowali na Śnieżkę, słowaccy – na Krywań, Ukraińcy polubili Howerlę. Polacy, jak zwykle, dalecy byli od jednomyślności. W XIX w. najpopularniejszym szczytem była „królowa” Łomnica. Giewont, nad którym powiewała flaga Towarzystwa Tatarniczego zatknięta na długiej tyczce, nie miał zbyt wielu fanów. W mistyczną moc gór wierzył Hitler. Nadludźko silny i wytrzymały alpinista był jedną z ikon III Rzeszy. U nas neopogaństwo polegało w starciu z chrześcijańską tradycją. Symboliczny krzyż zawiesił nad polskimi górami papież Jan Paweł II. Za naszego życia żadna burza go nie straci.

Bliska jest jednak chwila, w której Tatry, Sudety czy Bieszczady staną się przede wszystkim towarem. Przykład idzie z Zachodu. Co roku 50 mln Amerykanów wybiera się na wycieczkę w góry. 10 mln decyduje się na wspinaczkę. Czy uznamy to za formę ucieczki przed cywilizacją czy jedynie za formę spędzania wolnego czasu, ma drugorzędne znaczenie. Ważne, że ów ruch generuje wielkie transfery pieniędzy. Kto lepiej ustawi się w dolinie, którą spływa lawina dolarów, ten wygra.

Polskie elity narzuciły ludowi miłość do gór i góralszczyzny. Mamy ją wpisana w kulturowe DNA. Współczesna pielgrzymka do Zakopanego sprowadza się do obowiązkowej degustacji fałszywego oscypka na Krupówkach, spaceru nad Morskie Oko, wejścia na Giewont i wjazd kolejką na Kasprowy. Wszystko w tłumie i w pośpiechu. Między jednym a drugim selfikiem można odetchnąć słynnym tatrzańskim powietrzem. Polaku, czy ci nie żal?

Warszawa: **101 FM, DAB+**

Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**

Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**

Siedlce: **103,4 FM**



www.rdc.pl



facebook.com/radiordc



instagram.com/radiodlaciebie



twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**





Z prof. Rafałem Wiśniewskim,
dyrektorem Narodowego Centrum Kultury
rozmawia Radosław Wojtas

Eufonie i wirtualna rzeczywistość



FOT. NCK

RADOSŁAW WOJTAS: Przed pierwszą edycją festiwalu Eufonie (niedługo, w dniach 15–23 listopada, odbędzie się druga edycja) zaznaczał pan, że to wydarzenie ma łączyć kulturę wysoką z kulturą popularną. Jak taka koncepcja się sprawdziła i czy pozostaje aktualna w tym roku?

RAFAŁ WIŚNIEWSKI: Jak najbardziej. Spór między kulturą wysoką a popularną jest sporem akademickim, bo one się przenikają, stanowią niejako dwa bieguny tego samego uniwersum wartości i znaczeń. Tworzenie jakichkolwiek barier i podziałów nie ma sensu, a wręcz służy podtrzymywaniu procesów wykluczeń społecznych. Kultura wysoka nie jest adresowana tylko do jakiegoś konkretnego typu audytorium, choć wymaga kompetencji kulturowych. Odbiorcy uczestniczący w kulturze wysokiej nie uciekną przed kulturą popularną, bo wszyscy jesteśmy w niej zakorzenieni.

W ubiegłym roku zdecydowaliśmy się na swoisty eksperyment, by połączyć muzykę symfoniczną, elektroniczną i folkową na jednym festiwalu. Mieliśmy pewne obawy, ale ta koncepcja się jednak sprawdziła. Uznanie odbiorców tego spotkania z kulturą zachęciło nas do kontynuacji pracy nad tegoroczną odsłoną festiwalu. Chyba nie ma drugiego takiego wydarzenia albo jest ich niewiele, które łączyłoby tak różne gatunki i style muzyczne, a przede wszystkim integrowało tradycje muzyczne z obszaru Europy Środkowo-Wschodniej.

Szerokie jest też spektrum krajów, których muzyka zostanie zaprezentowana na festiwalu – od Polski poprzez Czechy, Litwę, Łotwę, Białoruś, Bułgarię aż do Azerbejdżanu i Armenii. Jaki jest wspólny mianownik tej muzyki?

Z nie do końca zrozumiałych dla mnie przyczyn kultura naszego regionu nie jest tak często prezentowana na świecie i nawet w samej Europie Środkowo-Wschodniej. To nie kwestia wyborów, ale splotu wielu czynników społeczno-kulturowych, w tym systemowego kreowania nawyków muzycznych. Muzyka z tego kręgu kulturowego rzadko brzmi w salach koncertowych. Ponieważ trwa Rok Stanisława Moniuszki, odwołam się do jego przykładu. Był prawdziwym człowiekiem renesansu, choć żył i tworzył trzy wieki później. Mimo tego pamięć o nim została dziś mocno zredukowana – kojarzymy go jako patrona ulic w dużych miastach oraz autora dwóch wielkich oper i kilku pieśni, które są dziś wykonywane. Jak wykazały badania NCK, jest to twórca rozpoznawalny z nazwiska, ale jego dorobku Polacy już nie znają lub znają w formie bardzo ograniczonej. Skoro taki jest los ojca polskiej opery narodowej, cóż możemy powiedzieć o mistrzach z krajów ościennych? Prezentując ich twórczość, wypełniamy lukę programową i edukacyjną. Podejmujemy trudne wyzwanie, by zainteresować międzynarodową publiczność kompozytorami i artystami z Europy Środkowo-Wschodniej, niejako przywraca-

jąc im należne miejsce na podium światowej twórczości kompozytorskiej.

Dzięki Eufoniom od 15 do 23 listopada br. Polska stanie się kulturowym pomostem między wschodem i zachodem, między północą a południem Europy. Festiwal kreuje przestrzeń dialogu muzyków niemalże z całego świata. Doświadczymy tego już podczas koncertu inauguracyjnego Eufonie, kiedy kompozycje Josefa Suka, Mathew Rossenbluma i Witolda Lutosławskiego zagra Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia (NOSPR) – jedna z najlepszych polskich orkiestr, pod batutą bułgarskiego dyrygenta Rossena Gergova z wybitnym klawecistą Davidem Krakauerem ze Stanów Zjednoczonych jako solistą. A więc od początku łączymy artystów, pokazujemy to, co w muzyce najlepsze, mieszamy nurty i style: klasykę i elektronikę, muzykę tradycyjną i eksperymentalną, współczesną i dawną. Blisko 640 artystów z 20 państw, w tym światowe gwiazdy, 15 koncertów, osiem orkiestr, trzy prapremiery, siedem polskich premier. Takie są Eufonie Narodowego Centrum Kultury.

Eufonie to promocja muzyki Europy Środkowo-Wschodniej w Polsce i na świecie, a może polskiej muzyki poza granicami naszego kraju?

To jest działanie interakcyjne, dwukierunkowe. Jeśli poprzez operę „Gismondo, re di Polonia” Leonarda Vinciego przywołujemy bardzo ważną tegoroczną rocznicę

– 450-lecie unii lubelskiej, jeśli mamy projekt „Before, between and after...”, który przypomina bardzo trudne wydarzenia z 1990 r. związane z niepodległością Litwy, to strona litewska odnotowuje nasze działania. Ambasadorzy Węgier, Słowacji, Czech, Ukrainy, Chorwacji objęli patronatem poszczególne wydarzenia, zachęcając swoich rodaków do uczestnictwa w festiwalu. Naszą intencją jest zaangażowanie szerokiego spektrum instytucji i artystów, uczynienie z Eufonii przestrzeni dialogu międzykulturowego. Z drugiej strony wszyscy zagraniczni wykonawcy, którzy przyjeżdżają na festiwal z całego świata – ze Wschodu i z Zachodu – wykonują tu muzykę z Polski i regionu, stają się tym samym jej popularyzatorami.

Prezentujemy również dużo polskiej muzyki najwyższej próby, chcemy pokazać jej piękno, uniwersalizm i ponadczasowość, nie boimy się trudnych form, które niekiedy, np. w przypadku Krzysztofa Pendereckiego, wymagają pewnych kompetencji i przygotowania odbiorców, ale równocześnie łączą wątki różnych stylów i eksperymentatorsko dedykowane są audytorium bardzo zróżnicowanemu. Zachęcamy do uczestniczenia w koncertach, tym bardziej że dzięki środkom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego udało nam się znacząco obniżyć ceny biletów, które – gdy odnosimy się do tej rangi wydarzeń – są naprawdę atrakcyjne.

NCK podejmuje więcej inicjatyw zorientowanych na Wschód...

Eufonie wpisują się w szerszy kontekst działań NCK. Jesteśmy operatorem bardzo ważnego programu ministra kultury i dziedzictwa narodowego – „Gaude Polonia”. To prestiżowy program stypendialny dla twórców z Europy Środkowo-Wschodniej. Cieszymy się, że polski rząd wspiera artystów z Ukrainy, Białorusi, Gruzji, Armenii czy Kazachstanu. Przecież w trudnych dla nas czasach nasi przyjaciele z Zachodu starali się dbać o naszych artystów. I chodzi tu nie tylko o pieniądze, lecz także o to, że nasi stypendyści czują się upodmiotowieni, docenieni faktem, że są zauważani na Zachodzie, a potem stają się najlepszymi ambasadorami polskiej kultury w swoich krajach.

To jednak nie wszystko. Dużo energii, czasu i środków angażujemy w organizację wakacyjnego festiwalu Wschód Kultury, który odbywa się w trzech miastach: Rzeszowie, Lublinie i Białymstoku. Kolej-

nym z programów jest polsko-ukraińska wymiana młodzieży.

Nie unikamy też trudnych tematów dotyczących przeszłości. Wydajemy kolejne publikacje w serii „Biblioteka Katyńska”. W przyszłym roku obchodzimy 80-lecie mordu i zamierzamy tę rocznicę godnie uczcić. Z kolei 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej upamiętniają nasze najnowsze publikacje: wspomnienia cichociemnego Stanisława Jankowskiego Agatona czy monografia opisująca walki II Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. W. Andersa, ze szczególnym uwzględnieniem bitwy pod Monte Cassino.

Artyści z Polski mają program podobny do „Gaude Polonia”?

W tym roku na wsparcie lokalnych inicjatyw kulturalnych w całej Polsce przeznaczyliśmy ponad 23 mln zł. To są naprawdę duże środki. Znajdując wiele zrozumienia, nieustannie zwracam się z kolejnymi prośbami do kierownictwa Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o dodatkowe wsparcie dla naszych inicjatyw i nawet wtedy, gdy wydaje się, że już nie znajdują dodatkowych pieniędzy na nasze działania, to jednak zawsze gdzieś wynajdują niemałe środki na kulturę i w konsekwencji realizuje fundamentalne przedsięwzięcia z obszaru kultury i dziedzictwa narodowego. Inicjatywy wspieranych przez NCK jest wiele. Szczególnie ważny dla mnie jest ministerialny program stypendialny „Młoda Polska”, zarządzany przez NCK, a skierowany do młodych polskich twórców (do 35. roku życia), reprezentujących różne dziedziny, którzy mają już pewien dorobek. Program ten jest trampoliną do sukcesu dla artystów, którym bez tego wsparcia trudniej byłoby pojawić się na rynku. Z kolei poprzez program dotacyjny „Domy Kultury+ Inicjatywy Lokalne” realizujemy nasze podstawowe działanie, czyli wsparcie samorządowych instytucji kultury. Prowadzimy też kampanię „Ojczysty – dodaj do ulubionych”, która ukazuje tajniki pięknej polszczyzny w sposób, który nie nudzi, nie męczy. Kampania cieszy się ogromnym zainteresowaniem – sam profil na Facebooku śledzi ponad 100 tys. osób.

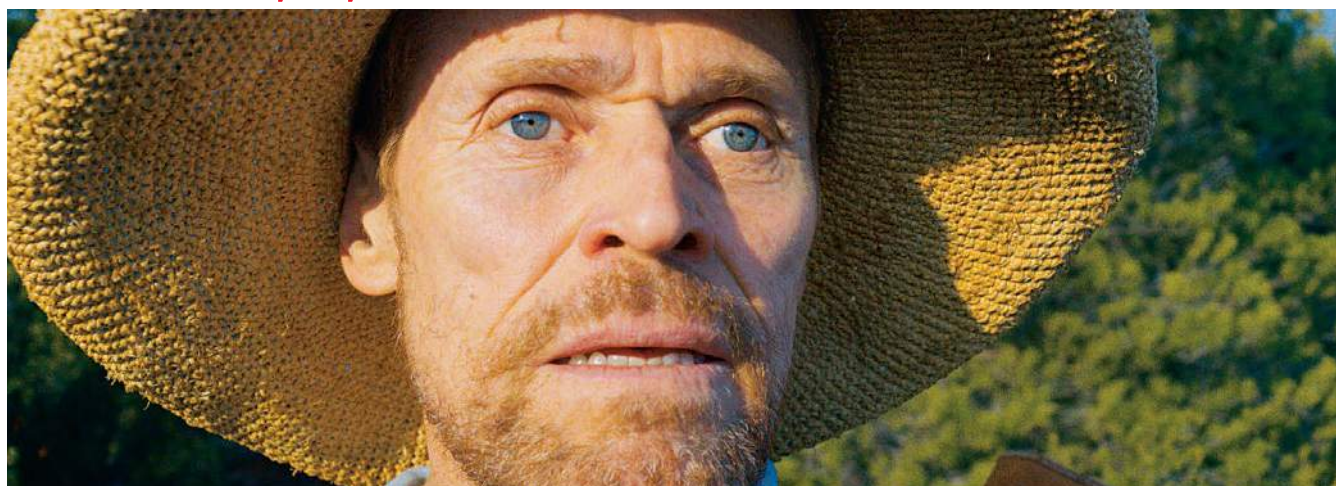
Bardzo ważną rolę odgrywają programy dotacyjne „Etno Polska” i „Kultura – Interwencje”. Ten pierwszy adresowany jest do miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców. Zespoły i artyści z niewielkich miast oraz wsi mogą w ramach niego uzyskać pieniądze m.in. na zakup strojów czy instrumen-

tów albo na ich renowację. „Kultura – Interwencje” to z kolei żywotny dowód na to, jak wiele kreatywnych inicjatyw podejmują nasi twórcy i animatorzy kultury. Do każdej edycji zgłaszanych jest bowiem 600–800 wniosków, które pokazują nam, czym interesują się ludzie, i pozwalają wyciągać wnioski do naszych dalszych działań.

Festiwal Eufonie narodził się w ramach działań włączonych do ubiegłorocznych obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Ten rok to również kilka ważnych rocznic. Jak chcecie o nich opowiadać?

W tym roku włączyliśmy się w obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Organizowaliśmy ogólnopolskie obchody 15-lecia obecności Polski w Unii Europejskiej. Do konkursu adresowanego do tej pory mieliśmy hymn Polski i narodowe pieśni hymniczne, dodaliśmy „Ode do radości”, czyli hymn Unii Europejskiej. W przyszłym roku będziemy upamiętniać wspomnianą już rocznicę katyńską oraz 40-lecie powstania Solidarności. Poprzez wielkie rocznice chcemy inspirować ludzi, ale nie zapominamy też o rocznicach ważnych lokalnie. Pragniemy zainicjować społeczny zaczyn, który rozbudzi pozytywne myślenie o patriotyzmie, bo patriotyzm jest cool, jest trendy, jest jazzu, jest tym, czego wszyscy potrzebujemy. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni język, by o nim opowiadać, zwłaszcza do czułego barometru społecznego, którym jest zbiorowość młodzieży. Przykładem takiego nowoczesnego przekazu, który jest atrakcyjny dla wszystkich pokoleń, jest film „Kartka z powstania”. To pierwszy polski film fabularny zrealizowany w technice VR, który ogląda się w specjalnych goglach. Opowiada o powstaniu warszawskim w taki sposób, że widz staje się jego uczestnikiem. Film dystrybuowany jest w Polsce. W tej chwili na stałe można go oglądać w Strefie Nowych Technologii Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

I naprawdę warto go zobaczyć. „Karta z powstania” została zauważona nawet w Hollywood, gdzie zdobyła nagrodę na Los Angeles Film Festival w kategorii filmów VR, a skoro na drugim końcu świata docenia się film o polskiej historii, to znaczy, że znaleźliśmy odpowiednią formę, by o niej ciekawie opowiadać. Kultura Europy Środkowo-Wschodniej wymaga skutecznego, oryginalnego opowiadania, aby stała się głośną składową globalnej narracji kulturowej.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Ostatnie kuszenie Vincenta



★★★★★

**REŻ. JULIAN
SCHNABEL**
**„VAN GOGH.
U BRAM
WIECZNOŚCI”**
FRANCJA/
IRLANDIA/
SZWAJCARIA/
WIELKA BRYTA-
NIA/USA 2018

wyst. Willem Dafoe,
Rupert Friend,
Oscar Isaac

Zył i tworzył na marginesie, pierwsza pochlebna recenzja ukazała się, gdy wylądował w zakładzie dla obłąkanych. Umierał z poczuciem klęski, choć właśnie stanął u progu sławy, zaś paryskie salony przestały go ignorować i okrzyknęły geniuszem. Minęło ledwie kilka lat i van Gogh stał się legendą, archetypem zbuntowanego artysty, który za niezłomność zapłacił cenę najwyższą.

Męczeński wizerunek utrwaliły powieść Irvinga Stone'a i jej ekranizacja z mocarnym Kirkiem Douglasem w roli głównej (prawdziwy Vincent bardziej przypominał kłozarda niż gladiatora). Julian Schnabel, sam malarz, próbuje autora „Gwiazdzistej nocy” nie tyle odbrązowić, ile trochę uczłowieczyć. Van Gogh siusia w polu, popija absynt i flirtuje z gospodynią, która

zwraca mu uwagę, że śmierdzi i powinien się myć przynajmniej raz na tydzień.

Film przedstawia ostatni i najbardziej twórczy okres życia Holendra (w 80 dni potrafił pojąć 75 obrazów). Sygnałów, że bohater zmierza do katastrofy, nie brakuje. Z monologów wygłaszanych z offu jasno wynika, że mamy do czynienia z nadwrażliwcem. Vincent nie zna się na ludziach, obdarza Gauguina przyjaźnią, której ten narcyz nie potrafi nawet w części odwzajemnić. Marzenie o artystycznej komunie pryska jak bańka mydlana. Zaczyna się huśtawka nastrojów – od euforii do totalnego zniechęcenia. Van Gogh ma napady (auto)agresji i paranoi.

Oczywiście są też momenty wytchnienia, zachwyty nad pięknem natury (praca w plenerze z niejed-

nego malarza zrobiła panteistę) i lekturą Szekspira („najbardziej tajemniczego z pisarzy”), lecz ze szponów przeznaczenia uwolnić się nie sposób. Vincent Schnabla jest pewny siebie, „widzi rzeczy, których nie widzą inni”, przeczuwa, że maluje dla ludzi, którzy jeszcze nie narodziли. Ten chrystusowy wizerunek trochę kłóci się z okolicznościami śmierci Holendra. Z filmu wynika, że była ona przypadkowa i bezsensowna.

Próby odejścia od banału najbardziej powiodły się w warstwie wizualnej. Kamera często próbuje patrzeć na świat oczami van Gogha. Muzycznie – wręcz przeciwnie – postawiono na asceję. Dafoe jest wyśmienity w roli artysty u kresu drogi, choć nie da się ukryć, że odrobinę za stary. „U progu wieczności” kręcono, gdy miał 62 lata. Van Gogh umierając, był o ćwierć wieku młodszy.

Polsko-brytyjski „Twój Vincent” jest laurką, dzieło Schnabla mimo wszystko jest hołdem. Logicznie rzecz biorąc, następny filmowy portret twórcy „Słoneczników” powinien być obrazoburczy: pokazujący safandulę chorego na syfisy, nie męczennika, lecz fanatyka sztuki. Czy ktoś jednak chciałby to oglądać? ☹☹



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NIEPLANOWANE”

Ekranizacja głośnej i wstrząsającej historii Abby Johnson. Oto dzieje duchowej przemiany dyrektorki kliniki aborcyjnej Planned Parenthood. Jak doszło do tego, że osoba odpowiedzialna za tysiące aborcji dziś jest jedną z najbardziej znanych działaczek ruchu pro-life? Niezwykłe świadectwo, które trzeba poznać. Jednocześnie w polskich

księgarniach dzięki wydawnictwu Esprit pojawia się książka Abby, na podstawie której powstał film. ☹☹ **Piotr Gocięk**

• „Nieplanowane” („Unplanned”), reż. **Chuck Konzelman**, wyst. **Ashley Bratcher, Brooks Ryan, Robia Scott**, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

• „0,0 MHz. Częstotliwość opętania”, reż. **Seon-dong Yu**, Korea Południowa 2019

• „100 kilo do gwiazd”, reż. **Marie-Sophie Chambon**, Francja 2018

• „Dziura w głowie”, reż. **Piotr Subbotka**, Polska 2018

Folwark ludzki

Prawdą o sowieckich zbrodniach prawie nikt nie był zainteresowany. Jedni chcieli robić z Moskwą gospodarcze i polityczne deale, drudzy mniej lub bardziej otwarcie kibicowali próbie stworzenia „nowego wspaniałego świata”. Nawet dziś stawianie znaku

równości między Hitlerem a Stalinem nie jest zbyt mile widziane i na festiwalu w Berlinie „Obywatela Jonesa” przyjęto chłodno.

Agnieszka Holland, wierna idei kina zaangażowanego, krytykuje cynizm zachodnich elit z taką samą pasją, z jaką gromi rodzimą dobrą zmianę. Zdaje się, że nie wie, jakie popełniła faux pas, ocieplając wizerunek Williama Randolpha Hearsta. Wyklinany przez lewicę magnat

prasowy złamał znowę milczenia, otaczając Hołodomor, publikując wstrząsające relacje walijskiego dziennikarza – freelancera, który jako jedyny odważył się wyprawić na Ukrainę, by zweryfikować wieści o sowieckim cudzie gospodarczym.



★★★★★
REŻ. AGNIESZKA HOLLAND
„OBYWATEL JONES” („MR. JONES”)
POLSKA/UKRAINA/WIELKA Brytania 2019

wyst. James Norton, Vanessa Kirby, Peter Sarsgaard

Złote Lwy na festiwalu w Gdyni dla filmu anglojęzycznego uznano za hucpę i sygnał, że Holland wchodzi w buty Wajdy. Tymczasem „Obywatel Jones” będący zgrabnym połączeniem dreszczowca i moralitetu, obroniłby się nawet bez cytowania Orwella. Błędem okazał się jedynie Sarsgaard w roli diabolicznego korespondenta „New York Timesa”. Bezwstydnik kradnie każdą scenę, w której się pojawia. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „WARSAW”

Polska w grach o II wojnie właściwie nie istnieje. Jeśli sami o naszą historię w popkulturze nie zadamy, to nikt nie zrobi tego za nas. W ten trend – opowiadania o zapomnianych na Zachodzie kartach największego konfliktu w dziejach – wpisuje się gra RPG „Warsaw”.

Przedstawiona w komiksowej formie wersja powstania warszawskiego, w której grupa śmiaków rzuca wyzwanie siłom niemieckiej machiny wojennej, to idealny temat na podobną produkcję. Pytanie, czy dwuwymiarowa gra taktyczna uboga w animacje sprostowała temu zadaniu?



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PARADA OSZUSTÓW

„Big Short” opowiadał o kryzysie roku 2008, „Pralnia” z kolei zainspirowana została aferą Panama Papers. Steven Soderbergh zapożyczył od Adama McKaya metodę: bohaterowie spacerują po świecie brudnych machinacji finansowych i wprost tłumaczą widzom zasady przekrętów. Fabułę w ruch wprawia, grana przez Meryl Streep, wdowa. Po wypadku, w którym straciła męża, odkrywa, że ubezpieczyciele to oszuści i jedynie początek długiego łańcucha firm wydmuszek. Soderbergh oskarża wpływowych i bogatych o to, że zarabiają na krzywdzie biednych i potulnych, najbardziej jednak dostaje się Ameryce za to, że takie praktyki toleruje. Film najciekawszy jest, gdy pokazuje metody działania „optymalizatorów” podatkowych i gdy rozważa, na ile chciwość jest nieodłączną cechą ludzkiej natury. „Ratowanie świata nie jest łatwym zadaniem – mówi do nas przekręciarz o twarzy Antonia Banderasa. – Co gorsza, świat wcale nie chce być uratowany”. Czyż nie ma nieco racji?



wyst. Meryl Streep, Gary Oldman, Antonio Banderas

★★★★★
REŻ. STEVEN SODERBERGH
„PRALNIA” („THE LAUNDROMAT”)
USA 2019, DISTR. NETFLIX

W ŁÓŻKU Z MORDERCĄ

Skala zbrodni dokonanych przez Teda Bundy’ego do dziś pozostaje tajemnicą. Za nie, które ze swych występów zapłacił śmiercią na krześle elektrycznym. Wiemy, że zamordował brutalnie wiele kobiet i że był potworem w ludzkiej skórze, który nie odczuwał współczucia. Walnie pomagał mu fakt, że bezlitośnie manipulował i wykorzystywał swe zalety: był przystojny, wykształcony, wielu mówiło „czarujący”. Joe Berlinger nakręcił o nim wstrząsający serial dokumentalny. Ten sam reżyser zaproponował nam także film fabularny, w którym o Bundym opowiada z punktu widzenia zakochanej w nim, niemal do końca wątpliwej w jego winę kobiety (świetna Lily Collins). W mordercę wcielił się Zac Efron. Jego chłopięcy urok czyni seryjnego mordercę jeszcze bardziej przerażającym. Powstała szarpiąca nerwy produkcja nie tylko o zbrodniarzu, lecz także o wielkim spektaklu medialnym, w który zamienił swój proces. ©



wyst. Zac Efron, Lily Collins, John Malkovich

★★★★★
REŻ. JOE BERLINGER
„PODŁY, OKRUTNY I ZŁY”
USA 2019

recenzuje Piotr Gociek

★★★★★

Moim zdaniem średnio, ale od czegoś trzeba zacząć. © **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Pixelated Milk/Agora
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

„Przekrojowe” pływaczny

Książka Tomasza Potkaja, tytuł też o Marianie Eilem, twórcy i wieloletnim redaktorze naczelnym „Przekroju”, ile o samym tygodniku, a szerzej o kulturze Polski gomułkowskiej, bo na nią przypadają złote lata „Przekroju”, dobitnie dowodzi, że poza religią niczego nie należy przyjmować na wiarę. Gdyby autor zaufał poczynionym wcześniej i wielokrotnie utrwalonym w piśmie ustaleniom, powstałaby jeszcze jedna, średnio potrzebna i średnio udana biografia czy monografia. A tak otrzymaliśmy jeden z najciekawszych i najprawdziwszych obrazów naszej powojennej rzeczywistości.

Przypomnijmy: pierwszy numer „Przekroju” wyszedł w 1945 r. – Kiedy po latach wróciłam do lektury pierwszych numerów „Przekroju”, uderzyło mnie, jak bardzo było to prymitywne – opowiadała autorowi Joanna Olczak-Ronikier. – August Bęc-Walski to przecież ochłap rzucony propagandzie, żeby wyśmiać biednego hrabiego. A obok relacja z procesu norymberskiego. Jednak wtedy nie mogłam tego widzieć. „Przekrój” był najważniejszym źródłem informacji dla kogoś, kto uważał się za inteligenta. A czy było w nim coś głębszego? Pewnie nie, ale chyba wtedy nikomu nie było to potrzebne.

Nie był „Przekrój” żadnym wyjątkiem. Gdy, poczwarszy od końca lat 40., ideologiczną obręcz nad polską kulturą dawało się coraz wyraźniej odczuć, w tygodnikowym konkursie należało odgadnąć np., skąd przybyli delegaci na zlot budowniczych Polski Ludowej.

W innym konkursie, związanym z czytelnictwem, trzeba było wymienić socrealistyczne tytuły z „Poematem pedagogicznym” Makarenki i „Cichym Donem” Szołochowa na czele.



FOT. MARCUSZ GAJCZYŃSKI/EAST NEWS

Bazował „Przekrój” na tym, co zdążył zrobić przed przykręceniem śruby ideologicznej, i na popaździernikowej odwilży. Na głośnych nazwiskach: Gałczyńskiego, Kisielewskiego, Tyrmanda. Z czasem na Kernie, Lengrenie, Barbarze Hoff, Janinie Ipohorskiej (Janie Kamyczku). Czytelnicy polubili krzyżówkę z kociakiem, humor zeszytów szkolnych, „Przekrojowe” rubryki i rubryczki. Po latach, nieco zdumieni, dowiedzieliśmy się, jak to krakowski tygodnik lansował ambitną literaturę zachodnią z Borgesem na czele – jako żywo – pułap intelektualnych ambicji wyznaczała tam raczej Saganka. Nie było też wcale tak, że wraz z epoką Eilego skończyło się pismo. Jeszcze przez całą dekadę lat 70., pod redakcją Mieczysława Czumy, utrzymywało wcześniej wypracowany poziom, a nakład miało największy w historii, bo oscylujący między 700-tysięcznym a milionowym (!).

Jeśli zaś chodzi o samego Mariana Eilego, to cóż, nie był jeszcze jedną – tak jak chce legion tych, którzy wiedzą wszystko najlepiej – ofiarą wydarzeń marcowych

w 1968 r. Chociaż pochodzenia żydowskiego, owszem, był. Urodził się 7 stycznia 1910 r. we Lwowie. Jego ojciec miał jeszcze jednocześnie imię żydowskie i polskie – Hirszel Henryk, jego żona, a mama Mariana – Gustawa Czesława Rychter – pochodziła z zasymilowanej rodziny żydowskiej.

Marian Eile doświadczenie redakcyjne zdobywał w „Wiadomościach Literackich” pod okiem samego Mieczysława Grydzewskiego. W tychże „Wiadomościach...” zdarzyło mu się drukować Jerzego Borejsz. Ten sam Borejsza zainstalował go w lutym 1945 r. w Krakowie, obok Jerzego Putramenta, któremu miał pomagać w stworzeniu ilustrowanego magazynu, a na początku dodatku do „Dziennika Polskiego”. Traf chciał, że Putramenta postrzelono, najprawdopodobniej podczas zamachu na Bieruta, choć to tylko domysły, w każdym razie Eile zmuszony był działać sam, co dla „Przekroju” okazało się zbawienne.

Z Polski nikt Eilego nie wypędził. Nie dostał paszportu w jedną stronę; wyjechał 14 marca 1969 r. do Paryża na służbowym paszporcie RSW, „Prasa-Książka-Ruch”, przedłużając swój pobyt do listopada 1970 r. Wcześniej, jesienią 1969 r., wysłał do swego polskiego pracodawcy list z rezygnacją z funkcji naczelnego. Na pewno antysemitki kurs obwieszczonej w PZPR napawał go wstrętem i zdecydował o podjęciu takiej decyzji, ale o jakichkolwiek prześladowaniach, zgódźmy się, mowy być nie może.

Eile nigdy więcej nie wyjechał za granicę. Zmarł 2 grudnia 1984 r., pochowany został w Krakowie na cmentarzu Rakowickim. To był „osobnik ściśle przedwojenny, a tak znakomicie przełancowany i zaaklimatyzowany w Polsce Ludowej. Inteligent bezbłędnie wyczuwający potrzeby i gusty obywateli z awansu” – tak pisał o nim Kisiel. ©©



★★★★★
TOMASZ POTKAJ
„PRZEKRÓJ
EILEGO. BIOGRAFIA
CAŁEGO TEGO
ZAMIESZANIA
Z UWZGLĘDNIENIEM
PSA FAFIKA”
WAM,
KRAKÓW 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gdzie ta wolność

Bret Easton Ellis napisał trzy książki w jednej. „Biały”, jego pierwsze dzieło non-fiction, to trochę wspomnienie dzieciństwa, trochę komentarz do własnej drogi twórczej, a trochę tyrała przeciw współczesnej politycznej poprawności. Wbrew pozorom te trzy wątki łączą się ze sobą płynnie i logicznie. „Biały” jest książką o wolności.

Autobiograficzne kawałki przypominają nam o świecie sprzed czasów Internetu, kiedy świat nie był ogarnięty jeszcze obsesją kontroli wszystkiego i wszystkich, dzieciaki spędzały całe dnie poza zasięgiem wzroku dorosłych. Wolność, którą wspomina Ellis, była nie tylko wolnością od niepotrzebnych zakazów i regulacji, lecz także wolnością odkrywania świata samemu, na poważnie.

Tam, gdzie Ellis, autor „American Psycho” i kilku innych książek, komentuje dzieje własnego pisania, recepcji kontrowersyjnych książek i kulisy Hollywood, mamy do czynienia z obroną wolności artystycznej. Można cenić prozę Ellisa lub nie, ale nie można mu odmówić bezkompromisowości: pisze, wydaje, wygłasza opinie na własnych warunkach, a nie w takt rytmu wystukiwanego przez działy PR domów wydawniczych. Jest też gwiazdą Twittera.

Co prowadzi nas do trzeciej sprawy – w ostatniej

części „Białego” Ellis staje się gorącym obrońcą wolności słowa. Dochodzimy do najciekawszej kwestii: Ellis zdeklarowany gej, nie został wpuszczony na ceremonię wręczenia gejowskich nagród, bo uznano jego wypowiedzi za szkodliwe dla „gejowskiej sprawy”. Zbiera nieustanne cięgi za to, że od świtu do nocy nie potępia Trumpa. Wystarczyło, by kilkakrotnie przypominał, że przecież wielu Amerykanów głosowało na tego kandydata i że mają do tego prawo.

Opis szaleństwa amerykańskich liberałów, którzy po wygranej Trumpa zredukowali swoje życie umysłowe do stadnych odruchów nienawiści skierowanych przeciw prezydentowi i tym, którzy na niego głosowali, pasuje do objawów antypisowskiego hejtu toczącego polskie salony. Dla czytelnika znad Wisły książka Ellisa ma więc walor dodatkowy. Jeszcze niedawno zdawało się, że amerykańskie szaleństwo nas nie dotyczy albo że będą dotyczyły w odległej przyszłości. Dzisiaj, czytając zgryźliwe kpiny Ellisa z „gejowskiej policji myśli”, trudno od razu nie przypomnieć sobie wyczynów polskich autorów rozmaitych tzw. raportów o homofobii albo tego, co spotkało Redbada Klynstrę-Komarnickiego, gdy głośno zapytał o pedofilów homoseksualistów. © ©



★★★★★
BRET EASTON ELLIS
„BIAŁY”
VIS-À-VIS ETIUDA 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejna na polskim rynku książka wybitnego pisarza chińskiego. Po wstrząsającym „Śnie wioski Ding” przyszedł czas na opowieść o patologii wymuszanego przyspieszonego rozwoju współczesnych Chin. Zgryźliwe i pięknie napisane.



YAN LIANKE
„KRONIKI EKSPLOZJI”
PIW

Wznowienie jednej z najważniejszych książek XX w. na temat relacji polsko-niemieckich. Dziesięć reportaży o powojennych losach ważnych nazistów, w tym autorów i realizatorów przerażającego Generalplan Ost.



KRZYSZTOF KĄKOLEWSKI
„CO U PANA SŁYCHAĆ?”
ZYSK I S-KA

Według projektu z 1919 r. podziemna kolejka miała łączyć Mokotów z Muranowem. Dlaczego nie powstała w II RP, jak wyglądały PRL-owskie boje o metro, jak służy nam dziś – dowiedzą się państwo z tej jakże pozytywnej publikacji.



JAKUB JASTRZĘBSKI
„STO LAT WARSZAWSKIEGO METRA”
SKARPA WARSZAWSKA

O Polsce lat 2005–2015 surowo i nie szczędząc ostrych słów koalicji PO-PSL, opowiada jeden z najważniejszych polskich historyków, autor „Historii Polski” (w podziemiu publikujący jako Andrzej Albert). © ©



WOJCIECH ROSZKOWSKI
„KIERUNEK TARGOWICA”
BIAŁY KRUK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Rafał Kosik „Felix, Net i Nika oraz Gang Niewidzialnych Ludzi” (Powergraph)** – pierwszy tom popularnej serii dla młodych znów na topie.
- Wioletta Piasecka „Faustynka. Opowieści patriotyczne” (Nika)** – o Polsce dla najmłodszych, historia inspirowana postaciami autentycznymi.
- Marta Galewska-Kustra „Pucio umie opowiadać” (Nasza Księgarnia)** – piąta część popularnej edukacyjnej serii dla najmłodszych. Dozwolone do lat pięciu!
- Anna Konarzewska „Być (nie)zwykłym wychowawcą” (Warszawska Firma Wydawnicza)** – scenariusze lekcji wychowawczych podpowiada polonistka.
- Olga Tokarczuk „Podróż ludzi Księgi” (Wydawnictwo Literackie)** – szybkie wznowienie debiutanckiej powieści świeżo upieczonej noblistki.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Bonito.pl od 9 do 16 października 2019 r.)



Opera i taniec na głowie



FOT. HROVUKI/TO/GETTY IMAGES, KAMIL PODKOWSKI

Ma 28 lat i z powodzeniem łączy dwie, zdawałoby się, odległe od siebie pasje. Jakub Józef Orliński jest kontratenorem, mającym na koncie występy w prestiżowych salach koncertowych (m.in. nowojorskiej Carnegie Hall, londyńskiej Wigmore Hall) i międzynarodowe nagrody. Lista tych drugich rozszerzyła się w październiku o dwie pozycje. Najpierw Orliński został uhonorowany niemiecką nagrodą Opus Klassik, a później Polak odebrał w Londy-

nie Gramophone Classical Music Award dla młodego artysty roku. Nagrody przyznawane od ponad czterech dekad przez branżowy magazyn „The Gramophone” to w środowisku muzyki poważnej bardzo prestiżowe wyróżnienie. Jakub Józef Orliński jest absolwentem Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, muzyczną edukację kontynuował w Juilliard School w Nowym Jorku. Karierę rozpoczynał

w Męskim Zespole „Gregorianum”. W ubiegłym roku podpisał kontrakt z Warner Classics (jako pierwszy polski kontratenor związał się z zachodnią wytwórnią fonograficzną), czego efektem była płyta „Anima Sacra”. Na debiutanckim albumie Orliński wykonuje barokowe utwory religijne z kręgu włoskiego i niemieckiego. Towarzyszy mu Il Pomo d’Oro – europejska orkiestra założona w Wenecji, a dziś działająca w Zurychu.

Niebawem na sklepowe półki i streamingowe serwisy trafi drugi album polskiego kontratenora zatytułowany „Facce d’amore”. Kiedy 28-latek (na początku grudnia będzie obchodził ostatnie urodziny z dwójką z przodu) nie sięga po kompozycje mistrzów sprzed wieków, nie występuje w operze i nie odbiera „poważnych” nagród, chętnie tańczy... breakdance. Taniec ten zaczął trenować jako 19-latek. Postawił co prawda na śpiew, ale breakdance pozostał jako hobby i sposób na rozładowanie napięcia. Jakby tych talentów było mało dla jednego człowieka, „The Telegraph” umieścił Orlińskiego na liście „10 najbardziej czarujących śpiewaków operowych świata”, co pewnie mogą potwierdzić dziesiątki tysięcy fanek z całego świata śledzące polskiego śpiewaka na Instagramie. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Głuchnąc od słów

Na drugim solowym albumie Muniek, przy wsparciu młodych muzyków, wychodzi z rutyny T.Love i przeprowadza rachunek sumienia. Muzykę napisali m.in. Wojciech Waglewski, Dawid Podsiadło, Błażej Król i Jerzy Zagórski.

Jest dzieckiem ulicy i kiedy śpiewa o własnych doświadczeniach, jest do bólu celny. W miejskim bluesie „Ta piosenka nie jest dla ciebie” krzyczy: „Jest końcówka lutego miasto wygląda ohydnie, jestem trzeźwy od dwóch miesięcy... Tęsknota, wielka tęsknota za tą rozjebką, za tym chaosem za czymś trywialnie marnym... za całą tą głupotą i udawaną nie-pustką. Nuda!”. „Ołów” to współczesna, brutalna wersja słynnej „Warszawy”. Album kończy „Kłamstwo”.

Pokazując nasze i własne przywary, Muniek wciąż w nas wierzy. W singlowej „Poli” śpiewa o Polsce: „O Pola, oszukują cię / I ciągle używają cię / I gwałcą cię”. I dodaje „Pola, musisz z kolan wstać / Bo tu już nie ma z czego brać”. Na drugiego singla wybrał utwór Marka Grechuty do tekstu Tadeusza Nowaka z 1972 r.: „A do tych ludzi starczy zejść z pagórka / Zakłaskać w dłonie i wyciągnąć z mroku / Skrzypce, gdzie śpiewka stroszy siwe piórka / A staną w tańcu, choćby na obłoku”.

Muzycznie momentami jest naprawdę świetnie. Sowizdrzalski rock and roll przeplata się z ołowianymi bluesami, jazzowymi improwizacjami, stylizowanymi rytmami i wpadającymi w ucho refrenami. Dobrze, że Muniek jest! ©©



★★★★★
MUNIEK STASZCZAK
„SYN MIASTA”
AGORA



★★★★★
MACIEJ OBARA
QUARTET
„THREE CROWNS”
ECM

Drugi album polsko-norweskiego kwartetu dla niemieckiej wytwórni pięknie płynie między liryzmem a wybuchowością. Oprócz utworów Obary usłyszymy dwie interpretacje kompozycji Henryka Góreckiego. Jazz do zadumy w jesienne wieczory.



★★★★★
KIM GORDON
„NO HOME RECORD”
MATADOR

Odważny, dowcipny i zmysłowy debiut byłej liderki Sonic Youth stworzony po powrocie do Los Angeles. Kim kąsa jak za najlepszych lat wściekłymi dźwiękami i satyrą o korporacyjnym kapitalizmie. Otrzeźwiający rockowe wstrząsy sejsmiczne. ©©



**Spraw, aby każde
dziecko mogło
się uczyć!**

Lidiya ma 8 lat. Mieszka w Indiach. Nie chodzi do szkoły.

Każde **50, 80** czy **100** zł to uchroni dzieci w Indiach przed pracą ponad siły i pozwoli im się uczyć.



Nr konta: 44 1240 1095 1111 0010 3468 8020

Tytuł wpłaty: PR19 DAROWIZNA INDIE



Z Robertem Winnickim, jednym z liderów Konfederacji, posłem, prezesem Ruchu Narodowego rozmawia Maciej Pieczyński

PiS zdezerterował z cywilizacyjnego frontu

MACIEJ PIECZYŃSKI: Doktor Bartłomiej Biskup na łamach „Do Rzeczy” stwierdził, że sukces Konfederacji miał dwóch ojców: TVP i TVN. Telewizja publiczna albo straszyla wami wyborców, albo was pomijała. TVN natomiast próbował was promować, przedstawiając jako alternatywę dla PiS. Podziela pan tę opinię?

ROBERT WINNICKI: Nie zgadzam się z taką oceną sytuacji. Ani jedna, ani druga stacja nam nie pomogły. TVN pokazał nas kilka razy w ostatnim tygodniu kampanii i nie było to żadne wsparcie – po prostu na koniec przedwyborczej batalii stacja

poświęciła trochę uwagi wszystkim komitetom. Natomiast TVP bardzo mocno nam zaszkodziła, milcząc albo kłamiąc na nasz temat. Zostaliśmy potraktowani skrajnie niesprawiedliwie.

To mogło jednak sprawić, że wyborcy głosowali na was trochę z przekory, trochę ze współczucia dla pomijanej przez media formacji.

W ostatnich dniach kampanii bezcelność propagandy TVP mogła doprowadzić do wzrostu poparcia i zwiększonej mobilizacji naszych zwolenników. Te

ewentualne korzyści to jednak nic w porównaniu ze stratami, które ponieśliśmy. Wielomilionowa widownia telewizji publicznej przez większą część kampanii albo nie słyszała o naszym istnieniu, albo słyszała same kłamstwa. Najgorsze były milczenie i absolutne pomijanie wyników sondażowych, które dawały nam miejsca w Sejmie. To zniechęcało wielu wyborców.

Dlatego złożyliście do Sądu Najwyższego wniosek o unieważnienie wyborów.

Ściślej mówiąc – o to, żeby powtórzyć wybory w kilku okręgach, gdzie naszym zdaniem manipulacje TVP uniemożliwiły naszym kandydatom zdobycie mandatu posła. Jeśli bowiem zabrakło jedynie od 600 do 1,5 tys. głosów, to z całą pewnością można założyć, że przyczynił się do tego przekaz medialny...

Byliście pomijani, to prawda, ale...

Nie chodzi tylko o pomijanie. Sądy kilkakrotnie przyznawały nam rację, w trybie wyborczym, w sporze z TVP. Telewizja publiczna albo tych wyroków nie wykonywała, albo je wykonywała, ale dodając przy tym skandaliczny komentarz, dezawuuujący prawomocną decyzję sądu. To jest coś gorszego niż wroga, oszczerzca propaganda czy nawet milczenie na temat przeciwnika. Niewykonanie bardzo ważnego wyroku sądu to po prostu zamach na demokrację i wolne wybory. Dlatego złożyliśmy na Kurskiego doniesienie do prokuratury.

Ledwo weszliście do Sejmu, a już chcecie unieważnienia wyborów. Niezależnie od argumentacji, nie wygląda to do końca poważnie. Nie wiadomo, czy gdyby media o waszych kandydatach rzetelnie informowały, dostaliby się oni do Sejmu.

Jestem przekonany, że gdyby media nas nie pomijały i nie kłamały na nasz temat, wprowadzilibyśmy do Sejmu nie 11, a kilkudziesięciu posłów. Kilkanaście mandatów było na wyciągnięcie ręki.

Sukcesem jednak jest, że w ogóle przekroczyliście próg. Większość sondaży tego nie zakładała. Skoro nie TVP i TVN to co sprawiło, że się wam udało, i to pomimo wysokiej frekwencji, która w teorii nie powinna sprzyjać małym ugrupowaniom?

Konfederacja zdążyła zadowolić się przez tych kilka miesięcy na polskiej scenie politycznej. Wyborcy coraz lepiej kojarzą nazwę. Zasadniczym czynnikiem jest jednak to, że byliśmy w tych wyborach jedyną siłą spoza układu okrągłostołowego. To właśnie Konfederacja stanęła do samotnej walki przeciwko czworogłowej koalicji, z niewielkimi zmianami rządzącej Polską od 30 lat.

W kampanii europejskiej pozycjonowaliście się w podobny sposób. Poza tym z reguły eurosceptycy zwykle notują dobre wyniki w wyborach do PE. A jednak wtedy przegraliście.

Również w tamtej kampanii media o nas milczały albo mówiły w negatywnym tonie. A dodatkowo startowało więcej komitetów, w tym ugrupowanie

Kukiza. Wiele osób dowiedziało się o nas dopiero 26 maja, w dniu wyborów.

„Konfederacja to nasi bracia w wierze, bardziej radykalni i na razie mniej doświadczeni w pracy na rzecz państwa, ale przecież jesteśmy po jednej stronie barykady, w wielkiej wojnie cywilizacji. Pamiętajmy o tym, gdy przyjdzie nam się zatracić w drobnych politycznych potyczkach” – napisał na Twitterze jeden ze zwolenników PiS. Jak rozumiem, Konfederacja to „młodszy bracia w wierze” partii Kaczyńskiego. Jak się panu podoba taka egzegeza?

Jeśli rzeczywiście jesteśmy ideowymi sojusznikami, zajmującymi pozycje na tej samej linii frontu cywilizacyjnego, to z przykrością muszę stwierdzić, że PiS z tego frontu zdezerterował. Mając przez ostatnie cztery lata wszystkie instrumenty prawne i administracyjne, potrzebne do obrony tradycyjnych wartości w przestrzeni publicznej, partia Kaczyńskiego nie zrobiła absolutnie nic, by z nich skorzystać. Wręcz przeciwnie – media rządowe tak naprawdę sączą ten sam rodzaj lewicowo-liberalnego przekazu kulturowego, pozwalając na niszczenie fundamentów takich jak rodzina, rozumiana zgodnie z tradycją jako związek kobiety i mężczyzny, czy ochrona życia od poczęcia.

Wielomilionowa widownia telewizji publicznej przez większą część kampanii albo nie słyszała o naszym istnieniu, albo słyszała same kłamstwa

Bez przesady. PiS nie pozwolił na liberalizację prawa aborcyjnego. Nie wprowadził związków partnerskich, nie mówiąc już o małżeństwach homoseksualnych czy o prawie do adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe. Wrzuca pan PiS i PO do tego samego worka z napisem „obóz okrągłostołowy”, ale chyba nie ma wątpliwości, że za rządów Platformy było i byłoby gorzej z obroną wartości konserwatywnych, szczególnie po skrócie tej partii w lewo.

Szczerze powiedziawszy, za rządów PO było to samo, co jest za PiS. Tylko jedni i drudzy używają innego języka, budząc inne emocje. Jednak PiS w sensie cywilizacyjnym idzie dokładnie tą samą drogą, którą przeszła zachodnioeuropejska centroprawica – ulega dyktatowi politycznej poprawności i skręca w stronę lewicowo-

-liberalną. Partia Kaczyńskiego nie postawiła żadnej tamy tęczowej ofensywie.

Jednak przecież narracja PiS jest bardzo konserwatywna. Na poziomie retoryki partia rządząca zdecydowanie przeciwstawia się „tęczowej ofensywie”.

To typowy zabieg Kaczyńskiego. Używa języka konserwatysty, prowadząc przy tym politykę światopoglądowego liberała. Nic nowego. Liczą się fakty, nie słowa. Z budżetu państwa szerokim strumieniem płyną pieniądze na gender studies, w szkołach odbywają się „tęczowe piątki”... Przestrzeń publiczną jest coraz bardziej zawłaszczana przez lewicę.

Za to PiS broni dobrego wizerunku Polski za granicą. Niezależnie od wpadek Polskiej Fundacji Narodowej czy ustawy o IPN pręźnie działa Instytut Pileckiego, promujący prawdę o naszej historii, rząd forsuje tożsamościową retorykę...

Rzeczywiście – jednym obszarem, w którym PiS naprawiał jako tako błędy III RP, jest kwestia polityki historycznej. Jestem w stanie za to pochwalić rząd, choć oczywiście PFN to niewypał, a w sprawie ustawy o IPN haniebnie stchórzyli. Jednak poza niektórymi obszarami polityki historycznej to jest rząd kontynuacji III RP. Po 2015 r. państwo nie zostało tak naprawdę zreformowane. Wielkim zawodem jest stosunek do imigrantów.

Przecież PiS nie wykonał zobowiązania Ewy Kopacz. Nie zgodził się na narzucenie kwot imigrantów.

Nie wpuszczono 6 tys. imigrantów. Za to w zeszłym roku wojewodowie wydali zgodę na przyjazd 600 tys. osób – najwięcej w całej Unii Europejskiej! Polska staje się państwem imigranckim. Przyjeżdżają do nas nie tylko Ukraińcy czy Białorusini, lecz także tysiące imigrantów z Azji. Rewolucja obyczajowa trwa, imigrancki wpływ trwa, rządzący oferują konsumpcję jako nową ideologię państwową – wypisz wymaluj, Zachód 40 lat temu.

„Ja myślę, że PiS zbuduje sobie tę większość w Senacie. Niezależnie od pogroźek senatora Fedorowicza. Proszę państwa, Platforma i PiS wymieniają się doskonale kadrami. Pan minister Gowin był ministrem u Tuska, pan Morawiecki był doradcą u Tuska. Pan prezydent Duda był w Unii Wolności” – komentował pan na antenie TVP Info. Tak naprawdę jednak odniósł się pan jedynie do personalistów. Pan też był u Kukiza, a teraz jest w Konfederacji. A gdyby jednak ocenił pan programy, postawy ideowe, to raczej nie postawiłby pan znaku równości między PiS a PO.

Te dwie partie różnią się głównie językiem. Posługują się innymi zestawami haseł, deklarowanych wartości i charakterem wzniesionych w społeczeństwie emocji, za pomocą których dzielą pomiędzy siebie masy wyborców. Platforma wraz z przystawkami zagospodarowała nastroje kosmopolityczne, PiS – tradycjonalistyczne.

No właśnie – PiS wygrał z wami – narodowcami – walkę o rząd dusz na prawicy. Nie pomogła moda na patriotyzm, nie pomogły wielotysięczne Marsze Niepodległości. Większość prawicowych emocji poszła na konto PiS.

Niezbyt zasadne wydaje się to porównanie. Po jednej stronie – okrzepła od początków III RP, od czasów Porozumienia Centrum, żelazna struktura, złożona z polityków, którzy kariery zaczynali jeszcze w latach 80., uwłaszczona na majątku narodowym. Po drugiej stronie – szeroko rozumiany ruch narodowy, który na dobre zaczął się odradzać dekadę temu. Bez pieniędzy, bez struktur, zaciekle zwalczany. To nie jest równa walka.

A może powinniście się dogadać, zamiast walczyć. Po wyborach media lewicowo-liberalne zmieniły opinię o was. Wcześniej raczej próbowali przedstawić Konfederację jako cywilizowane ugrupowanie, alternatywę dla PiS. Dzisiaj, gdy weszliście do Sejmu i nie jesteście już w stanie odebrać głosów rządzącym, przedstawia się was znowu jako potencjalnego koalicjanta PiS. Przekaz jest mniej więcej taki: „Kaczyński i radykałowie z Konfederacji to ta sama polityczna rodzina. Łączy ich więcej niż antypisowska opozycja”.

Będziemy konstruktywną opozycją. Niestety, nie dostrzegamy w PiS woli dokonania strukturalnych zmian w państwie polskim.

Z jakiegoś powodu część narodowców, która wraz z panem weszła do Sejmu z list Kukiz'15, przeszła do PiS: Chruszcz, Andruszkiewicz, Rzymkowski... Może to naturalna droga?

Ideowy narodowiec ma do wyboru różne formy zaangażowania, w tym politycznego. Jeśli wstępuje do PiS, to nie po to, żeby realizować ideę narodową, bo tego PiS, jak już wcześniej mówiłem, nie robi. Idzie tam dla stanowisk.

A jednak pan przyznał: „Jeśli PiS będzie chciał chronić życie od poczęcia, jeśli zmieni swoją politykę wobec Polaków na Kresach Wschodnich, jeśli zatrzyma napływ imigrantów do Polski, to współpraca jest możliwa, ale raczej przy konkretnych ustawach”.

Z tej wypowiedzi wykreśliłbym jedynie słowo: „raczej”. Tak, jesteśmy skłonni współpracować z PiS przy konkretnych ustawach. Będziemy tworzyć opozycję merytoryczną, to jasne.

Janusz Korwin-Mikke w rozmowie ze mną przed wyborami stwierdził, że wszedłby w układ z PiS w zamian za dwa ministerstwa: Edukacji Narodowej i Zdrowia, które objąłby tylko po to, aby je w imię wolnego rynku zlikwidować. Tyle ze strony wolnościowców. A jaki byłby warunek podjęcia stałej współpracy z rządem ze strony narodowców?

Narodowa część Konfederacji nie weszłaby do rządu bez reszty Konfederacji. Nie ma zresztą w tej chwili takiej potrzeby. Pozycjonujemy się jako ta siła, która ma patrzeć na ręce zarówno rządzącym, jak i lewicowo-liberalnej opozycji. Chcemy być głosem docierającym do PiS

Będziemy konstruktywną opozycją. Niestety, nie dostrzegamy w PiS woli dokonania strukturalnych zmian w państwie polskim

z prawej strony. Oczywiście gdybyśmy mieli jakikolwiek wpływ na politykę rządu, forsowalibyśmy ochronę życia, rodziny, zatrzymanie imigracji. Naciskałobyśmy też na konieczność prowadzenia wielowektorowej polityki zagranicznej. Polska musi współpracować ze wszystkimi, ale być też państwem suwerennym, niezależnym zarówno od Brukseli czy Waszyngtonu, jak i od Moskwy.

„Jestem zwolennikiem tego, żeby zawrzeć dwustronny pakt ze Stanami Zjednoczonymi, taki, który ma Izrael, a jeśli to się nie uda, to zawrzeć sojusz z Rosją” – stwierdził Janusz Korwin-Mikke, po raz kolejny dając powody waszym krytykom do oskarżania Konfederacji o prorosyjskość. Czy lider „skrzydła narodowego” podziela w tej sprawie zdanie lidera „skrzydła wolnościowego”?

To jest pewna gra intelektualna pana Janusza, ale oczywiście w obecnych warunkach geopolitycznych o żadnym sojuszu Polski z Rosją nie może być mowy.

Często musi się pan tłumaczyć z kontrowersyjnych wypowiedzi Korwin-Mikkego. Nie męczy to pana? Czy to nie jest obciążenie wizerunkowe?

Nie jest to dla mnie żaden problem. Doskonale wiedzieliśmy, z kim wchodzimy w koalicję. Pan Janusz to bardzo barwna postać, która fascynuje i inspiro-

je miliony Polaków, ale jestem jego kolegą z koła, a nie egzegetą. Pytania należy kierować do autora cytatów.

Jeden z użytkowników Twittera przeprowadził żartobliwą sondę, w której można było głosować na następujące warianty przyszłości Konfederacji: „kuce się znarola”, „narole się skucują”, „pokłóć się o hajs”. Którą odpowiedź pan by zaznaczył?

Narodowcy pozostaną narodowcami, wolnościowcy – wolnościowcami. A Konfederacja będzie miała uzgodniony wspólnie program, pozostając szeroką formacją o wielu skrzydłach.

Biorąc pod uwagę krótkość i ambicje niektórych działaczy, trudno wierzyć w bezkonfliktowe funkcjonowanie formacji tak zróżnicowanej...

Wszelkie konfliktowe sprawy będziemy załatwiać, pracując przy konkretnych projektach. A to dopiero przed nami.

„Miej w opiece naród cały” – pod takim hasłem wystartuje tegoroczny Marsz Niepodległości. Kontrowersje wywołało logo wydarzenia – różaniec w zaciśniętej pięści. Wydaje się jednak, że maszerujący nie mają za bardzo przeciwko komu walczyć. Odkąd rządzi PiS, nie ma policyjnych prowokacji, marsz powoli traci swój pierwotny, antysystemowy charakter. Nie obawia się pan, że wraz z tym marsz – a zarazem odrodzony na jego fali ruch narodowy – straci swoją atrakcyjność?

Nie zauważyłem spadku frekwencji, wręcz przeciwnie.

Politycznie nie udało się wam tej imprezy zdyskontować. Największa demonstracja uliczna w Polsce nie zrodziła wielkiej, liczącej się na polskiej scenie partii. Narodowcy wciąż muszą sprzymierzać a to z Kukizem, a to z Kaczyńskim, a to nawet z Korwin-Mikkem, żeby dostać się do parlamentu.

Od zawsze było jasne, że organizatorami marszu są środowiska narodowe, ale że jednocześnie wydarzenie to jest otwarte dla każdego Polaka, który podpisuje się pod hasłem suwerennego państwa i narodu. Marsz nie był narzędziem do stworzenia nowej siły politycznej. Chodziło o manifestację patriotyzmu i podkreślenie roli idei narodowej. To się udało. Marsz na stałe wpisał się w kalendarz polskich obchodów świąt narodowych.

Jeszcze kilkanaście lat temu mało kto wierzył, że nad Wisłą można zrobić dobre chardonnay. Dzisiaj nie ma co do tego wątpliwości, a polskich winiarzy stawiających na jakość wciąż przybywa

Rynek wina w Polsce rośnie nieprzerwanie od 10 lat – średnio w tempie 7 proc. rocznie. Wraz z nim przybywa polskich winiarzy – w 2019 zarejestrowanych było tu 230 producentów win i ponad 400 winnic, a ich łączna powierzchnia upraw przekroczyła 400 ha. Niestety polskie zbiory winogron pozwalają wyprodukować jedynie ok. 700 tys. butelek polskich win. To dużo mniej, niż chcieliby kupić polscy konsumenci, którzy z każdym rokiem stają się coraz większymi entuzjastami polskich winnic i lokalnych win. Dlatego Grupa AMBRA, właściciel największej w Polsce sieci sklepów winiarskich i producent Cydru Lubelskiego, zdecydowała się wesprzeć polskich winiarzy i sadoowników, tworząc fundację Winiarnie Zamojskie. Ma ona m.in. wykorzystać potencjał nie tylko polskich winogron, lecz także innych szlachetnych owoców, takich jak gruszka, porzeczka czy wiśnia.

– Misją fundacji jest praca na rzecz strategii rozwoju polskiego winiarstwa. Chcemy zabiegać o stworzenie definicji wina owocowego na wzór wina gronowego. Chcemy także wspierać powstawanie tradycyjnych winnic na Zamojszczyźnie – mówi Robert Ogór, prezes Grupy AMBRA.

ROZTOCZE POLSKĄ TOSKANIĄ

Dlaczego właśnie Roztocze? Przemawia za tym ciepły



Szlachetny smak Roztocza

klimat, znaczące różnice temperatur między dniem a nocą, łagodne wzgórza oraz lessowe gleby, które tworzą doskonałe warunki do uprawy winorośli i innych owoców. Na Roztoczu już od średniowiecza zakładano winnice i rozwijano winiarstwo. Współczesny Roztoczański Szlak Winnic zrzesza kilkanaście winnic na trasie 200 km.

– Roztocze to również region słynący z najlepszych owoców: gruszek, wiśni, malin, porzeczek. Mają one te same właściwości co winogrona: intensywną barwę, bogaty aromat, zbalansowany świeży smak, wyczuwalne nuty pestek, kwasowość i delikatną naturalną słodycz. Efektem są szlachetne odmiany polskich win, bogate w owocowe aro-

maty i zaskakujące świeżością – mówi Artur Dubaj, główny technolog Ambry.

W ramach fundacji działają już dwie roztoczańskie winnice: Dwór Sanna oraz Winnica Zamojska. Obie winnice charakteryzuje limitowana, butikowa produkcja, ręczny zbiór winogron i pasja winiarzy, którzy osobiście angażują się w powstawanie każdej butelki wina.

AMBITNE CELE FUNDACJI

Fundacja Winiarnie Zamojskie stawia przed sobą trzy główne cele. Pierwszy to ochrona i stworzenie warunków do rozwoju polskiego winiarstwa. Konieczne przy tym będzie wprowadzenie definicji win owocowych opartych na świeżym surowcu, zakazie użycia dodatków i koncentratów. Przepisy te stworzyłyby podstawę do budowania świadomości i wizerunku takich produktów. Drugim celem fundacji są ułatwienia dla inwestycji w produkcję win gronowych i owocowych. Bo, jak przekonują przedstawiciele fundacji, wsparcie sektora win owocowych rozwinęłoby znaczącą gałąź przemysłu przetwórczego.

– Chcemy pokazać sadoownikom, że można i że warto. Jednak jest nam bardzo trudno obiecywać, że warto, jeśli warunki prawne i warunki porządku rynkowego są takie, że winiarze muszą konkurować i zderzać się na rynku z produktami tanimi i niskiej jakości – tłumaczy Robert Ogór.

Trzeci cel fundacji to promocja polskich win z owoców i win gronowych, dzięki której na rynku pojawi się szeroka gama lokalnych produktów winiarskich, porównywalna do dzisiejszej oferty piw rzemieślniczych.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nie w piątek, lecz codziennie

Mieszkam chyba w najbardziej multi-kulturowym zakątku Polski. Warszawską Wolę upodobał sobie Hindusi i Nepalczycy, których jest tu naprawdę wielu. W efekcie mamy tu mnóstwo nepalskich i hinduskich knajp, co jedna to lepsza. Mamy też sporo egzotycznych zakładów fryzjerskich, z których akurat wielkiego pożytku nie ma, no chyba że ktoś chce się zrobić na gwiazdora Bollywoodu.

Ciekawy przekrój etniczny ma też klasa mojego syna. Mamy tam bliźniaki polsko-meksykańskie, ale o wyglądzie zdecydowanie latynoskim. Mamy dwóch Ukraińców. Mamy – oczywiście – Wietnamkę. Mamy mużulmankę z mocno religijnej rodziny, bo nie może siadać w ławce z chłopcami ani jeść na szkolnej stołówce, bo – cóż – nie ma tam jedzenia halal. Mamy w końcu Japończyka, który w ogóle nie jest Japończykiem, tylko Bułgarem, który spędził dzieciństwo w Tokio.

Bardzo to będzie dziwne, jeśli tym dzieciom urządzi się tęczyowy piątek i będzie się ich nauczać, że złem jest dyskryminowanie ludzi ze względu na ich orientację seksualną.

Dziwne przede wszystkim dlatego, że dzieciaki mają po 10 lat i kwestie seksualne bardzo umiarkowanie ich interesują. To może dziwić WHO, ale one naprawdę wolą jeszcze uganiać się za piłką albo wgapiać się w smartfona niż poznawać tajniki masturbacji. Co tu dużo gadać – seks jeszcze je nudzi. Co nie znaczy,

że kwestie dyskryminacji są tej młodzieży obce. A skąd. Meksykańskie bliźniaki – prześliczne dzieci, a przy okazji niebawale uzdolnione artystycznie – w poprzedniej szkole były obiektami szyderstw. Dlatego przeniosły się do naszej. Tutaj również na początku usłyszały parszywy tekst dotyczący koloru skóry, ale zdecydowana akcja wychowawczyń zakończyła sprawę. Mam nadzieję, że na dobre.

Wykluczenia i dyskryminacje zdarzają się u dzieci jednak ze znacznie mniej powabnych powodów niż kolor skóry czy narodowość. Umówmy się, że odmienność rasowa nawet na warszawskiej Woli nie jest szczególnie częsta, ale już aparat na zębach, okulary, otyłość czy – i to chyba najczęstszy problem – smartfon z kiepskim logo czy mało markowe ciuchy trafiają się zdecydowanie częściej. I jeśli miałbym walczyć z dyskryminacją, to zacząłbym od tych kwestii.

Jeśli nauczymy, a przynajmniej spróbujemy nauczyć dzieciaki, żeby nie czuły się lepsze od innych, bo mają ładne zęby, bogatych rodziców czy droższe ubrania, to zapewne nie będą czuły pogardy także w innych sytuacjach. Takich, które w obecnej sytuacji są dla nich abstrakcyjne, ale w przyszłości abstrakcyjne być nie muszą. Nie uczymy ich szacunku dla geja czy lesbijki, tylko po prostu dla drugiego człowieka. I nie róbmy tego od święta, tylko codziennie. Każdy, kto miał cokolwiek wspólnego z wychowaniem, wie, że to nie happening, lecz ciężka codzienna orka. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Banan a sprawa polska

Za moich czasów w szkole nie tylko ostrzegano przed chorobami wenerycznymi, lecz także sporo mówiono o odpowiedzialności w kontaktach z płcią przeciwną, o konieczności łączenia seksu z miłością. O wadze uczucia. Nawet w komunizmie nie próbowano uczyć nas o dowolnym wyborze płci czy pozycji, o wynaturzonych modelach rodzin i sprowadzeniu wszystkich problemów świata do radosnego orgazmu.

Byliśmy purytańscy, niedojrzali i ciekawi. Nagą kobietę można było zobaczyć, podglądając ciotkę w kąpieli lub wertując atlas anatomiczny

Byliśmy purytańscy, niedojrzali i ciekawi. Nagą kobietę można było zobaczyć, podglądając ciotkę w kąpieli lub wertując atlas anatomiczny, ale z drugiej strony te wszystkie tabu, zakazy, odkrycia na własną rękę i przełamywania lęków dawały satysfakcję, jakiej nie ma dzisiejszy dzieciak, który w wieku lat ośmiu lepiej posługuje się Internetem od własnego ojca, a od zdania „Ala ma kota” szybciej przyswoi obrazek „Pan ma pana”. Edukacja naturalnie powinna za tym nadążać,

choć niestety coraz częściej ważniejsze staje się dla młodzieży pytanie nie, jak to robić, ale – czy to robić.

Nierządka jest opinia, że zbyt wczesna inicjacja (nawet rówieśnicza) zabija ciekawość świata, pęd ku samodoskonaleniu, pracy nad ciałem i umysłem. Wszystko stało się przystępne, tanie i przyjemne, zwłaszcza jeśli nie jesteś ociążalym grubasem i przyszczałą brzydulą. To jednak za mało. Rewolucja seksualna musi trwać i krajom w niej zapóźnionym winien pomagać (jeśli trzeba, to w drodze przymusu) Parlament Europejski. Tym razem wzięła na tapetę polską szkołę. I oczywiście raczej nie ekscytował się problemem lekcji rysunku lub śpiewu.

To, że pan Biedroń i jego eurogeje wytaczą ciężkie armaty w sprawie seksedukacji, dowodzi, że jest to wielka gra. O wyłom, o szerokie wyważanie drzwi dla kulturowej inwazji dzieci, dla demoralizacji i szerzenia dewiacji. Ostatecznym celem jest złamanie zasad, na których opiera się nasza cywilizacja, zniszczenie autorytetów i dopuszczalność wszystkiego w myśl hasła „Róbta, co chceta”. Jeśli przed laty moje dzieci lekko zaszokowane opowiadały mi o lekcjach, na których uczono je nakładania przerwywatywy na banana, to być może wnuki będą musiały na maturze zdawać egzamin praktyczny z seksu w dowolnie wybranej kategorii. ©

Natura nie przyznała winogronom wyłączności na szlachetne wino. Jest wiele owoców, które się do tego świetnie nadają – mówi Robert Ogór, prezes Ambry. Rozmawiała Magdalena Gryn

Czy Polacy lubią polskie wina?

Lubią, tak jak lubią i cenią polskie produkty. Czas jednak odejść od hasła „dobre, bo polskie”, ponieważ nie koncentruje się ono na jakości. Trzeba zastąpić je innym: „pokażemy, że polskie najlepsze” – to wyraża aspiracje i mobilizuje do rozwoju. Polskie wina są przykładem dążenia do produktu szlachetnego, naturalnego i wysokiej jakości.

Jednak polskie wina przez lata nie kojarzyły się dobrze.

Ponieważ w PRL nie było prawdziwego winiarstwa, ale jedynie sektor wielkoprzemysłowej produkcji taniego produktu niskiej jakości, opartej na przerobieniu koncentratów i różnego rodzaju dodatkach. Prawdziwe wino nie jest produktem jakiegos biznesplanu. Powstanie winiarstwa w regionie wymaga dziesiątek lat organicznego rozwoju, doświadczeń z uprawą, a następnie z wyprodukowaniem wina z własnych owoców. Rozwój polskich winnic to dopiero ostatnie 30 lat. Dziś średnia powierzchnia winnicy wynosi zaledwie trzy hektary, na których uprawia się 5-6 odmian winorośli. Wytwarzamy w Polsce nieco ponad milion litrów wina gronowego. Jesteśmy w momencie powiększania upraw i stopniowego zwiększania podaży, ponieważ dzisiaj wino z polskich winnic sprzedaje się na pniu. Mimo wysokich cen, bo trudno znaleźć wino poniżej 50 zł za butelkę.



Robert Ogór, Prezes AMBRA S.A.

Grand cru z owoców

Które regiony w Polsce mają najlepsze warunki do uprawy winorośli?

Zmiany klimatyczne powodują, że granica korzystnych warunków do uprawy winorośli przesuwa się na północ. Za takie tereny uznajemy okolice Zielonej Góry, a także obszary wokół dolnej Wisły aż

do Kazimierza Dolnego, Podkarpacie i wreszcie Roztocze, gdzie są doskonałe warunki glebowe. Bo często im gorsza ziemia dla rolnictwa, tym lepsza dla winorośli. A takich gruntów Roztocze ma sporo. Dodatkowo jest tam najwięcej godzin słonecznych w roku.

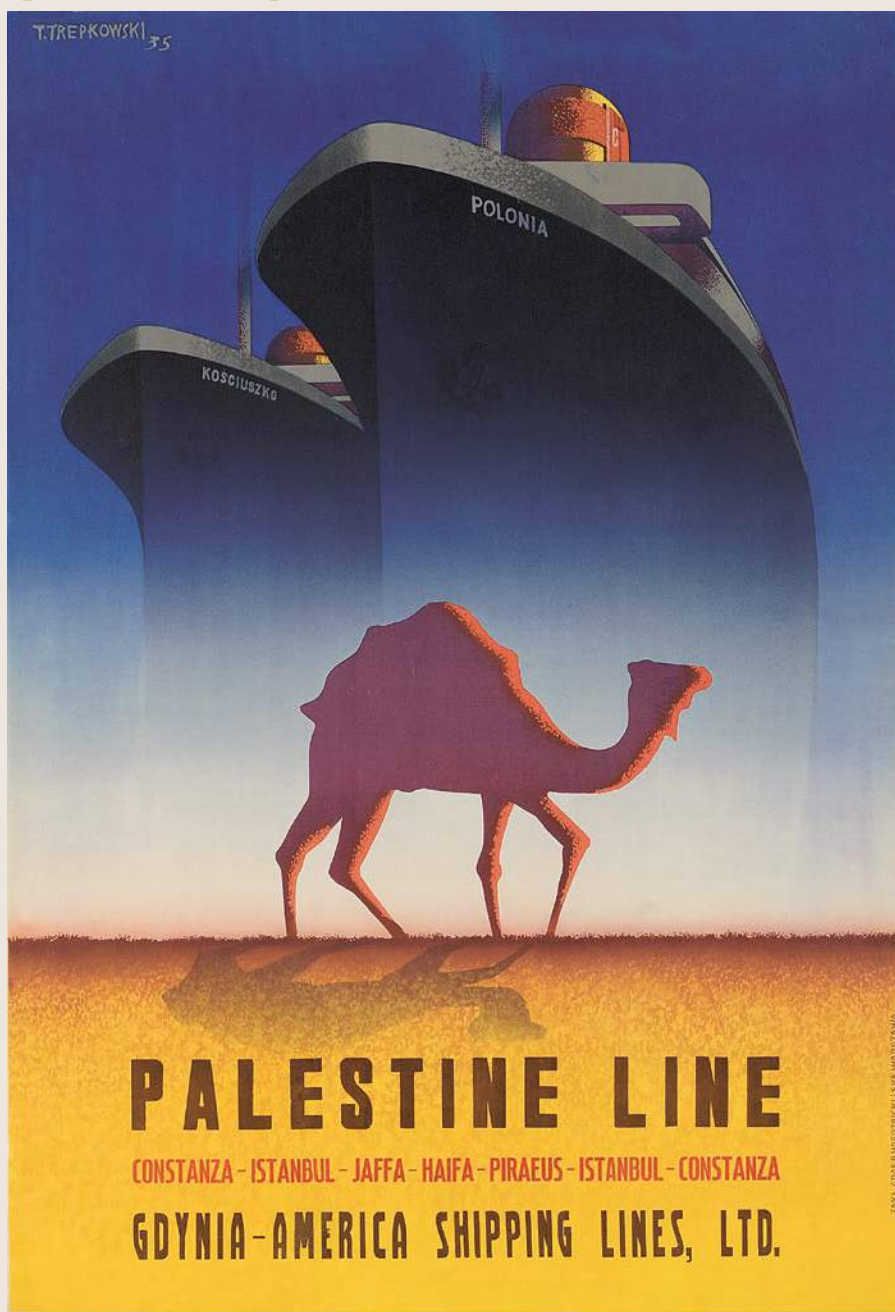
Dlatego właśnie tam założyliśmy winnice i Fundację Winiarnie Zamojskie.

Czy fundacja będzie zachęcała sadowników do uprawy winorośli?

Natura nie przyznała winogronom wyłączności na szlachetne wino. Jest wiele owoców, które się do tego świetnie nadają – porzeczki, wiśnie, gruszki, jabłka itp. Dlatego na Zamojszczyźnie rozpoczęliśmy studia nad szlachetnym winem z owoców. To główna misja fundacji. W przechodzeniu na winiarstwo upatrujemy dużą szansę rozwoju dla rolników, w szczególności sadowników.

Widzimy, jak wspaniałe efekty osiąga winiarstwo w Europie we wspieraniu i kreowaniu zrównoważonego rozwoju regionalnego. W efekcie regiony winiarskie, jak Burgundia, Toskania, Piemont, nie tylko nie są biedniejsze od wielkomiejskich, ale często bogatsze. Potrzebna jest jednak do tego definicja wina owocowego, dzięki której produkcja zostanie ograniczona do fermentacji świeżych owoców i soków świeżo wyciśniętych, a wszelkie dodatki – zakazane. Sadownik, który miałby przejść na winiarstwo, potrzebuje, tak jak winiarz we Francji, takiej definicji, aby skutecznie konkurować dobrym, nietanym produktem, a nie przegrać z wielkoprzemysłową produkcją z koncentratów i aromatów.

Fundacja ma także wspierać tworzenie polskiego rynku produktów szlachetnych, regionalnych. Obecnie stanowi on 8 proc. unijnego rynku żywności, prym wiodą w nim kraje: Francja, Włochy i Hiszpania. Polska w tym rynku nie uczestniczy. Chcemy to zmienić. Nie chodzi więc o samą produkcję wina, ale o wprowadzenie strategii dla rozwoju marek i sektora żywnościowego premium.



Piotr Semka

Gdynia i Tel Awiw – dwa ośrodki, których boom przypadł na lata międzywojnia. Ich losy opowiada wystawa w Muzeum Polin

O ba miasta były symbolem dumy i nadziei dwóch narodów, które budowały wtedy swoją niepodległość. Temat ich podobnych losów leżał na ulicy. Schyliły się po niego Muzeum Żydów Polskich Polin w Warszawie i Muzeum Miasta Gdyni. Tak powstała interesująca wystawa, która zderzyła politykę, propagandę, sztukę i architekturę obu nadmorskich metropolii.

Naszą legendę „Miasta z Morza” znamy bardzo dobrze. O wiele ciekawsze jest poznanie mitu Tel Awiwu, zbudowanego dosłownie na piaszczystej wydmy.

NA POCZĄTKU BYŁ PIASEK

Niewielka puszcza kwestarska pomalowana jest na biało i niebiesko – to barwy Izraela. Z takimi puszkami zbierali datki w żydowskich dzielnicach Warszawy aktywiści Keren Kajemet Lelsrael – Żydowskiego Funduszu Narodowego, który powstał w 1901 r. na V Kongresie syjonistycznym w Bazylei. W Polsce fundusz działał od 1919 r. Na pudełku z mapą Palestyny zaznaczone są drobne czarne punkciki – to osiedla syjonistów zbudowane na ziemi kupowanej od Arabów.

To właśnie ta organizacja finansowo wsparła ideę budowy nowego czysto żydowskiego miasta na wydmach na północ od Jaffy. Osiedleni tu Żydzi chcieli osobnego miasta zbudowanego według europejskich norm zamiast życia obok Arabów w Jaffie, zbudowanej na wzór miast arabskich.

11 kwietnia 1909 r. na plaży doszło do słynnego potem losowania działek pod domostwa pierwszych 66 rodzin. Nowemu osiedlu nadano nazwę Tel Awiw, czyli Wzgórze Wiosny. Tak po hebrajsku nazywała się utopijna powieść Theodora Herzla (1860–1904) – promotora syjonistycznej idei odbudowy państwa żydowskiego na terenach Palestyny.

Po latach to budowanie na piasku uzyskało w micie założycielskim izraelskich

Miasto z morza, miasto z piasku

pionierów symboliczną rangę. „Dla syjonistów piasek symbolizował pustynię, dzicz – którą oni, wznosząc miasto – cywilizowali” – pisze autor wystawy Artur Tanikowski.

Nie minęła dekada, gdy Tel Awiw doczekał się uśmiechu losu. Wskutek rozstrzygnięć I wojny światowej tureckie zwierzchnictwo imperium osmańskiego na tych ziemiach zastąpiła władza Wielkiej Brytanii. Londyn otrzymał Palestynę pod swe panowanie jako terytorium mandatowe Ligi Narodów. Silne nad Tamizą lobby żydowskie uzyskało w 1917 r. w ramach deklaracji lorda Balfoura obietnicę stworzenia „narodowej siedziby Żydów” na Bliskim Wschodzie.

W 1921 r. po zamieszkach arabsko-żydowskich Brytyjczycy oddzielają Jaffę od Tel Awiwu. Powstaje pierwsze czysto hebrajskie miasto na terytoriach palestyńskich. Przybywają kolejne fale żydowskich osadników z Europy i Ameryki. W 1922 r. Tel Awiw liczył 15 tys. ludzi. Do 1939 r. miasto wykona ogromny skok rozwojowy, osiągając liczbę 130 tys. mieszkańców. I szybko stanie się miastem nowoczesnej, modernistycznej architektury. To efekt antysemitycznego zwrotu w Niemczech na przełomie lat 20. i 30. Do Tel Awiwu przybywa spora grupa młodych architektów, uczniów słynnego Bauhausu i innych uczelni Republiki Weimarskiej. Ze swymi nowoczesnymi projektami trafiają w gusta syjonistycznych władarzy nowego miasta. Tel Awiw ma być wzorem architektury prospołecznej, zapewniającej ludziom zielen, godziwą przestrzeń i zdrowe warunki życia.

Tutaj na palestyńskich piaskach Żydzi mają pokazać światu, jak budują swoje życie na nowo. Bez wilgotnych suteryn,

bez zatłoczenia i ciągłej zmory brudu, wszy i gruzlicy.

Chaim Weizmann, jeden z przywódców syjonistów, powtarzał: „Nie przybyliśmy tutaj, aby powielić życie Warszawy, Pińska, Londynu i tym podobnych”.

FAŁA ZNAD WISŁY I PRYPECI

Warszawa i Pińsk nie zostały przytoczone bez powodu. Żadne miasto nie istnieje bez ludzi. A ludzi tych przybywało szczególnie sporo z Polski. Wykorzystując koniunkturę, armator GAL, czyli Gdynia – Ameryka Linie Żeglugowe, uruchomił w 1935 r. linię lewantyńską. Dwa polskie statki pasażerskie „Polonia” i „Kościeszko” kursowały między rumuńską Konstancą, Stambułem, Pireusem, Hajfą i Jaffą. Przewoziły tysiące żydowskich emigrantów do Palestyny – do Konstancy pasażerów przywoził specjalny pociąg PKP. Na wystawie oglądałem ze wzruszeniem ocalałe cudem elementy zastawy stołowej z godłem GAL: platerowany dzbanek do kawy z wytwórni Józefa Frageta w Warszawie oraz talerz i sosjerkę z Ćmielowa. Tuż obok symboliczny plakat – wielbłąd na pustyni i jako fatamorgany – zarys dwóch polskich transatlantyków.

Przybysze z Polski nie mieli łatwo w swej nowej ojczyźnie. Wyższe szczeble drabiny społecznej zajmowali już syjoniści z dawnej Rosji albo zamożni „Yekkes” – Żydzi z Niemiec.

Kpiarski obserwator rozwoju Tel Awiwu, Szalom Asz, rodem z Kutna, pisał w 1936 r.: „Niemieccy olim przywieźli porządek i wygody, pieski salonowe, miłe dla oka witryny sklepowe, cylindry, biblioteki z wypożyczalnią, dobrych lekarzy, światowej sławy profesorów, zatrzesienie

klubów i imprez kawiarnianych z wszystkimi świętami, ze śmietaną i z szarlotką. [...] Żydzi polscy nie przywieźli nic poza sobą. To znaczy bogacze przywieźli pieniądze, a biedacy – ręce do pracy i gęby do nakarmienia. Bez nich mielibyśmy w Palestynie li tylko rewolucyjny idealizm rosyjski, najnowsze mody na niemieckie stroje plażowe i pieski salonowe – wszystko, tylko nie naród”.

Liderzy syjonistycznego ruchu robotniczego toczyli wtedy spór z burmistrzem Tel Awiwu, Meirem Dizengoffem, który popierał drobny handel. „Miasto wygląda jak nowe wydanie Mołdowianki w Odesie (dzielnicy ortodoksów) albo Nalewek w Warszawie – nic tylko płacze i krzyki” – narzekał w listopadzie 1935 r. komentator dziennika „Ha-Arec”.

EPOKA ENTUZJAZMU I WSPÓLNOTY

Gdynia i Tel Awiw, jak pokazuje wystawa, miały podobną propagandę. Oba miastom zależało na publicity, aby ściągać do siebie młodych i zdolnych. Za reklamowaniem Gdyni stały władze odrodzonej RP. Za propagandę Tel Awiwu jako azylu dla prześladowanych gdzie indziej Żydów odpowiedzialne były prężne organizacje syjonistyczne.

A ich bronią były plakaty. Ostre, krzykliwe, barwne i epatujące optymizmem. Na polskich plakatach Gdynia to morskie wrota Rzeczypospolitej. „Polska zaczyna się w Gdyni” – taki tytuł nosi broszura Michała Rusinka z 1938 r.

Na żydowskich plakatach Tel Awiw to wrota do odzyskiwanej Palestyny, witające pionierów i budowniczych nowego żydowskiego życia. To obietnica szczęścia i dobrobytu na własnej, a nie obcej



Z lewej: ul. Dizengoffa w Tel Awiwie w latach 30. Z prawej: budynki Banku Gospodarstwa Krajowego i urzędu pocztowego w Gdyni, 1930 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



■ ziemi. Autorzy wystawy zderzają dwa materiały z ówczesnej prasy. Pierwszy to fotoreportaż „Miasto młodości” z tygodnika „Jidisze Bilder” z 1938 r. Zdjęcia w odpowiednio optymistycznym nastroju opowiadają o mieście, w którym spotyka się same młode matki i ich dzieci na tle modernistycznych domów. Tuż obok reportaż Jerzego Wyszomirskiego „Młodość Gdyni” z 1937 r. w „Wiadomościach Literackich”. Wyszomirski pisał z typowym dla tamtych czasów zapałem: „W całym – dziś pewnie już statystycznym mieście – zauważyłem tylko dwa zakłady pogrzebowe, przeżywające kryzys. [...] w Gdyni osiedlają się ludzie młodzi, do których nie przemawiają jeszcze zagadnienia religii i śmierci. Ci ludzie przywożą z sobą dzieci. Wózki dziecięce toczą się ulicami bez końca”.

Młodość i pionierski zapał zbiegły się w syjonistycznych kursach przysposobienia do pracy w Palestynie. Jeden z takich kursów odbywał się w 1937 r. w Gdyni i uczył żeglarstwa oraz rybołówstwa. Część jego uczestników stworzy potem Izraelską Szkołę Morską w Akrze koło Hajfy.

W CINI RYWALI

Tel Awiw i Gdynię łączyło jeszcze jedno. Oba miasta żyły w cieniu miast symboli złowrogiej siły ich przeciwników. Gdynia powstała jako odpowiedź na antypolskie nastawienie większości mieszkańców Gdańska. Panaceum miał być dynamizm „Miasta z morza”. Jak żartowano wówczas – „Wolne Miasto Gdańsk wyprzedzimy Szybkim Miastem Gdynia”. Aby dać po nosie gdańskim szowinistom, w ekspresowym tempie wybudowano port gdyński, który szybko zdystansował port nad Motławą.

Żydzi w Tel Awiwie mieli innego wroga – zdominowany przez Arabów port w Jaffie. Gdy w 1936 r. doszło tam do kolejnych antyżydowskich zamieszek, podjęto decyzję o budowie własnego portu telawiwskiego. Jest symboliczne, że pierwszym statkiem, który zacumował w nowym porcie, była w 1938 r. nasza pocziwa „Polonia”.

Oba miasta szybko wytworzyły własne święta. W Gdyni były to czerwcowe Święto Morza z paradami okrętów, pokazami lotniczymi i wreszcie uroczystym pochodem. Jak pokazuje jedno ze zdjęć, uczestniczyli w nich także członkowie gminy żydowskiej w Gdyni. Przyjeżdżały też jednak wycieczki z głębi kraju. „Wara Niemcy! Milion Polaków bronić będzie Morza” – głosił



Plakat syjonistycznego filmu „Ku nowemu życiu. Ziemia obiecana”, 1935 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

transparent przybyszy z Kresów. Tuż obok na wystawie plakat Żydowskiego Klubu Myśli Państwowej w Pińsku z 1934 r., wzywający żydowskich współobywateli po polsku i w jidysz do udziału w pińskich obchodach Święta Morza.

Tel Awiw żył z kolei co roku paradami Adlojada z okazji święta Purim. Był to żydowski odpowiednik pochodów karnawałowych z aktualnymi komentarzami politycznymi. Sądząc ze zdjęć, nie wspomniano tam Polski ciepło. Na paradzie z 1935 r. widać urzędnika w rogatywce, który grzebie w workach z pieniędzmi, co ma stanowić krytykę interwencjonizmu II RP, który uważano tu za szkodliwy dla żydowskiego handlu. Tuż obok parodystyczna makietka hitlerowskiego czołgu z dużą swastyką i kukłą SA-mana. Jednocześnie jednak Polskę obdarzano na tyle mocnym sentymentem, że w 1936 r. zapraszano do Tel Awiwu na koncerty Jana Kiepury, a w czasie wojny Hankę Ordonównę. Rolę nieoficjalnych ambasad Polski odgrywały duże biuro Orbisu i placówka PKO. Częstym gościem był konsul RP z Jerozolimy, Zdzisław Kurnikowski, który pełnił funkcję gospodarza polskiego pawilonu na Targach Lewantyńskich, które odbywały się w Tel Awiwie w latach 30.

BIAŁE MIASTA

Osobnym tematem wystawy jest modernistyczna architektura obu miast. Nieprzypadkowo nazywano je białymi miastami. W Gdyni tynkowano na jasno budynki w stylu „dworkowym”,

a potem dzieła dojrzalego modernizmu. Już wizualnie miały być przeciwstawieniem pruskich neogotyckich gmachów publicznych z czerwonej cegły. W Tel Awiwie wybierano styl modernizmu dla odróżnienia się od starych arabskich uliczek Jaffy.

W latach 30. w Tel Awiwie aż 117 aktywnych tu architektów pochodziło z Polski i Litwy, a ośmiu miało dyplom Politechniki Warszawskiej. W Gdyni modernistyczne gmachy obok polskich kolegów projektowali architekci o żydowskich korzeniach, tacy jak Władysław Grodzieński (projekt willi Juliusza Arbla), Edward Fuhrschmied (kamienica Reicha i Birnbauma) i Elżbieta Unger, której dziełem są budynki i magazyny na terenie portu gdyńskiego.

W 1938 r. doszło do symbolicznego spotkania się projektantów dwóch miast. Gdynię odwiedził burmistrz Tel Awiwu Israel Rokach, by obejrzeć, jak polscy inżynierowie zaprojektowali gdyński port. Oprowadzał go Leon Allewi, jeden z pierwszych architektów żydowskiego pochodzenia działający w Gdyni.

Wystawa kończy się na 1939 r. Ta data to koniec romantycznej epoki w dziejach obu miast. W Polsce skutek agresji Niemiec Gdynię zajmuje Wehrmacht i nadaje miastu nazwę Gotenhafen. Polacy muszą opuścić miasto, które sami zbudowali. W Tel Awiwie wojna zatrzymuje wzrost gospodarczy i staje się kresem modernistycznego planowania. Na zdjęciu Rudiego Weissensteina widać tłum mieszkańców miasta słuchających przed sklepem radiowym Philipsa wieści o agresji na Polskę. Można domyśleć się, co czuli – tysiące zostawiło kogoś w Polsce.

Po wojnie miasto już jako pierwsza stolica Izraela zaczęło się rozwijać na dziko w rytm przypadkowego gustu deweloperów nastawionych na szybki zysk. Także Gdynia po wojnie porzuciła modernizm, przyćmiewana przez polski już Gdańsk. Tel Awiw utracił z kolei status stolicy Izraela na rzecz Jerozolimy.

I być może z powodu tej degradacji oba miasta zaczęły snuć swoją legendę o pięknych latach 30. Izraelska „brama do Eretz Yisrael” i polskie „Miasto z morza” tęsknie wspominają swoje pionierskie czasy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Gdynia – Tel Awiw” – wystawę obejrzeć można do 2 lutego 2020 r. w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie, a potem od 6 marca 2020 r. w Muzeum Miasta Gdyni.

ALERT UDAROWY

UDAR MÓZGU



CO **6,5** MIN. KTOŚ W POLSCE
DOZNAJE UDARU MÓZGU,
TO **OK. 80 TYS. OSÓB ROCZNIE**

JEST **3. NAJCZĘSTSZĄ PRZYCYNĄ ŚMIERCI**
I GŁÓWNYM POWODEM NIESPRAWNOŚCI
U OSÓB POWYŻEJ 40. ROKU ŻYCIA

30% OSÓB UMIERA W WYNIKU
UDARU MÓZGU W CIĄGU PIERWSZEGO
MIESIĄCA OD ZACHOROWANIA

ŻEBY URATOWAĆ ŻYCIE POWINIENEŚ:

- 1 ZNAĆ OBJAWY CHOROBY
- 2 WIEDZIEĆ JAK REAGOWAĆ

NAJCZĘSTSZE OBJAWY UDARU MÓZGU:



JEŚLI ZAOBSERWUJESZ TE OBJAWY, NIEZWŁOCZNIE
WEZWIJ POGOTOWIE

TEL. 999 LUB 112

SZYBKA REAKCJA MOŻE URATOWAĆ ŻYCIE.

UDARY MOŻNA LECZYĆ!
ROZPOZNAJ!

REAGUJ!

**UDAR MÓZGU
MOŻE DOTKNAĆ KAŻDEGO,
W KAŻDYM WIEKU
I W KAŻDYM MIEJSCU**

ŻEBY ZMNIEJSZYĆ RYZYKO WYSTĄPIENIA CHOROBY POWINIENEŚ:

- 1 ZNAĆ CZYNNIKI RYZYKA CHOROBY
- 2 PRZESTRZEGAĆ ZASAD ZDROWEGO STYLU ŻYCIA

CZYNNIKI RYZYKA MÓZGU:

CZYNNIKI, NA KTÓRE MAMY WPŁYW

- choroby serca (np. migotanie przedsionków)
- nadciśnienie tętnicze
- wysoki poziom cholesterolu
- cukrzyca
- palenie tytoniu
- nadużywanie alkoholu
- stres

CZYNNIKI, NA KTÓRE NIE MAMY WPŁYWU

- wiek (ryzyko wystąpienia udaru mózgu wzrasta powyżej 55. roku życia, ale zdarza się również, że młode osoby doznają udaru)
- płeć (do udaru częściej dochodzi u mężczyzn)
- czynniki genetyczne

ABY OGRANICZYĆ RYZYKO UDARU:



STOSUJ DIETĘ ZDROWĄ DLA SERCA: OGRANICZAJ SPOŻYCIE TŁUSZCZÓW NASYCONYCH, TŁUSZCZÓW TRANS, CHOLESTEROLU I SOLI. CODZIENNIE JEDZ WARZYWA, OWOCE, PRODUKTY PEŁNOZIARNISTE. UTRZYMUJ PRAWIDŁOWĄ MASĘ CIAŁA



BĄDŹ AKTYWNY FIZYCZNIE – SPACERUJ, PRACUJ W OGRODZIE, ITP.



ĆWICZ REGULARNIE



OGRANICZAJ SPOŻYCIE ALKOHOLU



RZUĆ PALENIE



REGULARNIE KONTROLUJ CIŚNIENIE KRWI



PRZESTRZEGAJ ZALECEŃ LEKARZA – NIE REZYGNUJ NA WŁASNĄ RĘKĘ Z LECZENIA I NIE MODYFIKUJ GO SAMODZIELNIE

TOMASZ Z. ZAPERT: Dlaczego faraona Amenhotepa wymazano z historii?

ANDRZEJ FLONT: Ponieważ postępowanie tego władcy całkowicie różniło się od rządów zarówno jego poprzedników, jak i następców. Głoszone przez niego poglądy odnośnie do religii były dla Egipcjan czymś zupełnie odmiennym i niezrozumiałym, gdyż jako pierwszy w historii skłaniał się ku monoteizmowi. Ponadto hołdował pacyfizmowi, co też nie przysporzyło mu popularności i chwały. Wyróżniał się osobliwym wyglądem. Karykaturalne rysy twarzy i wydłużone kończyny tworzyły z niego idealne wyobrażenie dla wyznawców teorii o starożytnych kosmitach rzekomo wizytujących Ziemię przed naszą erą. Faraon ten szedł pod prąd. Znaczące reformy, niepodporządkowywanie się dotychczasowym ideom, były wystarczającym powodem, by historia chciała go pominąć. Ludzie nie lubią nagłych i radykalnych zmian, a to, co zaproponował, było zbyt gwałtowne i ekstrawaganckie jak na tamte czasy.

Eldorado to nie tylko legenda?

Kraina mlekiem i miodem płynąca, gdzie zwykłe chodniki były wyłożone złotymi kostkami, gdzieś w środku południowoamerykańskiej dżungli? Brzmi to nazbyt bajkowo. Jednak czy należy potraktować ten obraz z przymrużeniem oka? Liczne europejskie ekspedycje ryzykowały życie, by ujrzeć na własne oczy mityczne Eldorado. Życie Percivala Harrisona Fawcetta obracało się tylko wokół tej sprawy. Poświęcił jej swój czas, pieniądze i najbliższe mu osoby. Przekazy historyczne, które zdobył na ten temat, ewidentnie się zaszębiały i tworzyły dosyć dokładny zarówno opis dojścia, jak i wygląd samego miejsca. Bardzo to przypomina historię z bursztynową komnatą, poszukiwaną od zakończenia II wojny światowej.

Czemu symbolem Hameln jest szczurołap?

Bo to małe niemieckie miasteczko jest znane ze swojej pięknej, ale także tragicznej legendy. Dla lubiących dochodzić do prawdy historycznej stała się ona zarzewiem własnych śledztw. Analizując kroniki Hameln, widzimy, jak ów mit nabiera zupełnie nowego oblicza i jak świetnie użyto tu zamienników, by dramatyczne fakty były przekazane w subtelniejszy sposób. Czy szczurołap faktycznie wybawił miasto od uciąż-

liwych gryzoni, a następnie dokonał rzezi na tamtejszych dzieciach? Zderzenie ludowych podań z wiedzą zadziwia i daje nieco inne wyobrażenie tego, jak należy podchodzić do lokalnych podań.

Leonardo da Vinci miał konkurenta?

Jest postrzegany za jeden z najbardziej oświeconych umysłów wszech czasów – zadziwić może zatem fakt, że był ktoś równie uzdolniony jak on. Raimondo di Sangro, bo o nim mowa, miał równie zadziwiające, wyprzedzające swoją epokę pomysły. Dlaczego więc tak mało o nim wiemy? Jak mocny musiał być powód przemilczenia dokonań tego człowieka? Wszystko za sprawą zamięłowania di Sangro do magii i szarlatanstwa. Jego



Z Andrzejem Flontem, publicystą specjalizującym się w analizowaniu zagadkowych i kontrowersyjnych postaci rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



ANDRZEJ FLONT
„GRA CIENI”
FRONDA 2019

miął kłopot z pozyskaniem odpowiedniego kandydata do wskrzeszenia. W końcu takowy się znalazł. Fachowa komisja lekarska bacznie śledziła eksperyment, który się jednak nie powiódł. Wszystko skończyło się na fetorze spalonego mięsa i oburzeniu medyków. Trzeba

jednakże w tym miejscu uzupełnić, że dzięki swoim badaniom uparty Włoch położył podwaliny pod rozwój reanimacji i stosowanych dzisiaj respiratorów, codziennie ratujących czyjeś życie.

Czyje oblicze kryła żelazna maska?

Nasuwa się pytanie: Czy był to sadystyczny sposób ukarania więźnia, czy może próba zakrycia bardzo rozpoznawalnej twarzy? Kwestią podstawową

Cienie historii

niesłychany talent był dla innych czymś tak niezwykłym, że ludzie upatrywali w tym działania sił nieczystych. Sam di Sangro nie zaprzeczał tym oskarżeniom. Nawet wydawał się dumny, że jego osoba jest stawiana na równi z Lucyferem.

Różnica między da Vinci a di Sangro była wręcz ewidentna. Ten pierwszy był niczym nieskalany, niesiony dobrymi zamiarami umysł. Di Sangro zaś chciał uchodzić za zło wcielone. I sam skutecznie tworzył wokół siebie aurę niebezpieczeństwa.

Doktor Frankenstein miał realny odpowiednik?

Oglądając liczne filmy o Frankensteinie, względnie czytując ich pierwowzór – powieść Mary Shelley – myślimy, że to wytwór wyobraźni. Tymczasem zanim napisała swoje dzieło, żył niejaki Giovanni Aldini, który chciał pokonać śmierć. W tym celu przeprowadzał liczne doświadczenia medyczne, lecz długo

w tej zagadkowej historii jest to, kim był zamaskowany więzień. Niestety, nie ma jednego kandydata, co od razu nadaje większej tajemniczości postaci człowieka w żelaznej masce. Czy, jak uważa większość, kryła brata bliźniaka Ludwika XIV czy też kogoś innego, kto poważnie naraził się Królowi Słońce. Kimkolwiek by on był, zagościł na stałe w kulturze masowej.

Szczyt Mount Everest osiągnięto już w latach międzywojennych?

Oficjalnie został zdobyty w 1954 r. przez Nowozelandczyka Edmunda Hillary'ego i Sierpę Tenzinga Norgaya. Jednak czy w istocie byli pierwszymi ludźmi, którzy postawili stopy na najwyższym szczycie kuli ziemskiej? Brytyjczyk George Mallory już w 1924 r. rzucił wyzwanie tej górze. Nigdy nie powrócił z wyprawy. Czy zdołał wejść na wierzchołek? Tę kwestię można rozstrzygnąć. Warunkiem jest odnalezienie aparatu fotograficznego



Percy Harrison Fawcett, brytyjski archeolog i odkrywca, poświęcił całe życie na szukanie mitycznego Eldorado
FOT. GRANGER/FORUM

go, którym Mallory dysponował podczas ekspedycji. Jeżeli na kliszy kryłyby się jego zdjęcia z Everestu, to góra zmieniłaby swojego zdobywcę.

Nadwornym astrologiem Adolfa Hitlera był Erik Jan Hanussen? A Stalina?

Za strategią wojenną tyranów nie zawsze stali specjaliści od armii. Dziwić może fakt, że na przebieg batalii mieli wpływ wizjonerzy. Wolf Messing, rodem z Góry Kalwarii, sprytnie wykorzystywał swój talent. Dzisiaj nazwalibyśmy kogoś takiego showmanem. Porywał tłumy swoimi sztuczkami, trafnie przepowiadał przyszłość. Między innymi przewidział wojnę niemiecko-sowiecką. Władze ZSRS postanowiły wykorzystać Messinga dla własnych potrzeb. Stał się więc magiem Stalina, co dawało mu bezpieczeństwo do ostatnich lat jego życia. Wnioskując z tego, można zapytać, jak wyglądałby świat, gdyby nie on? Które decyzje Stalin podjął po sugestii swego magika?

Bohaterami pańskiej książki „Gra cieni” są też postacie współczesne: Babushka Lady oraz D.B. Cooper.

Nigdy niezidentyfikowana kobieta-świadek zamachu na Johna F. Kennedy’ego – oraz sprawca bodaj najbardziej brawurowego porwania samolotu w historii, zaskakującego i imponującego zarazem nad wyraz precyzyjnym wykonaniem. Ich przykłady przekonują, że pomimo bujnego rozwoju nauki i techniki ciągle miewamy do czynienia w historii ze zdarzeniami niewyjaśnionymi.

W naszych dziejach też nie brak figur mitycznych, choćby Popiela, Piasta Kołodzieja, Kraka. Nie kusi pana, by ich opisać?

Niewątpliwie byłby to ciekawy temat na książkę. Mogłaby zawierać wartościową wiedzę historyczną na temat pradziejów Polski oraz wzbudzać emocje podobne do tych, które – mam nadzieję – niosą ze sobą bohaterowie przedstawieni na kartach „Gry cieni”. Jeżeli pojawią się znaczące przesłanki ku napisaniu takiej pozycji, to z przyjemnością się tego podejmę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Flont

– z wykształcenia nauczyciel geografii, publicysta analizujący zagadkowe i kontrowersyjne postacie.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Nie ma jak Lwów!

Czy możliwa jest Polska bez Lwowa? Gdyby to pytanie zadać Polakom jeszcze 80 lat temu, myślę, że nasi dziadkowie byłiby jednomyślni. Sto procent respondentów odpowiedziałoby zgodnie: „Nie, my Polski bez Lwowa sobie wyobrazić nie potrafimy!”. A jednak. Upiorny wiek XX, który tak okrutnie doświadczył Rzeczpospolitą, sprawił, że rzeczy, których nie sposób było sobie wyobrazić, stały się faktem.

Napisana z werwą i humorem opowieść o mieście prawdziwym

Lwów został brutalnie zagarnięty przez bolszewików, ku biernej postawie naszych „sojuszników”. Churchill, niczym Piłat, umył ręce. A lwowiacy rozjechali się na cztery strony świata. Dzisiaj Lwów znajduje się w granicach zaprzyjaźnionej z nami, niepodległej Ukrainy. Nie panują już w nim bolszewicy. Miasto można swobodnie odwiedzać, spacerować jego pięknymi ulicami. A jednak... Serce krwawi.

Na szczęście mamy książki. Takie jak „Ostatnie lata polskiego Lwowa” autorstwa moich dwóch redakcyjnych kolegów Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka. Autorzy

– znakomici znawcy ziem wschodnich – zabierają nas w podróż do przeszłości. Nie jest to jednak rodzaj patriotycznie łzawego przewodnika turystycznego po Lwowie, które zalegają na półkach naszych księgarń. To napisana z werwą i humorem opowieść o mieście prawdziwym. A nie wyśnionym. I o prawdziwych lwowiakach, z krwi i kości. Bez pudru, bez patosu. Za to arcyciekawie.

Możemy przeczytać o głośnym skandalu w Galicyjskiej Kasie Oszczędności, o wódczanym imperium Baczewskich, o głośnych zbrodniach w afekcie dokonywanych przez członków lwowskiej socjety. A także o skandalach z udziałem znanych literatów i aktorów, o drużynach piłkarskich i oczywiście o Szczepciu i Tońciu. Autorzy nie unikają tematów trudnych. Takich jak pogrom Żydów z roku 1918, konflikt polsko-ukraiński czy infiltracja lwowskiego ZWZ przez NKWD. A wreszcie gorzkie zakończenie: amputacja Lwowa i wypędzenie jego mieszkańców.

Autorzy otwarcie przyznają, że „ulegli magii Lwowa i zgodnie uważają go za najpiękniejsze z polskich miast”. Każdy, kto postawił nogę na lwowskim bruku, nie może ich za ten pogląd winić. Napisałicie, koledzy, znakomitą książkę. ©©



★★★★★

SŁAWOMIR
KOPER,
TOMASZ
STAŃCZYK
„OSTATNIE LATA
POLSKIEGO
LWOWA”
FRONDA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Grób dla Nieznanego

Idea symbolicznego grobu upamiętniającego niezidentyfikowanych żołnierzy poległych za ojczyznę narodziła się po I wojnie światowej. Była to najstraszliwsza z dotychczasowych wojen, na froncie życie straciło ponad 8,5 mln żołnierzy. Tak jak podczas każdego konfliktu zbrojnego nie wszystkich udało się zidentyfikować, część z nich spoczęła w bezimennych grobach. To właśnie ich symboliczny grób miał się stać przykładem ofiary z własnego życia dla rodzinnego kraju.

Pomysł na tego rodzaju monument pojawił się niemal jednocześnie we Francji i w Wielkiej Brytanii, kilka lat po zakończeniu wojny dokonano uroczystego odsłonięcia pomników, pod którymi pochowano bezimienne szczątki wybrane przez losowanie (w Paryżu pod łukiem Triumfalnym, w Londynie w opactwie westminsterskim).

W Polsce pomysł na podobny monument narodził się po zakończeniu wojny z bolszewikami. Sukces inicjatywy osiągnięto dopiero, gdy temat poparły władze państwowe. Po rocznych dyskusjach zdecydowano, że pomnik stanie na pl. Saskim, a w kwietniu 1925 r. dokonano uroczystego losowania pobojuwiska, z którego szczątki miały zostać złożone w stolicy.

Los padł na Lwów, zdecydowano, że szczątki będą pochodzić z pola tragicznej bitwy pod Zadwórzem. Wśród zabitych był 19-letni polski Ormianin Konstanty Zarugiewicz, którego ciała nie zidentyfikowano, a właśnie jego matce przyszło odegrać

symboliczną rolę w dziele upamiętnienia poległych obrońców ojczyzny.

Po rocznych dyskusjach zdecydowano, że pomnik stanie na pl. Saskim

Z kilku przygotowanych trumien z niezidentyfikowanymi ciałami pani Zarugiewiczowa wybrała jedną, a „padło na tego, który żadnej szarży nie miał, a tulił u boku swego starą maciejówkę z białym orłem ściemniałym od wilgoci”. Oględziny wykazały, że miał ok. 14 lat, zatem był przedstawicielem najbardziej patriotycznej grupy młodzieży, która oddała swoje życie w ofierze dla ojczyzny.

Szczątki złożono w trzech trumnach (sosnowej, cynowej i dębowej), następnie pod eskortą wojskową przewieziono do Warszawy, gdzie 2 listopada zostały uroczystie złożone w kolumnadzie pałacu Saskiego. W uroczystościach uczestniczyły władze państwowe i kościelne, przybyli także nuncjusz papieski w Polsce oraz tysiące warszawiaków. Jako pierwszy oddał honory bezimennemu żołnierzowi prezydent Wojciechowski, złożył wieniec od narodu polskiego i zapalił wieczny znicz. Przy monumencie zaciągnęli wartę honorową żołnierze 36. Pułku Legii Akademickiej, a obyczaj warty honorowej w tym miejscu przetrwał do dzisiaj... ©©

Modernizacja śluz Kanału Gliwickiego na półmetku

Dobiega końca modernizacja komór północnych śluz Sławięcice i Nowa Wieś w dolnym biegu Kanału Gliwickiego. Śródlądowa droga wodna, jedyna taka w kraju o funkcji transportowej w zarządzie gliwickich Wód Polskich przechodzi kompleksowe prace modernizacyjne, które obejmują m.in. śluz Sławięcice i Nowa Wieś. Wyremontowane gruntownie komory północne obu tych obiektów zostaną oddane do eksploatacji jeszcze w IV kwartale bieżącego roku, dalsze prace modernizacyjne przebiegać będą w komorach południowych śluz. Zakończenie inwestycji, która stanowi element historycznego przedsięwzięcia rewitalizacji Odrzańskiej Drogi Wodnej, spodziewane jest w pierwszej połowie 2021 roku. Projekt realizuje Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gliwicach.

Trwają ostatnie prace wykończeniowe i próby techniczne w obrębie północnych komór śluz w Sławięcicach i Nowej Wsi. Polegają one między innymi na testach obciążeniowych wrót śluz pod naporem wody (każde śluzowanie wiąże się z użyciem 5.800 m³ wody). W czwartym kwartale bieżącego roku zmodernizowane komory północne oddane zostaną do eksploatacji. Oznacza to, że w kolejnym sezonie żeglugowym jednostki pływające będą korzystały z wyremontowanych komór śluz.

W ramach prowadzonych prac dokonano wyburzeń i rekonstrukcji betonów na głowach górnych i dolnych oraz naprawy dna komór, wykonano zabezpieczenia antykorozyjne stalowych konstrukcji, komory otrzymały również nowe wrota (łącznie ich masa wynosi 360 ton!). Ponadto odmulono dna awanportów górnego i dolnego, wykonano dalby i ułożono rurociągi przetrutowe. Wszystkie roboty prowadzone są pod nadzorem konserwatora zabytków,



Śluza Nowa Wieś w trakcie prac

ponieważ infrastruktura służąca śluzowaniu na Kanale Gliwickim, położona na obszarze województwa opolskiego została wpisana do tamtejszego rejestru zabytków.

Analogiczny zakres prac obejmie od nowego roku południowe komory śluz w Sławięcicach i Nowej Wsi. Harmonogram robót ustalono w taki sposób, aby zachować ciągłość żeglugi na Kanale i umożliwić śluzowanie jednostek pływających z wykorzystaniem jednej czynnej, zmodernizowanej komory podczas remontu drugiej. Takie rozwiązanie jest możliwe ponieważ wszystkie śluzy Kanału Gliwickiego są bliźniacze – posiadają dwie komory (północną i południową) o takich samych parametrach.

Aktualnie realizowana inwestycja stanowi drugi etap projektu „Modernizacji śluz odrzańskich na odcinku w zarządzie Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Gliwicach – przystosowanie do III klasy drogi wodnej”. Etap pierwszy przyniósł zakończony już remont śluz Kłodnica i Rudziniec, a także dobiegający końca w Łabędach i Dzierżnie.

Kompleksową modernizację sześciu śluz Kanału Gliwickiego, która sfinalizowana zostanie w pierwszym kwartale roku 2021, dopełni kolejny etap projektu. Będzie on polegał na polepszeniu warunków żeglugowych na Kanale poprzez m.in. modernizację ubezpieczeń brzegowych, poprawę stanu toru wodnego i uzupełnienie infrastruktury związanej z transportem wodnym.

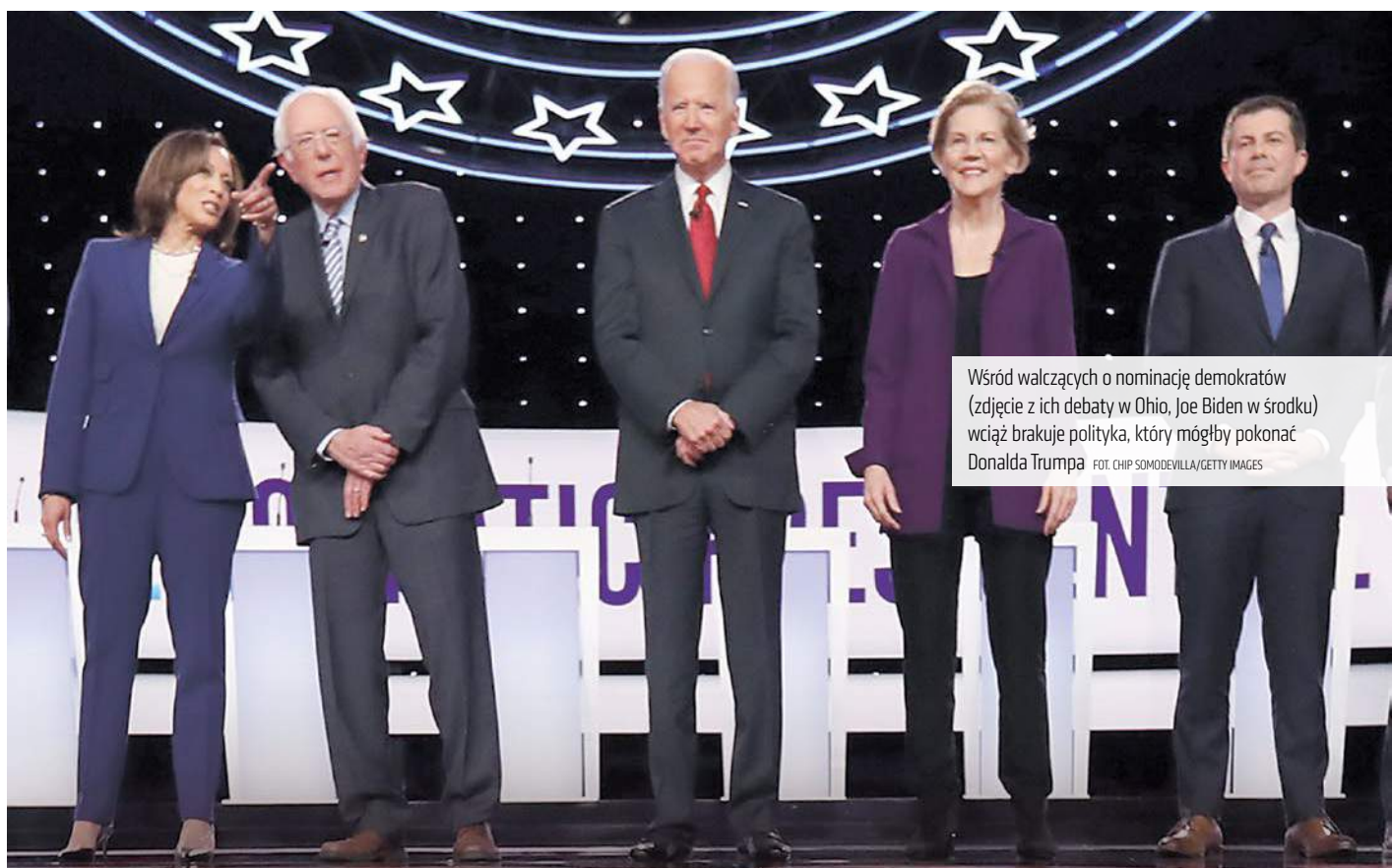
Poprawa warunków żeglugowych na drodze wodnej przyczyni się do ponownego rozkwitu żeglugi śródlądowej na Odrzańskiej Drodze Wodnej. Przemawiają za tym czynniki ekonomiczne – transport wodny jest najbardziej efektywny. Identyfikowany nakład energii umożliwia przetransportowanie tony towarów na odległość 370 km drogą wodną, 300 km koleją, a już tylko 100 km transportem drogowym.

W marcu 2017 roku Prezydent RP Andrzej Duda ratyfikował Konwencję AGN (porozumienie w sprawie głównych śródlądowych dróg wodnych), będące konwencją o śródlądowych drogach wodnych o znaczeniu międzynarodowym. Modernizację Odrzańskiej Drogi Wodnej, która ma docelowo stanowić część szlaku E30 (Morze Bałtyckie – Dunaj) stanowią realizację założeń konwencji AGN. Kanał Gliwicki łączy Górny Śląsk z Odrzańską Drogą Wodną umożliwiając żeglugę śródlądową.

Wartość realizowanego przez Wody Polskie projektu pn. „Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice – przystosowanie do III klasy drogi wodnej – etap II” wynosi 72.336.680 zł, z czego 61.486.177,27 zł stanowi unijne dofinansowanie z Funduszu Spójności w ramach POIiŚ 2014-2020.



Śluza Sławięcice w trakcie prac



Wśród walczących o nominację demokratów (zdjęcie z ich debaty w Ohio, Joe Biden w środku) wciąż brakuje polityka, który mógłby pokonać Donalda Trumpa FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

Pierwsza ofiara „impeachmentu”?



Jacek Przybylski

Demokraci świętują, bo kolejni urzędnicy wskazują na związek między wstrzymaniem amerykańskiej pomocy dla Ukrainy a żądaniem wszczęcia przez Kijów śledztwa w sprawie syna Joe Bidena. Na razie na „impeachmentie” najbardziej stracił jednak główny rywal Trumpa i dawny zastępca Baracka Obamy

Wydawałoby się, że na świecie jest tylko jedna rzecz, która przeciętnego zjadacza chleba może znudzić bardziej niż brytyjski tasemiec polityczno-obyczajowy o nazwie brexit: to kolejne doniesienia w sprawie impeachmentu Donalda Trumpa. Wiele wskazuje na to, że Brytyjczycy zamiast opuścić UE 31 października, zgodnie z nową świecką tradycją poproszą Unię o przedłużenie tego terminu (w czwartek premier Boris Johnson wezwał również do przyspieszonych wyborów 12 grudnia). Również w Ameryce w ostatnich dniach doszło do kilku ciekawych zwrotów akcji, które mogą realnie wpłynąć na losy nie tylko ich głównych bohaterów, lecz także dużej części zachodniego świata.

W Stanach Zjednoczonych członkowie Partii Demokratycznej, czyli najwięksi zwolennicy przedterminowego wykurzenia Donalda Trumpa z Gabinetu Ovalnego, wpadli we własną pułapkę i walcząc z urzędującym prezydentem, praktycznie utracili niekwestionowanego lidera w prezydenckim wyścigu i na razie jedyne polityka opozycji, który miałby realną szansę na zwycięstwo w boju o Biały Dom.

BIDEN W TARAPATACH

Mowa oczywiście o byłym wiceprezydencie Joe Bidenie. – NATO rozpadnie się, jeśli Trump zostanie ponownie wybrany – przekonuje demokratą, ostrzegając, że jeśli obecny gospodarz Białego Domu wygra bój o reelekcję, to Sojusz Północnoatlantycki po prostu przestanie istnieć. Trudno ocenić realność takiego scenariusza, zwłaszcza że podobne ostrzeżenia pojawiają się od kilku lat. O wiele szybciej mogą niknąć za to szanse Joe Bidena na prezydencką nominację Partii Demokratycznej.

Dla wielu to spora niespodzianka, ponieważ Biden przez długie miesiące był uznawany za głównego rywala obecnego gospodarza Białego Domu. Teoretycznie chętnych do walki o demokratyczną nominację na najważniejszego wroga Donalda Trumpa stało aż 12 kandydatów – i tyłu wzięto udział w telewizyjnej debacie demokratów – ale co najmniej jedna trzecia z nich cieszy się poparciem na poziomie błędnie statystycznym.

Według sondaży długo liderem był były wiceprezydent USA. To on miał mieć nie tylko największe doświadczenie, lecz także największe szanse w ostatecznym pojedynku z kandydatem republikanów.

Czwarta debata telewizyjna demokratycznych kandydatów – tym razem w Ohio – pokazała jednak bardzo wyraźnie, że afera z udziałem syna Joe Bidena tak bardzo mu zaszkodziła, że demokraci znów nie mają nikogo, kto mógłby im zagwarantować pokonanie Trumpa w przyszłorocznych wyborach prezydenckich.

Przez chwilę na pierwsze miejsce wysunęła się Elizabeth Warren – „progresywna senatorka” z Massachusetts. I chociaż nawet według bukmacherów ma ona większe szanse na prezydenturę niż Joe Biden, to jej realne szanse w pojedynku nie są zbyt wielkie z kilku powodów.

Po pierwsze, jest kobietą, a demokraci już cztery lata temu forsowali na ten urząd kandydatkę tylko ze względu na jej płeć i zapłacili za to wysoką cenę. Obecnie jest zaś w Ameryce tylko jedna kobieta, która mogłaby mieć szanse w starciu z Trumpem, i jest to... Michelle Obama. Była pierwsza dama nie marzy jednak wcale o powrocie do Białego Domu.

Po drugie, Warren jest idealnym celem dla strategów Donalda Trumpa. Co prawda oficjalnie przedstawia się jako kapitalistka, ale w praktyce jest socjalistką na miarę Berniego Sanderśa (który konsekwentnie sam siebie nazywa socjalistą). Senatorka popiera nie tylko podwyżki płacy minimalnej, lecz także darmowe studia na publicznych uniwersytetach czy umorzenie kredytów studenckich (czemu większość Amerykanów jest przeciwna).

Warren forsuje też dramatycznie zły plan objęcia powszechną, „bezpłatną” służbą zdrowia wszystkich Amerykanów, łącznie z nielegalnymi imigrantami, a także z bogatszymi obywatelami USA, którzy są zadowoleni z obecnego systemu i którzy wolą nadal kupować polisę gwarantującą im szybki dostęp do opieki niż miesiącami czekać na specjalistę. Poza tym masowe „uzdrowienie” Ameryki w ramach hasła „Medicare for All” ma kosztować budżet Stanów Zjednoczonych ponad 30 bln (sic!) dol. Warren znalazła już finansowanie: najpierw chce wydoić najbogatszych Amerykanów, wielkie korporacje, a także – jeśli to nie wystarczy – podniesie również podatki klasie średniej.

W sytuacji, w której w sondażu agencji Marist dwie trzecie Amerykanów uważa, że stan gospodarki sprawia, że dobrze im się wiedzie, Warren w realnej walce nie miałaby dziś większych szans na zwycię-

stwo. Czy demokraci nie mają już nikogo innego? Teoretycznie w sondażach wysoko jest jeszcze Bernie Sanders. 78-letnie bożyszcze lewicowej młodzieży niedawno przeszło jednak zawał i niewykluczone, że zabraknie mu siły na przeprowadzenie w Ameryce wielkiej socjalistycznej rewolucji.

Bardzo dobre wrażenie na wyborcach robi 37-letni burmistrz miasteczka South Bend w stanie Indiana. Gdyby został wybrany, Pete Buttigieg – zadeklarowany chrześcijanin – byłby nie tylko najmłodszym prezydentem USA w historii, lecz także pierwszym prezydentem gejem oraz pierwszym prezydentem poliglotą, który zna hiszpański, włoski, maltański, arabski, dari, francuski oraz norweski, którego nauczył się tylko po to, aby czytać dzieła Erlenda Loe w oryginale.

Byłby też pierwszym prezydentem, którego nazwiska nie potrafi wymówić zdecydowana większość Amerykanów (nawet w miasteczku, którym rządzi, mało kto mówi o nim po nazwisku, zamiast tego używając po prostu zwrotu „burmistrz Pete”). Na razie ma on jednak zbyt małe poparcie, by poświęcić mu więcej miejsca w tekście, a co dopiero poważnie brać go pod uwagę w wyścigu prezydenckim.

QUID PRO QUO?

Dopóki na scenę polityczną nie powróci były burmistrz Nowego Jorku, multimilioner i dawny republikanin Michael Bloomberg, dopóty na ringu zostają głównie Biden i Sanders. Obaj publicznie nazywają Trumpa „najbardziej zepsutym prezydentem” w historii Stanów Zjednoczonych. – Wszyscy na tej scenie są bardziej uczciwi niż ten kryminalista w Białym Domu – powiedział o urzędującym prezydencie Tom Steyer, szef funduszu inwestycyjnego, miliarder i kandydat na kandydata demokratów.

Niemal wszyscy kandydaci demokratów opowiadają się też za impeachmentem, którego podstawą miałyby być uzależnienie pomocy wojskowej dla Ukrainy od tego, czy nowy prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski, doprowadzi do ponownego wszczęcia śledztwa w sprawie syna Bidena, Huntera, który, gdy jego ojciec był wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, za 50 tys. dol. miesięcznie (równowartość 200 tys. zł) pracował dla zarządu spółki Burisma, wydobywającej gaz na Ukrainie i oskarżanej o korupcję na dużą skalę.

Trump opiera swoją linię obrony na tym, że nie było takiego układu. Hasło „No quid pro quo” stało się zaś jednym z kluczowych argumentów Białego Domu. W ostatnich dniach demokraci zaczęli jednak świętować, bo kolejni amerykańscy urzędnicy i dyplomaci deklarują jasny związek między cofnięciem pomocy wojskowej a śledztwem w sprawie Huntera Bidena. O tym, że Trump uzależniał pomoc od śledztwa w sprawie syna Bidena, mówił kilka dni temu przed kongresmenami prowadzącymi śledztwo ws. impeachmentu kierujący amerykańską ambasadą w Kijowie Bill Taylor. – Powiedziałem 9 września ambasadorowi Gordonowi Sondlandowi, że podtrzymywanie pomocy w zamian za pomoc w wewnętrznej kampanii politycznej jest szalone – zeznał amerykański chargé d'affaires w Kijowie, podkreślając, że oficjalne relacje amerykańsko-ukraińskie zostały osłabione przez „niestandardowe, podejmowane nieformalnymi kanałami działania polityczne”. Mieli w nie być zaangażowani wysłannik USA na Ukrainę Kurt Volker, ambasador USA przy UE Gordon Sondland, sekretarz ds. energii Rick Perry oraz osobisty prawnik Donalda Trumpa Rudy Giuliani.

Tydzień wcześniej również urzędujący szef personelu Białego Domu Mick Mulvaney ujawnił, że istniała jasna zależność między amerykańską pomocą wojskową a wszczęciem przez Ukraińców antykorupcyjnego śledztwa. Tymczasem prośba o pomoc zagranicznego państwa w wyborach w USA jest złamaniem prawa wyborczego.

WALKA O LINCZ

Mimo zaangażowania wszystkich sił w próbę znalezienia dowodów na przestępstwo popełnione rzekomo przez Donalda Trumpa, demokraci wciąż mają zbyt mało amunicji, aby sformułować mocny akt oskarżenia. Partijni liderzy nie wyrobią się więc z planem, który zakładał doprowadzenie do głosowania w sprawie impeachmentu jeszcze przed Świętem Dziękczynienia (28 listopada). Ten termin wydaje się już bardzo mało prawdopodobny. Przypuszczalnie „lincz” na Trumpie zostanie więc przełożony na czas świąt Bożego Narodzenia lub nawet na okolicę Nowego Roku.

Zresztą spór między dwiema partiami osiągnął poziom takiego absurdu, że gdy prezydent Donald Trump porównał impeachment do linczu, posypały się

na niego oskarżenia o wstrętny rasizm. W Ameryce w latach 1882–1968 w wyniku samosądów zginęło niemal 5 tys. osób, z czego trzy czwarte ofiar było czarnych. Obserwując ataki na Trumpa ze strony demokratów, można by uznać, że człowiek biały słowa „lincz” używać nie ma prawa. Można by, gdyby nie fakt, że gdy to republikanie wszczęli procedurę impeachmentu wobec Billa Clintona, demokraci oskarżali ich właśnie o „lincz” na ich prezydencie.

Zanim jednak dojdzie do ewentualnego procesu z Trumpem w roli oskarżonego przez zdominowaną przez demokratów Izbę Reprezentantów, to w poważne tarapaty mogą wpaść sami demokraci. Chociaż zarówno Joe, jak i Hunter zapewniają, że nie zrobili nic złego, to na jaw wychodzi coraz więcej faktów, które mogą sugerować, że śledztwo w tej sprawie może pogrążyć ród Bidenów. I niewykluczone, że zanim Amerykanie

Demokraci wciąż jeszcze mają zbyt mało amunicji, aby sformułować mocny akt oskarżenia przeciw Donaldowi Trumpowi

usłyszają próby chłostania urzędującego prezydenta, to właśnie Bidenowie okażą się „kryminalistami”.

George Kent – zawodowy dyplomata i zastępca asystenta Departamentu Stanu – zeznał w połowie października przed komisją śledczą, że już w 2015 r. oficjalnie zgłaszał swoje zastrzeżenia wobec pracy Huntera Bidena dla ukraińskiej firmy gazowniczej.

Miał jednak zostać odpawiony z kwitkiem przez pracowników biura zastępcy Baracka Obamy. Ludzie ówczesnej administracji zlekceważyli również ostrzeżenia Kenta, że praca syna wiceprezydenta na Ukrainie może sprawić, że władze w Kijowie uznają go za narzędzie wpływu na ojca. Kent opowiedział też członkom komisji śledczej Kongresu o tym, jak pracownicy administracji Obamy starali się doprowadzić do usunięcia z urzędu ukraińskiego prokuratora generalnego Wiktora Szokina, który prowadził śledztwo w sprawie firmy Burisma. Szokin wyleciał ze stanowiska

w kwietniu 2016 r., i to pomimo tego, że jest ojcem chrzestnym jednego z dzieci Petra Poroszenki.

Byłego amerykańskiego wiceprezidenta obciążają również materiały ujawnione przez ukraińskiego deputowanego Andrija Derkacza. Według Derkacza Joe Biden miał otrzymać od firmy Burisma aż 900 tys. dol. za lobbing na jej rzecz.

Najnowsze zeznania mogą potwierdzać to, co w rozmowie z nowym prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim mówił prezydent Donald Trump. – Dużo się mówi o synu Bidena, że Biden wstrzymał śledztwo prokuratorskie i bardzo wiele osób chce się dowiedzieć o tym więcej, więc byłoby super, gdybyście mogli zrobić, co tylko w waszej mocy, we współpracy z prokuratorem generalnym. Biden przechwalał się, że zatrzymał śledztwo, więc gdybyście mogli się temu przyjrzeć... Dla mnie to brzmi okropnie – mówił obecny gospodarz Białego Domu, zachęcając przywódcę Ukrainy do współpracy z prokuratorem generalnym Williamem Barrem oraz ze swoim osobistym prawnikiem Rudym Giuliani.

I chociaż na razie inni kandydaci demokratów nie atakują za tę sprawę byłego wiceprezidenta, to w toku prawyborczej bitwy o nominację partyjni rywale Bidena mogą zetrzeć jego szanse w pył, zanim będzie mógł to zrobić Donald Trump. Sam prezydent Trump również wykorzystuje informacje obciążające Bidenów, aby nie tylko bronić się przed impeachmentem, lecz także zyskiwać polityczne punkty. Wykorzystując ciemne sprawki syna byłego wiceprezidenta, Trump próbuje przedstawić całą Partię Demokratyczną jako bandę skorumpowanych polityków.

– Radykalne pomysły polityczne demokratów są szalone. Ich politycy są skorumpowani, a kandydaci beznadziejni. Wiedzą, że nie są w stanie wygrać wyborów, więc forsują nielegalny, nieprawomocny, g...niani impeachment – ogłosił podczas spotkania w Luizjanie Donald Trump. Ta argumentacja może mu pozwolić na wywalczenie reelekcji. Nawet bowiem jeśli opanowana przez demokratów Izba Reprezentantów postawi go w stan oskarżenia, to Senat – w którym większość mają republikanie – niemal na pewno go uniewinni. Wówczas Trump będzie mógł wyjść i powiedzieć wyborcom jasno: potrafią mówić tylko o impeachmentie, a ja jestem niewinny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Postaw na komfort podróży z Rentis



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RENTIS
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

G-7 W KLUBIE GOLFOWYM?

Szef personelu Białego Domu ogłosił niedawno publicznie, że najlepszym obiektem nadającym się do zorganizowania w nim szczytu G-7 w przyszłym roku jest klub golfowy na Florydzie. Tak się składa, że ów klub należy do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jednak z klubowego szczytu nici. Donald Trump napisał już na Twitterze, że rezygnuje z rozważania takiej lokalizacji spotkania „z powodu zarówno mediów, jak i irracjonalnej wrogości szalonych demokratów”.

MERKEL PRAWORZĄDNA

Angela Merkel jako szefowa niemieckiego rządu zapowiedziała niedawno w Bundestagu, co zamierza uzyskać w Brukseli dla swojego państwa. W przemówieniu nawiązała do wcześniejszych kontrowersyjnych propozycji Komisji Europejskiej dotyczących powiązania funduszy finansowych

FOY ADDBE STOCK

PASAŻER BEZ PŁCI

Ponieważ – jak się podobno dziś uważa – płeć jest jednym z większych problemów XXI w., kanadyjskie linie idą z duchem czasu i chcą zabezpieczyć pasażerów przed pochopnym określeniem ich płci. Dlatego wprowadziły regulację, która zakazała personelowi zwracania się do pasażerów per „pan” lub „pani”. Wszystko po to, by nie urazić tych, którzy myślą, że nie mają żadnej płci, albo tych, którzy myślą, że mają inną płeć, niż mają.



holenderskiej gminy i przedstawiciele branży kwiatowej – turyści są masowo nabijani w butelkę. Z cebulek, za które płacą, zakwitnąć szansę ma zaledwie 1 proc. W dodatku często tylko jedna cebulka w opakowaniu odpowiada kwiatowi na zdjęciu tego opakowania.

EGZAMIN Z KARTONEM NA GŁOWIE

W Bhagat Pre-University College w Indiach uczniowie pisali egzamin z chemii. Wykładowca chciał wypróbować nietypowy sposób na to, aby ograniczyć im możliwość ściągania od siebie. Wszyscy musieli założyć na głowę kartony z otworami na oczy. Zdjęcie z egzaminu ktoś zamieścił w sieci, lokalne władze skrytykowały taki sposób jego przeprowadzenia. Rzecznik szkoły przeprosił i podkreślał, że uczniowie nie byli zmuszani do zakładania kartonów – sami mieli je też przynieść do szkoły. ©©

Łukasz Zboralski

z „przestrzeganiem rządów prawa”. Dla Merkel załatwienie tej sprawy ma podobno „najwyższy priorytet”. Nie wiadomo, czy żelazna Angela w ten sposób zamierza zabezpieczyć swój kraj przed stacaniem się w niepraworządność, czy szuka sposobów na to, by inne kraje oborderć z pieniędzy, używając hasła, które rozmaicie będzie można interpretować, w zależności od potrzeb.

TULIPANOWE OSZUSTWO

Na słynnym już targu kwiatowym w Amsterdamie można kupić sobie słynne holenderskie tulipany. No, przynajmniej tak się wydaje tym, którzy dają pieniądze i odchodzą do domu z cebulkami. Bo – jak właśnie sprawdzono, a zbadały to władze



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Klubu Jagiellońskiego wołanie na puszczy

Przedsstawiciele wszystkich klubów parlamentarnych w prezydium Sejmu, wzmocnienie praw mniejszości w komisjach sejmowych, przywrócenie rotacyjnego przewodnictwa Komisji ds. Służb Specjalnych czy przywrócenie wyższych uposażeń parlamentarzystów – to część spośród 10 postulatów, które w ramach projektu Paktu Demokratycznego przedstawił Klub Jagielloński. Konserwatywny think tank wielokrotnie stawał w obronie ładu instytucjonalnego i starał

się skłonić polityczne plemiona do myślenia w kategoriach dobra państwa, a nie partii. Swego czasu wywołało to dyskusję, w której zarzucano członkom KJ piękno duchostwo i oderwanie od realiów.

Prawda, politycy zwykle starają się takie głosy ignorować – choć nie zawsze. To inicjatywa Klubu Jagiellońskiego, wsparta przez mniejsze ugrupowania, sprawiła, że prezydent w 2018 r. zawetował zmianę ordynacji wyborczej przed wyborami do PE. Jednak to, że większość apeli KJ i podobnych środowisk jest

wołaniem na puszczy, nie znaczy, że wołać nie należy. Przeciwnie – wołać trzeba, bo ten głos w końcu się jednak trochę przebija, a i dlatego, że on ma być swego rodzaju wyrzutem sumienia dla tych, którzy zatracili się w partyjnych gierkach.

W Pakcie Demokratycznym nie ma niczego absurdalnego, strasznego ani niemądrego. Są wyłącznie postulaty, które z czystym sumieniem może poprzeć każdy państwowiec. Można by zatem spytać: Z czym macie, politycy, problem? ©©

PONIEDZIAŁEK

07:00 Polska na dzień dobry
 08:52 Kalendarz historyczny

 Codziennie nowe wydarzenia historyczne
 pon. - piąt.
 09:40 Salonik polityczny
 11:00 Polityczna kawa
 12:15 Gwiazdy w Republice
 15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 15:20 Republika po południu
 17:15 **Wolne głosy – Popołudnie**
 18:00 Z Wiejskiej na gorąco
 18:15 Ekonomia raport flash
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**
 18:52 Prognoza pogody
 18:55 Kulisy manipulacji - flesz
 19:00 **Dziennikarski poker - A.Stankowski**

 19:45 Przekaz dnia
 20:00 W punkt
 20:25 Mówi się...
 21:00 Tweet UP

 Zadaj pytanie gościom na #tweetuprepublika
 21:30 **Starcie cywilizacji**

 Tomasz Terlikowski
STARCIE CYWILIZACJI
 22:00 Poland Daily
 22:10 Poland Daily - Weather + Business
 22:30 Ekonomia raport
 22:50 Suma dnia
 23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

WTOREK

07:00 Polska na dzień dobry

 Rozmowy z gośćmi
 Przegląd prasy
 Ekonomia
 pon. - piąt.
 08:52 Kalendarz historyczny
 09:40 W punkt
 10:30 Starcie cywilizacji
 11:15 Dziennikarski poker
 12:10 Tweet UP
 15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 15:20 Republika po południu
 17:15 **Wolne głosy – Popołudnie**
 18:00 Z Wiejskiej na gorąco
 18:15 Ekonomia raport flash
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**

 Codzienne informacje
 18:52 Prognoza pogody
 18:55 Kulisy manipulacji - flesz
 19:00 **Dziennikarski poker - T.Sakiewicz**
 19:45 Przekaz dnia
 20:00 W punkt
 20:25 Mówi się...
 21:00 Biznes Polska
 21:30 **Koniec Systemu**

 Dorota Kania
 22:00 Poland Daily
 22:10 Poland Daily - Weather + Business
 22:30 Ekonomia raport
 22:50 Suma dnia

 Podsumowanie wydarzeń
 23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

ŚRODA

07:00 Polska na dzień dobry
 08:52 Kalendarz historyczny
 09:40 W punkt
 10:30 Koniec systemu
 11:15 Dziennikarski poker
 11:55 Ekonomia raport
 15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 15:20 Republika po południu
 17:15 **Wolne głosy – Popołudnie**
 18:00 Z Wiejskiej na gorąco
 18:15 Ekonomia raport flash
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**
 18:52 Prognoza pogody
 18:55 Kulisy manipulacji - flesz
 19:00 **Dziennikarski poker - D.Kania**
 19:45 Przekaz dnia
 20:00 W punkt
 20:25 **Mówi się...**

 zadzwoń do studia
 22 649 12 62
 Jacek Sobala
 pon. - śr.
 21:00 **Pilnujmy Polski!**
 21:30 **Na pomoc!**

 program interwencyjny
 22:00 Poland Daily

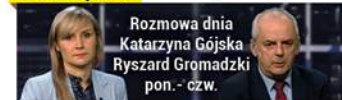
 Informacje po angielsku - codziennie
 22:10 Poland Daily - Weather + Business
 22:30 **Ekonomia raport**

 Program ekonomiczny
 pon. - piąt.
 22:50 Suma dnia
 23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

CZWARTEK

07:00 Polska na dzień dobry
 08:52 Kalendarz historyczny
 09:40 W punkt
 10:30 Na pomoc!
 10:55 Ekonomia raport
 11:25 Dziennikarski poker
 15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 15:20 Republika po południu
 17:15 **Wolne głosy – Popołudnie**

 Politycy, eksperci, komentatorzy
 pon. - pt.
 18:00 Z Wiejskiej na gorąco
 18:15 Ekonomia raport flash
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**
 18:52 Prognoza pogody
 18:55 Kulisy manipulacji - flesz
 19:00 **Oddaję Państwu głos**

 zadaj pytanie naszym gościom
 22 649 12 62
 Łukasz Jankowski
 19:45 Przekaz dnia
 20:00 W punkt

 Rozmowa dnia
 Katarzyna Gojska
 Ryszard Gromadzki
 pon. - czw.
 20:25 Mówi się...
 21:00 Biznes Polska
 21:30 **Otwartym tekstem**

 Ewa Stankiewicz-Jørgensen
 22:00 Poland Daily
 22:10 Poland Daily - Weather + Business
 22:30 Ekonomia raport
 22:50 Suma dnia
 23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

PIĄTEK

07:00 Polska na dzień dobry
 08:52 Kalendarz historyczny
 09:40 W punkt
 10:30 Otwartym tekstem
 15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 15:20 Republika po południu
 17:15 **Wolne głosy – Popołudnie**
 18:00 Z Wiejskiej na gorąco
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**
 18:52 Prognoza pogody
 18:55 Kulisy manipulacji - flesz
 19:05 10.04.2010.Fakty
 19:25 **Rozmowa ściśle jawna**

 Piotr Nisztor
 19:45 **Magazyn filmowy Piotra Gońka**

 Nowości kinowe
 20:30 **Geopolityczny tygiel**

 dr Jerzy Targalski
 21:00 **Specjaliści od wszystkiego**

 Maciej Kozuszek
 21:30 **Kulisy manipulacji**

 Piotr Lisiewicz
 Katarzyna Gojska

SOBOTA

08:00 Polska na dzień dobry. Weekend
 09:35 **Gwiazdy w Republice**

 Emilia Pobłocka
 10:00 **Podsumowanie polityczne tygodnia**

 11:00 Kalendarz historyczny
 12:15 Kulisy manipulacji
 14:40 Geopolityczny tygiel
 15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
 16:20 Gwiazdy w Republice
 16:50 Podsumowanie polityczne tygodnia
 17:50 Otwartym tekstem
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**
 18:50 Sport w Republice
 18:55 Prognoza pogody
 19:05 Na pomoc!
 19:35 **Wywiad z chuliganem**
 20:35 Rozmowa ściśle jawna
 21:00 **Za siódmą górą**

 Program podróżniczy
 21:20 Koniec systemu
 22:00 Poland Daily
 22:10 Poland Daily - Weather + Business
 22:30 **Gry tajnych służb**

 Dorota Kania

NIEDZIELA

07:00 Transmisja Mszy Świętej
 08:10 Kalendarz historyczny
 09:06 **7x24**

 Katarzyna Gojska
 debata polityczna
 10:06 **Studio prasowe**

 Adrian Stankowski
 11:00 **Salonik polityczny**

 Rafał Ziemkiewicz
 12:00 **Polityczna kawa**

 Tomasz Sakiewicz
 17:30 Salonik polityczny
 18:30 **Dzisiaj - główne wydanie informacji**
 19:10 7x24
 20:10 Polityczna kawa
 21:30 **Analfabet III RP**

 22:00 Poland Daily - Weather + Business
 22:30 **Wywiad z chuliganem**

 Piotr Lisiewicz

OGLĄDAJ

www.telewizjarepublika.pl

Operacja – profanacja



Małgorzata Wołczyk

Naruszanie godności szczątków gen. Franco, odmówienie mu pochówku już nawet nie z państwowymi honorami, ale choćby w trumnie otulonej w hiszpańską flagę to akt zemsty i poniżenia. Jednak socjalistycznemu rządowi chodzi nie tylko o generała



Od kiedy Pedro Sánchez, lider Socjalistycznej Partii Robotniczej Hiszpanii, usiadł w fotelu premiera, dla wielu stało się jasne, że najważniejszą sprawą dla jego rządu będzie zemsta na gen. Francisco Franco po 80 latach od przegranej przez lewicę wojny. Ekshumacja szczątków zmarłego przed 44 laty „Caudillo” odbyła się w czwartek 24 października, a zabalsamowane zwłoki zostały wbrew woli rodziny przeniesione na podmadrycki cmentarz El Pardo. Tam niechybnie prędzej czy później ulegną profanacji lub aktom wandalizmu, choć rodzina prosiła o przeniesienie zmarłego do rodzinnego grobu w madryckiej katedrze Almudena.

Z małym ryzykiem można wysunąć tezę, że operacja „dorwać Franco, choćby martwego” przyćmiła wszystkie sprawy, nawet rebelię separatystów katalońskich, którzy prędzej podpalał cały kraj, niż zrzekną się marzeń o wydarciu Hiszpanii kawałka zie-

mi. Złośliwi mówią, że premier skierował więcej służb gwardii cywilnej, żeby otoczyć grób Franco, niż do ogarniętej chaosem i konfliktem Barcelony. To oczywiście gruba przesada, ale jednym z najczęstszych haseł, które hula po wzburzonej fali mediów społecznościowych, jest wezwanie, aby premier miał wreszcie odwagę stawić czoła żywym wrogom, a nie umarłym.

NA GRANICY PRAWA

Już 11 października teren Doliny Poległych został zamknięty dla zwiedzających. Kościół otoczony został kordonem służb, które z bronią przechadzały się po świątyni. W tym zespole pałacowym od pół wieku funkcjonują szkoła z internatem dla dzieci i pensjonat, a wszyscy pracownicy potraktowani zostali niczym zakładnicy pod nadzorem uzbrojonych ludzi. Opiekujący się bazyliką zakon Benedyktynów miał zakaz odprawiania mszy w jej wnętrzu, co jawnie naruszało prawo wolności sprawowania

kultu. Przeor Santiago Cantera do ostatniej chwili zwracał się z pismami do władz rządowych i do Watykanu, zaskarżając łamanie przepisów o prawie do modlitwy i nienaruszalności przestrzeni sakralnej.

W dniu ekshumacji rygor przedsięwzięcia uległ jeszcze zaostrzeniu. Zgromadzone ekipy telewizyjne i tłumy, które chciały po raz ostatni oddać hołd szczątkom głowy państwa, nie mieli dostępu ani na teren Doliny, ani na cmentarz, gdzie ostatecznie spoczęła trumna. Decyzją rządu nie wolno było oddać żadnych honorów należnych głowie państwa. Cała uroczystość miała przebiegać tylko w prywatnym gronie, zabroniono zgromadzeń, w tym nawet modlitewnych, na cmentarzu.

Rząd w przebiegu czynności ekshumacyjnych reprezentowała jedynie minister sprawiedliwości Dolores Delgado. Wszystko po to, aby w świat poszedł obraz o zapomnianym „dyktatorze”, któremu nikt nie chciał towarzyszyć w ostatniej drodze.

Szczątki gen. Francisco Franco zostały ekshumowane 24 października. Uroczystość była skromna. Decyzją rządu nie wolno było oddać żadnych honorów należnych głowie państwa
fot. EFE/PAP



Rodzinie w liczbie 22 członków towarzyszył przeor Cantera, który odprawił mszę w miejscu nowego pochówku.

Generał Franco nie był demokratą – to wiemy wszyscy. Nie był jednak faszystą i dyktatorem, jakim odmalowały go zmienne pod dyktando lewicy podręczniki do historii. Francisco Franco dla wielu milionów katolików niezależnie od kraju, który zamieszkują, powinien jednak uosabiać figurę obrońcy, który uratował katolików przed eksterminacją, która rozpoczęła się krwawą rewolucją w Asturii w 1934 r., a przybrała na sile w wojnie domowej w 1936 r.

Jeden z ministrów republikańskiego rządu Juan Peyró zanotował: „Prześladowani i eksterminowani są wszyscy księża i zakonnicy, jedynie z tego powodu, że nimi są [...]. Zniszczenie Kościoła jest aktem sprawiedliwości”. Oficjalne liczby mówią o 10 tys. zabitych za wiarę, z czego 1891 jest już na ołtarzach. Jak parę dni temu

wyznał mi dziennikarz, pisarz i autor ponad 20 książek José Javier Esparza: „Abyś mogła sobie wyobrazić, do jakiego punktu doszliśmy dziś, nasz kościół niemal co miesiąc wynosi na ołtarze i beatyfikuje nowych męczenników czerwonego terroru, ale nie ruszy palcem w sprawie Franco, który ocalił katolików przed eksterminacją”.

Nikt nie ma wątpliwości, do czego zmierzało całe to przedsięwzięcie usunięcia prochów generała, które zdaniem socjalistycznego rządu „uwłaczały pamięci ofiar wojny”. Przypomnijmy, że nie chodziło tu o żadne „mauzoleum ku czci dyktatora”, ale o bazylikę wybudowaną z myślą o pojednaniu narodu pod znakiem krzyża, mieszczącą prochy 34 tys. ofiar wojny domowej z obu stron konfliktu. Zabalsamowane szczątki znalazły się tam w bardzo skromnym, ascetycznym grobie decyzją króla Juana Carlosa. Zdaniem wielu znawców tematu, w tym przeora Cantery, który walczył już nie tylko o spokój przynależny doczesnym szczątkom zmarłego, wierność zapisom konkordatu (łamanego postanowieniami rządu i orzeczeniem Trybunału) chodzi jednak o wolność wyznania i sprawowania kultu, zakwestionowane tym bezprecedensowym aktem. Bo jak się powszechnie słyszy to dopiero początek. Po ekshumacji Franco celem będzie zniszczenie najwyższego w Europie, bo ponad 150-metrowego, krzyża, który wznosi się nad bazyliką, a który w opinii socjalistów i komunistów z Podemos jest niczym więcej jak „symbolem frankizmu”, który raz na zawsze musi zniknąć z przestrzeni publicznej. W planach pozostaje przekształcenie opactwa w jakiś niesprecyzowany „park pamięci demokratycznej” pozbawiony jakichkolwiek symboli religijnych.

AKT PONIŻENIA

Można polemizować w sprawie rządów Franco, choć 40 lat sprawowania przez niego władzy to wzorcowa transformacja z państwa rządzonego autorytarną ręką do kraju demokracji liberalnej. Czymś jednak haniebnym (i to już od czasów Antygony) pozostaje naruszanie godności zmarłego szefa państwa, odmawianie mu honorów państwowych przy ponownym pochówku, a nawet zwyczajowego otulenia trumny w hiszpańską flagę, choćby też bez godła. Pozwolono jedynie na przykrycie trumny tkaniną z herbem, który gen. Franco używał jako głowa państwa.

Ma to być akt poniżenia nie tylko dla rodziny, lecz także dla wszystkich, którzy

wciąż mają generała we wdzięcznej pamięci. Heroiczna obrona nienaruszalności zwłok i świątyni ze strony opata Cantery bardzo kontrastuje z postawą Kościoła hierarchicznego, toteż już okrzyknięty został przez laikat nowym Tomaszem Becketem, który w konflikcie między prawem boskim a ludzkim wybiera poświęcenie i niezłomność bez względu na cenę, którą przyjdzie mu zapłacić. Nagonka na przeora w mediach i prasie, z przeszukiwaniem jego życiorysu, przetoczyła się już w marcu, ale drobny ciałem mnich benedyktyński zniósł wszystko w postawie pokory i stanowczości, która jeszcze bardziej rozsierdziła socjalistów. Mówi się wprost o wypędzeniu zakonu z Doliny Poległych, jeśli rząd utrzyma się przy władzy po nowych wyborach w listopadzie.

OTWARCIE ZABLIŻNIONYCH RAN

Powiedzieć, że katolicy hiszpańscy czują się zdruzgotani absolutnym milczeniem ze strony episkopatu, to doprawdy niewiele. Biskup Madrytu monseñor Carlos Osoro nie należy do osób, które lubią się narażać socjalistom. To jemu między innymi, w trakcie wrześniowych dni „Pokoju bez granic”, skarżyła się Aleksandra Dulciewicz na homofobiczną Polskę i mowę nienawiści akceptowaną przez polski rząd. Wielu katolików nie ukrywa goryczy, bo fakt profanacji grobu nasuwa im mnóstwo potwornych skojarzeń z czasem wojny domowej, gdy milicjanci bojówek anarchistycznych i komunistycznych bezczęścili groby oraz uprawiali makabryczne formy teatralne z wyjętymi szczątkami mnichów czy mniszek. Pozostała po tych specyficznych „zabawach” dokumentacja fotograficzna budzi szok nawet dziś, choć wydaje się, że widzieliśmy już wszystko. Zniszczenie ponad 20 tys. świątyń i zabudowań kościelnych w czasie rządów republiki to też plon antenatów dzisiejszego PSOE.

Pozostaje tylko obserwować, co wydarzy się dalej. Już w nocy z niedzieli na poniedziałek 21 października „nieznani sprawcy” wzięli odwet na pomnikach komunistycznych bohaterów, a na drzwiach kurii ukazały się napisy „zdrajcy” i plakaty z wizerunkiem Franco. Tak pieczołowicie zabliznione rany w rozdartym na pół narodzie znów zostały otworzone z premedytacją. Tak Zapatero, jak Sánchez szukali sposobów na skonfliktowanie społeczeństwa i ich ponury zabieg, jak widać, został zakończony sukcesem...

Joaquín „El Chapo” Guzmán po zatrzymaniu eskortowany przez żołnierzy w Mexico City w 2016 r.

FOT. TOMAS BRAVO/REUTERS/FORUM

Meksyk na kolanach



Piotr Włoczyk

Rodzina El Chapo wypowiedziała wojnę całemu państwu. Bitwa, do której doszło ostatecznie, pokazała, że tamtejsze lewicowe władze kapitulują przed coraz potężniejszymi kartelami

Seny, które swoimi komórkami nagrywali 17 października mieszkańcy miasta Culiacán, wyglądają jak regularna bitwa i bardziej przypominają obrazy z Syrii czy Iraku niż Ameryki Północnej. Zamaskowani mężczyźni w kamizelkach kuloodpornych i z bronią automatyczną krążyli po całym mieście i strzelali do wszystkich, którzy nosili mundury. Jedni poruszali się pieszo w dużych grupach, inni jeździli pick-upami, na których zamontowane były potężne wojskowe

karabiny maszynowe kaliber 50. Bandyci mieli nawet swoich snajperów, którzy przyczajali się na skrzyżowaniach i z daleka ostrzeliwali uciekające wozy Gwardii Narodowej. Chaos potęgowały płonące auta, które blokowały główne arterie miasta. Wobec piekła, które rozszalało się na ulicach metropolii liczącej ponad 700 tys. mieszkańców, władze nakazały ludziom zabarykadowanie się w domach do końca dnia.

„Odkąd 21 lat temu zacząłem pisać o zbrodniach popełnianych przez kartele narkotykowe, to była najgorsza strzelanina” – opowiadał potem mediom Ernesto Martínez, dziennikarz ze stanu Sinaloa, który na samym początku tej bitwy znalazł się w samym jej centrum.

POSZLI PO SYNA

Walki rozpoczęły się tuż przed popołudniowymi godzinami szczytu, gdy 30 uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa weszło do domu w bogatej dzielnicy Tres Ríos. W środku udało im się złapać człowieka, którego od dawna mozolnie poszukiwali. Ich celem był

Ovidio Guzmán López, współkierujący kartelem Sinaloa pod nieobecność swojego słynnego ojca Joaquína „El Chapo” Guzmána.

Teoretycznie meksykańscy stróże prawa mogli się czuć bezpiecznie – 30 funkcjonariuszy dysponuje przecież niebagatelną siłą ognia. Sęk w tym, że w stolicy Sinaloa taka siła niewiele znaczy. Dom, w którym doszło do zatrzymania, momentalnie otoczyli „żołnierze” kartelu i zażądali wydania im szefa. Dla wzmocnienia siły argumentów pokazali ośmiu policjantów, których udało im się pojmać. Nie sposób ustalić, ilu dokładnie bandytów próbowało odbić młodego Guzmána, ale wiadomo, że mieli nad stróżami prawa miażdżącą przewagę. Ci w końcu ulegli szantażowi i – sami bojąc się o swoje życie – wycofali się z zajętego domu, oddając kartelowi Ovidio Guzmána Lópeza.

W ciągu następnych godzin w mieście rozpoczęła się regularna bitwa pomiędzy ściganymi na miejsce policjantami i żołnierzami a kartelem Sinaloa, który zmobilizował wszystkie swoje siły.

Szybko stało się jasne, że władze straciły kontrolę nad sytuacją i Culiacán należy do bandytów. Jakby dla podkreślenia tego faktu „żołnierze” kartelu ostrzelali najważniejsze budynki władz. Szczególnie mocno ucierpiała siedziba prokuratury. Walki przeciągnęły się do późnych godzin nocnych. Bitwa pochłonęła co najmniej osiem ofiar śmiertelnych, a 21 osób zostało rannych.

KAPITULACJA PAŃSTWA

Kiedy następnego dnia oburzeni tym popisem bezsilności władz Meksykanie żądali wyjaśnień, ich prezydent (o lewicowych sympatiach) nie zdecydował się na pokaz siły.

„Popieram podjęte wówczas decyzje, ponieważ sytuacja stała się bardzo zła. Bardzo wielu obywateli było zagrożonych, więc zadecydowano, by chronić życie tych ludzi” – powiedział Andrés Manuel López Obrador, znany też jako Amlo. „Nie można stawiać życia kryminalisty wyżej od życia innych ludzi. Ta decyzja została podjęta po to, by bronić obywateli. Nie można gasić ognia ogniem. Nie chcemy więcej śmierci. Nie chcemy wojny” – szczególnie te ostatnie słowa brzmiały w ustach prezydenta Meksyku niemal jak akt kapitulacji. To dojmujące wrażenie spotęgował minister obrony Meksyku, który przyznał, że operacja była beznadziejnie zaplanowana. Z kolei adwokat rodziny Guzmán potwierdził, że syn El Chapo jest cały i zdrowy, a prezydent zachował się „jak człowiek i jak chrześcijanin”...

„Rząd musiał zaakceptować to, że kartel kontroluje miasto, i podjął decyzję o niewchodzeniu mu w drogę” – powiedział w rozmowie z „New York Timesem” Raul Benítez, ekspert ds. bezpieczeństwa z Narodowego Uniwersytetu Autonomicznego Meksyku. I dodał: „Prezydent wysłał tym samym bardzo trudną wiadomość do mieszkańców Culiacán: »To kartel sprawuje u was rządy«”. Trudno się dziwić, że postawa głowy państwa spotkała się z lawiną krytyki – Obrador jako kandydat obiecywał bowiem przede wszystkim dwie rzeczy: wypalenie gorącym żelazem plagi korupcji i właśnie bezpardonową walkę z kartelami narkotykowymi, przez które Meksyk stał się jednym z najmniej bezpiecznych państw na świecie. Tylko w pierwszej połowie tego roku zamordowanych zostało w tym kraju ponad 17 tys. osób, co daje niemal 100 morderstw dziennie. Wszystko wska-

zuje na to, że ten rok będzie pod tym względem najgorszy, odkąd 20 lat temu Meksyk zaczął prowadzić ogólnokrajowe statystyki morderstw. Tym samym nie widać końca wielkiej wojny z kartelami, którą władze Meksyku oficjalnie ogłosiły w 2006 r., wysyłając do walki z narkomafią wojsko.

Tę strategię zakwestionował jednak prezydent Obrador, twierdząc, że obecność armii na ulicach sprawia, iż konflikt staje się jeszcze „gorętszy”. Jego odpowiedzią było stworzenie zupełnie nowej formacji – Gwardii Narodowej, która miała się skupić głównie na tym jednym zadaniu. Tymczasem w praktyce okazało się, że jej siły zostały rozproszone, ponieważ równocześnie GN – na żądanie USA – zajmuje się też powstrzymywaniem migrantów przed nielegalnym przekraczaniem północnej granicy.

Pod względem skali walk uliczna bitwa w Culiacán była wprawdzie wydarzeniem bezprecedensowym, ale tak wysoka liczba ofiar to niemal chleb powszedni dla Meksykanów. Nie dalej jak tydzień wcześniej w zasadzce w stanie Michoacán zabitych zostało 13 policjantów. Konwój, w którym jechali, został dosłownie rozstrzelany przez ok. 30 „żołnierzy” kartelu Jalisco Nueva Generación. To właśnie ta organizacja przestępcza wyrasta na głównego rywala kartelu z Sinaloa, który wciąż jest największym dostawcą narkotyków do USA. Jalisco Nueva Generación bije jednak wszelkie rekordy bestialstwa – egzekutorzy tego kartelu wsławili się m.in. wycinaniem serc swoim ofiarom.

„To rejon pełen przemocy i my będziemy kontynuowali politykę eliminowania przyczyn, które stoją za tym rozpadem społecznym” – powiedział prezydent Obrador po zabójstwie 13 policjantów. Krytycy zarzucają mu jednak, że choć jego wizja zakłada dalekosiężną strategię eliminowania biedy, która ma pomóc w zwalczeniu wpływów karteli, to jednak brak w niej konkretnych pomysłów na wzmocnienie bezpieczeństwa w krótszej perspektywie.

„NIETYKALNY”

Odkąd w 2016 r. słynny El Chapo po raz kolejny trafił za kratki (tym razem wszystko wskazuje na to, że na dobre), kartelem zarządzają jego synowie, w tym m.in. właśnie Ovidio Guzmán López. Słynny boss Sinaloa odsiaduje w USA zasądzoną mu w lipcu karę dożywocia.

Jak przyznały meksykańskie władze, finałem akcji pojmowania młodego Guzmána miało być przekazanie go do Stanów Zjednoczonych, które ścigają wszystkich czterech synów El Chapo.

To właśnie synowie pomogli mu uciec w 2015 r. z pilnie strzeżonego więzienia w Almoloya de Juárez. El Chapo, znany też pod przydomkiem Nietykalny, przysnął wtedy na wolność przez 1,5-kilometrowy tunel. Była to już jego druga ucieczka. Boss Sinaloa pierwszy raz został ujęty w 1993 r. Przez kolejne osiem lat kierował kartelem zza krat. Kiedy w 2001 r. meksykański rząd ogłosił, że więzień numer jeden Meksyku zostanie przekazany do USA, El Chapo był na taką okoliczność świetnie przygotowany – dzień później uciekł z więzienia. Śledztwo wykazało, że pomogło mu w tym 15 strażników... W 2003 r., po aresztowaniu rywalizującego z nim szefa kartelu z Zatoki, Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych uznał El Chapo za „najpotężniejszego handlarza narkotyków na świecie”.

Amerykanom bardzo zależało na dopadnięciu Nietykalnego, ale meksykańskie władze długo nie potrafiły ponownie ująć Guzmána. On budował potęgę swojego kartelu, a także swoją własną legendę, m.in. płacąc meksykańskim zespołom ludowym, by opiewały go w pieśniach, a także produkując i kolportując za darmo koszulki ze swoją podobizną. Najgorszym policzkiem dla meksykańskich władz było spotkanie El Chapo z amerykańskim aktorem Seanem Pennem, do którego doszło w październiku 2015 r., po drugiej ucieczce z więzienia. Owocem rozmowy był wywiad, który ukazał się w magazynie „Rolling Stone”. Cały kraj zadawał sobie wtedy pytanie: Jakim cudem meksykańskie służby mogły to przegapić?

Rok później w końcu udało się Meksykanom pojąć El Chapo – policja złapała go ukrywającego się w kanale ściekowym. Odkąd trafił do USA, jego szanse na ucieczkę są bliskie zeru, ale – znając wpływy i pomysłowość ludzi z kartelu Sinaloa – niczego nie można wykluczyć. Wraz z dożywociem dla Nietykalnego amerykański sąd orzekł także przepadek jego mienia o wartości 12,6 mld dol., ale bez wątplenia jego rodzina nie za bardzo przez to zbieдняła. Jak pokazała to bitwa o Culiacán, klan El Chapo to wciąż potęga, która potrafi rzucić na kolana całe wielkie państwo.



**Ze Steve'em Bannonem,
byłym głównym
strategiem Białego Domu
i doradcą prezydenta
Donalda Trumpa**



rozmawia Marcin Makowski

W piątek 18 października w Nowym Jorku odbyła się prapremiera kanadyjskiego filmu „Kły czerwonego smoka”. Produkcja oparta na faktach opowiada o aresztowaniu Meng Wanzhou, dyrektor finansowej i dyrektor wykonawczej chińskiej firmy Huawei, do którego doszło 1 grudnia 2018 r. w Kanadzie. Odbyło się ono na wniosek USA, oskarżających Wanzhou o malwersacje finansowe oraz współpracę z objętym sankcjami Iranem. Gdy 28 stycznia 2019 r. Departament Sprawiedliwości USA potwierdził swoje zarzuty i zawnioskował o ekstradycję, wybuchł międzynarodowy skandal i nastąpiła ostra reakcja Chin, które oskarżyły o szpiegostwo dwóch Kanadyjczyków, jednego zaocznie skazując na śmierć. Obecnie Meng Wanzhou odsiaduje wyrok aresztu domowego w Vancouver w Kanadzie – jej ekstradycja jest elementem sporu politycznego na linii Kanada–USA.

„Do Rzeczy” było na premierze tego dokumentu, który promuje były główny strateg Białego Domu oraz doradca Donalda Trumpa – Steve Bannon. Jego zdaniem Stany Zjednoczone nie mają dzisiaj poważniejszego wyzwania niż podjęcie technologicznej i gospodarczej rękawicy rzuconej przez Chiny. Jak przekonuje w ekskluzywnym wywiadzie udzielonym naszemu tygodnikowi, to „element wojny informacyjnej” prowadzonej przez Chińczyków ze światem Zachodu. Jego zdaniem korporacje takie jak Huawei stanowią rodzaj technologicznego konia trojańskiego, który uzależnia od siebie mniejsze państwa, ostatecznie przejmując kontrolę nad wrażliwą infrastrukturą telekomunikacyjną.

Bannon dodaje również, że Polska jako państwo, które podatne jest na wpływy chińskie (projekt „Jednego pasa i jednej drogi”), musi wybierać między komunizmami a demokracją za Atlantykiem. Równocześnie zwraca uwagę na współpracę z Amerykanami właśnie na polu bezpieczeństwa technologii 5G. Otwarte pozostaje pytanie: Czy Ameryka sama stosuje standardy, o które apeluje do mniejszych państw?

FOT. LINGEMANN/WET/ULLSTEIN BLD/GETTY IMAGES

MARCIN MAKOWSKI: Czy Chiny są dziś największym globalnym zagrożeniem dla hegemonii USA?

STEVE BANNON: Zagrożeniem dla USA jest przede wszystkim Komunistyczna Partia Chin, ale nie Chińczycy, którzy są uczciwymi i najciężiej pracującymi ludźmi na świecie. To widać choćby na ulicach Hongkongu, gdy walczą ze sobą wolnorynkowy kapitalizm i totalitarna, merkantylistyczna dyktatura.

W jakim kierunku zmierza ten konflikt? Rozpoczęło się od sprzeciwu wobec ekstradycji do Chin. Kończy czymś więcej?

które doprowadzą do globalnego konfliktu, czy początkiem procesu, który zakończy się upadkiem komunizmu w Chinach. Na pewno ten system nie może trwać wiecznie, bo jest po części wolny, a po części niewolniczy i wymaga ogromnych zasobów, aby był utrzymany w ryzach.

Czyli to spór Chin z resztą świata?

Oczywiście, że nie. To konflikt cywilizacyjno-ekonomiczny między Chinami, Iranem czy Turcją – czyli konsolidacją Eurazji pod jarzmem dyktatur w kontrze do państw demokratycznych –

To nie demonizowanie, tylko racjonalna ocena rzeczywistości. Huawei to fundament podpierający globalną ekspansję Chin. Musimy to sobie powiedzieć jasno: czy to się komuś podoba, czy nie, jesteśmy już na etapie wojny ekonomicznej, która ma swój komponent handlowy, technologiczny i rynkowo-kapitałowy. Huawei zdominował część technologiczną, siłowo przejmując infrastrukturę telekomunikacyjną w rozwijających się gospodarkach. Projekty Pekinu, takie jak „Jeden pas i jedna droga” czy „Made in China 2025”, to wszystko pasy startowe dla rozwoju Huawei, który ma być oczami i uszami tamtejszych komunistów.

Czy w Białym Domu dostrzega się zagrożenie?

Gdy prezydent Donald Trump wygrał wybory w 2016 r., amerykańska administracja pełna była ludzi odwracających wzrok, kolaborujących albo bagatelizujących problem handlowej kolonizacji świata przez Państwo Środka. Trzy lata później mamy już kompleksowe i zachowawcze podejście rządu do relacji z Chinami oraz sposób odpowiedzi na ekonomiczną i informacyjną wojnę propagandową, którą prowadzą przeciw USA. Od departamentu handlu, który wciąga na listę sankcji nowe chińskie firmy zajmujące się szpiegostwem, do departamentu sprawiedliwości, który prowadzi sprawy o kradzież własności intelektualnej przez Huawei.

Z jednej strony kompleksowe, z drugiej amerykańscy giganci, tacy jak NBA czy Disney, nie mają problemu z wchodzeniem na chiński rynek. Do tego stopnia ulegając cenzurze, że tweet menedżera jednej z drużyn wspierający protestujących w Hongkongu spowodował trwające po dziś dzień reperkusje.

To prawda, tę hipokryzję świetnie sportretowano jednym z najnowszych

Polska musi wybrać

Jeśli kiedykolwiek mieliście złą opinię na temat millennialów, to spójrzcie właśnie na Hongkong. Te dzieciaki przypominają amerykańskie ruchy patriotyczne z XVIII w., rzucając rękawicę Goliatowi. Jestem przekonany, że żyjemy w historycznych czasach, a przez następne stulecia ludzie będą się odnosić do tego, co się wydarzy przez kolejnych 10–15 lat. Świat stoi obecnie na rozdrożu i jeszcze nie wiadomo, w którym kierunku skreśli. Może Hongkong będzie Sarajewem z 1914 r., a może Berlinem z 1989 r. Początkiem ciągu wydarzeń,

Japonii, Korei, Tajwanu, Filipin, Indii, Izraela, Europy Zachodniej, Kanady, Ameryki, Brazylii i części Ameryki Południowej. Mam nadzieję, że pewnego dnia również Rosji, zjednoczonej przeciw autorytaryzmowi.

Dlaczego w kontekście zagrożeń płynących z Państwa Środka tak często zwraca pan ostatnio uwagę na technologicznego giganta – firmę Huawei? Można wręcz odnieść wrażenie, że ją pan demonizuje, traktując jak konia trojańskiego wpuszczanego na zagraniczne rynki.

REKLAMA

Już w sprzedaży!

BIOGRAFIA I TEKSTY IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO
W OPACOWANIU NAUKOWYM SŁAWOMIRA CENCKIEWICZA

Zapraszamy do księgarni IPN i punktów sprzedaży w całej Polsce

Jeden jest tylko sposób, aby zmusić naród polski do wyrzeczenia się wolności czy ziemi – wytępić cały naród.

Ignacy Matuszewski
Wola Polski, 1941 r.

Patronat medialny

Mecenas wydania

Wydawcy

■ odcinków serialu „South Park”. Popkultura często podskórnym lepiej czuje, do czego prowadzą relacje z centralnie sterowanymi państwami, które gwałcą wolność słowa. Nasi twórcy – w zamian za wejście na tamtejszy rynek – potrafią się posuwać do najgorszych kompromisów. Niestety, nie mamy dobrych platform do kontrolowania treści, nadal nie mówi się głośno o zagrożeniu ze strony chińskiej, ale powoli przebijamy się do masowej świadomości. Właśnie dlatego Donald Trump jest prezydentem. Ameryka zaczęła się cofać i gospodarczo podupadać. Fabryki i praca zaczęły się zwinąć do Azji, na to

złego w budowie centrum handlowego, autostrady czy mostu?

No właśnie, co?

Fakt, że to się nigdy nie kończy na drodze i moście. Z czasem Chińczycy naciskają na zakup infrastruktury telekomunikacyjnej, telefonów, sprzętu elektronicznego, który ma wbudowane na twardo „wyłączniki”, pozwalające zdalnie odcinać np. całe sieci modemów. Wystarczy poczytać książki pisane przez chińskich generałów w latach 90., kiedy jeszcze specjalnie ze swoimi aspiracjami się nie kryli. Nikt tam nie myśli o kon-

nich demokracji, które w czasach kryzysu nie mogą się uzależniać od siły roboczej z Azji i efektu domina w postaci wielkich projektów, takich jak tzw. nowy jedwabny szlak. Tego musimy dzisiaj unikać jak ognia. Chińska wersja globalizmu – czyli eksportu produkcji do Azji – to klęska USA i Zachodu.

Tylko gdzie ten rygoryzm „albo-albo” się kończy? Dlaczego Polska nie może handlować z Chinami w przestrzeni, która nie budzi kontrowersji?

Pod tym względem jestem jastrzębiem i radykałem – to się nigdzie nie kończy, bo nie powinno się zacząć. Z komunistami nie robi się interesów.

Jako Polacy instynktownie wiecie, jak smakuje podległość, dlatego powinniście mieć te same sygnały ostrzegawcze w przypadku współpracy z Pekinem

miejsce – przy strachu, bezrobociu i braku perspektyw – przyszła plaga narkotyków. Nie trzeba tutaj wielkich intelektualnych wygibasów, które czynią niektórzy mądrale z Nowego Jorku mówiący: „Musimy debatować z Chińczykami, to nasi partnerzy biznesowi”. Na dłuższą metę takie relacje zawsze są dla nas wyniszczające. Koszykarze odczuli je na własnej skórze.

W Polsce Huawei podkreśla swoją obecność, wielu celebrytów reklamuje jego telefony. Współdziałamy jednak z USA w dziedzinie bezpieczeństwa technologii 5G, a w Warszawie został aresztowany szef PR Huawei. Stąd oczywiste z perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej pytanie: Czy w konflikcie, o którym pan mówi, jest miejsce na państwa lawirujące między Chinami a USA?

To niemożliwe, nie ma „państw pośrednich”. Polska musi wybrać: albo współpraca z Ameryką, albo z Chinami. Jeśli bierzecie ich pieniądze, to zapraszacie ich do środka własnego państwa. Przecież to samo stało się w Afryce, zdominowanej przez chiński kapitał. Komuniści przyjmują zmodyfikowaną strategię Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Uzależniają od siebie lokalne elity, wkraczają na terytorium państwa infrastrukturalnie i kapitałowo, pożyczają pieniądze, a później powoli na różnych obszarach przejmują kontrolę. Polska po prostu musi zdecydować. Chiny nie tolerują niezależności, Hongkong się o tym przekonuje. Oczywiście to wszystko nie od razu wygląda tak złowieszczo. W końcu co jest

wencjonalnej i gorącej wojnie z Zachodem. Ta wojna ma być wygrana przez czas, demografię i przewagę technologiczną w postaci centralnego sterowania państwem i jego zasobami. Dlaczego Chińczycy tak bardzo interesują się kluczową infrastrukturą, chcą budować lotniska?

Ponieważ mają doświadczenie na tym obszarze z kraju, ale zapewne również ze względów wywiadowczych.

Owszem, to jest jak nauka planów najcenniejszych zasobów potencjalnego wroga, nawet jeśli jest chwilowym i taktycznym sojusznikiem. Musimy bowiem pamiętać, że Chiny to idealny partner dla dyktatur, autorytaryzmów, państw Trzeciego Świata. One nie zwracają uwagi na to, z kim handlują, dopóty, dopóki mogą to robić i uzależniać je od siebie. Cofnijmy się na chwilę do dwóch przemówień, które wygłoszono w styczniu 2017 r. Najpierw 17 stycznia na Forum Ekonomicznym w Davos przemawiał prezydent Xi Jinping, a jego słowa były cytowane w największych mediach biznesowych świata. Mówił o przyszłości, którą jest globalizm, i że nie należy go skreślać. O zagrożeniu niesionym przez nacjonalizmy i populizmy, które żerują na niewykształconych masach. Trzy dni później Donald Trump, już jako prezydent, wygłosił swoje słynne przemówienie o „spustoszeniu Ameryki” przez narastającą falę przemocy, odpływu pracy i korupcji. To była de facto obrona podstaw zachod-

Tymczasem cały świat je robi, na czele z Ameryką. Dlaczego Polska ma być „świeższa od Trumpa”?

I tutaj leży sedno problemu, którego rozwiązanie polega na zastosowaniu koncepcji odseparowania się ekonomicznego od Chin. Prościej nie umiem tego ująć. I ta uwaga dotyczy każdego państwa, nie tylko Polski. Jeśli bierzesz ich pieniądze, to prędzej czy później tamtejsza partia będzie cię chciała kontrolować. Huawei pod przykrywką ładnych telefonów i taniego sprzętu działa jak koń trojański Komunistycznej Partii Chin. Ten stan rzeczy się nie zmieni dopóty, dopóki państwo nie będzie od niej wolne. To nie są biznesmeni, tylko kryminaliści i gangsterzy. Tak jak Hitler czy Stalin. Polacy potrafili opierać się najeźdźcom i dyktaturom przez setki lat. Instynktownie wiecie, jak smakuje podległość, dlatego powinniście mieć te same sygnały ostrzegawcze w przypadku współpracy z Pekinem.

Mimo wszystko to nie brzmi wiarygodnie, gdy nagrywam naszą rozmowę telefonem, na którego obudowie jest napisane, owszem: „Zaprojektowany w Kalifornii”, ale już poniżej dodane: „Wyprodukowany w Chinach”...

Może musi pan zmienić telefon? Ja bym tak zrobił. I to jest dzisiaj również nasza rola, aby dać przykład i nazywać rzeczy po imieniu. Ameryka stara się teraz z jednej strony cywilizować relację z Chinami, a z drugiej strony walczyć z nimi ekonomicznie, odpowiadając choćby na spekulacje walutowe. Amerykańska klasa polityczna, mimo ogromnej polaryzacji, wreszcie wydaje się jednoczyć wokół idei walki z chińską dominacją ekonomiczną. Oby to był początek spadania kłapek z oczu. Dopóki w Pekinie będą rządzić dyktatorzy, dopóty zagrożenie nie przestanie być realne.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

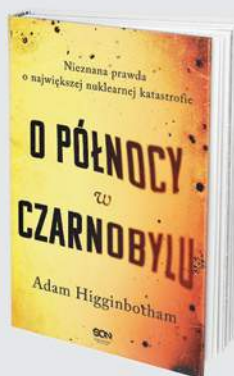
PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIAŻKA

ADAM HIGGINBOTHAM
„O PÓŁNOCY
W CZARNOBYLU”

~~629~~ zł



241,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
388 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Pierwsze efekty tzw. unijnej dyrektywy PSD2 o usługach płatniczych są już zapewne znane niemal wszystkim dorosłym Polakom korzystającym z bankowości elektronicznej. Konieczność wprowadzenia przy logowaniu dodatkowego hasła wysyłanego SMS-em powoduje pewne komplikacje, lecz w powszechnym odbiorze uchodzi za rozwiązanie zwiększające bezpieczeństwo transakcji. Najważniejsza część zmian związanych z PSD2 jest jednak wciąż dopiero przed nami i to one mogą już za kilka lat znacząco zmienić nie tylko bankowość, lecz także nasze życie prywatne.

CICHA REWOLUCJA

Wspomniana dyrektywa została przyjęta przez Parlament Europejski już w październiku 2015 r., lecz ze względu na charakter zmian, które ustanawia, zdecydowano się przesunąć wprowadzenie jej w życie o kilka lat. Ogół przyjętych modyfikacji stanowi swego rodzaju rewolucję w dziedzinie bankowości detalicznej. Można ją przyrównać do tzw. liberalizacji rynku energetycznego, w ramach której klienci indywidualni mogą sami wybierać sprzedawcę energii elektrycznej od regionalnego dystrybutora. Analogicznie nowa unijna dyrektywa przewiduje, że banki komercyjne utracą „monopol” w zakresie świadczonych usług – nadal będą „dystrybutorami” bankowości, prowadząc nasze konta i oferując kredyty, lecz będą musiały

zapewnić dostęp do naszych rachunków licencjonowanym podmiotom zewnętrznym. Podmiotami tymi będą mogli być zewnętrzni operatorzy i banki, którzy dzięki PSD2 uzyskają dostęp do całej historii naszych płatności oraz będą mogli inicjować płatności, finalizowane później przez nasz bank.

Oficjalnie celem wprowadzenia dyrektywy PSD2 jest zwiększenie bezpieczeństwa transakcji, sprzyjanie rozwojowi nowych technologii płatniczych oraz obniżenie kosztów transakcji. Unii Euro-

pejskiej bardzo zależy także na wprowadzeniu jednolitego rynku płatności, gdyż wiąże się to z politycznymi dążeniami do jak najściślejszej integracji gospodarczej kontynentu. Ustanowienie tzw. otwartej bankowości niesie jednak ze sobą także bardzo niepokojące zjawiska, które będą towarzyszyły działalności tzw. TPP (Third Party Provider), czyli niezależnych dostawców.

W zamyśle pomysłodawców dyrektywy PSD2 nowi dostawcy usług bankowo-finansowych mają nam znacząco ułatwić

Orwell w twoim portfelu



Jakub Wozinski

Nowa unijna dyrektywa bankowa wiąże się nie tylko ze zmianami w sposobie logowania na bankowe konta. Przynosząc wiele ułatwień, stanowi jednocześnie zagrożenie dla naszej prywatności



życie. Tworzone przez nich specjalne aplikacje będą przypominały swego rodzaju centrum finansowego dowodzenia naszymi domowymi lub firmowymi budżetami. Dzięki nim będzie można uzyskać stały dostęp do kont posiadanych przez nas w różnych bankach, sprawdzić oferty kredytowe, ubezpieczeniowe i wiele innych. Analizując dane z historii naszych wydatków, specjalne algorytmy będą działały w charakterze naszych wirtualnych doradców sugerujących nam skorzystanie z najtańszych ofert na rynku. Zamiast żmudnego przeglądania dziesiątków stron internetowych będziemy mogli szybko i sprawnie skorzystać z wielu usług.

CENĄ NASZA PRYWATNOŚĆ

Ceną niewątpliwie wygody oraz oszczędności związanych z nową rewolucją jest jednak utrata prywatności oraz zgoda na permanentną inwigilację. Twórcy nowych rozwiązań w bankowości nawet nie kryją, że zapisane w historii naszego konta płatności będą służyły jako materiał do nieustannej analizy zwyczajów i praktyk konsumenckich. Już dziś dostępne są programy analizujące naszą zdolność kredytową na podstawie historii płaconych rachunków oraz otrzymywanych wynagrodzeń. O ile do tej pory mogliśmy teoretycznie liczyć na to, że informacje o nas były rozproszone np. dlatego, że korzystaliśmy z kilku różnych kont bankowych, o tyle nowe rozwiązania będą umożliwiały gromadzenie naszych wrażliwych danych w niebezpieczny sposób w jednym miejscu.

W świetle założeń twórców PSD2 swego rodzaju odpowiedzią na te zastrzeżenia jest przekonanie, że nowa dyrektywa pomoże w wykształceniu się zupełnie nowych, niezależnych dostawców, którzy odbiorą bankom sporą część rynku. W Polsce mają nimi być dodatkowo tzw. małe instytucje płatnicze (MIP) udostępniające swoim klientom płatności mobilne, rachunki płatnicze oraz obsługujące transakcje do 1,5 mln euro w skali miesiąca. W ten sposób na rynek będą mogły wejść nawet zupełnie nowe, małe start-upy, które oferując dobry produkt, będą miały szansę rzucić wyzwanie wielkim podmiotom.

Istnieją jednak powody, aby wątpić w to, czy tego rodzaju scenariusz zostanie zrealizowany. Teoretycznie nowa dyrektywa stwarza sporą szansę dla nowych graczy, lecz „starzy

wyjadacze” z pewnością nie zamierzają łatwo oddawać pola. Przez ostatnie kilka lat wiodące banki w Polsce i Europie prowadziły intensywne prace nad stworzeniem własnych aplikacji, umożliwiających im zachowanie dotychczasowej pozycji na rynku.

To, jak może wyglądać wkrótce sytuacja po bankowej rewolucji, ukazuje dobrze przykład Wielkiej Brytanii, która jako pierwsze państwo zdecydowała się wprowadzić zmiany analogiczne do PSD2 (zostały wdrożone już w styczniu 2018 r.). Tamtejszy urząd ds. konkurencji i rynków nakazał największym dziewięciu bankom udzielenie licencjonowanym start-upom dostępu do posiadanych przez siebie danych głównie po to, aby obniżyć koszty i ułatwić proces pozyskiwania kredytów dla małych i średnich przedsiębiorców. Chociaż dzięki tej zmianie na rynku pojawiło się już wiele nowych, wcześniej nikomu nieznanych operatorów (np. Volt, Klarna), to swoje własne platformy uruchomili także wielcy gracze świata bankowości. Obecnie mobilne aplikacje brytyjskich bankowych gigantów przejmują coraz większą część rynku.

ŁAKOMY KĄSEK DLA WIELKICH

Unijni prawodawcy nie przewidzieli jednak do końca tego, że bodajże największym beneficjentem bankowej rewolucji mogą być amerykańscy liderzy rynku IT, czyli Facebook, Google, Apple, Microsoft czy Amazon. Ogromna liczba użytkowników czyni z nich potencjalnie idealnych operatorów naszych bankowych kont. Konta na portalach społecznościowych oraz systemy operacyjne urządzeń mobilnych stanowią potężną kopalnię informacji o nas, co w połączeniu z historią płatności z naszych bankowych kont dawałoby gigantom branży IT wielką przewagę nad konkurencją. Facebook już od dłuższego czasu nosi się z zamiarem wprowadzenia własnej wirtualnej waluty Libra, dlatego wejście na europejski rynek bankowy po rewolucji PSD2 nie powinno raczej stanowić dla niego problemu.

Niewykluczone, że zapowiadane dziś przez wielu ekspertów zmiany związane z nową dyrektywą nie okażą się na tyle głębokie, jak się najczęściej uważa. Ostatecznie powodzenie całej rewolucji wymaga powszechnego społecznego entuzjazmu wobec nowych narzędzi informatycznych. Przyjęcie się nowych

aplikacji, ułatwiających sterowanie naszymi finansami, może napotykać pewne ograniczenia. Wynika to choćby z faktu, że dyrektywa PSD2 to niewątpliwie krok na drodze do pełnej eliminacji gotówki. W przeciwieństwie chociażby do Szwecji, gdzie gotówka odpowiada jedynie za 1 proc. wartości transakcji, w Polsce społeczeństwo zachowuje wciąż zdrowy dystans do pełnej digitalizacji systemu płatności i raczej nieprędko zmieni swoje nawyki.

Zmiany związane z dyrektywą PSD2 z pewnością zaczęną być jednak kiedyś odczuwalne. Analogicznie przebiegał w Polsce proces przyzwyczajania się do bankowości elektronicznej. Uruchomiona w 1998 r., zyskała początkowo akceptację niewielu użytkowników (głównie przez słaby dostęp do Internetu), lecz w ciągu ostatnich lat stała się czymś absolutnie powszechnym. Najszybciej z nowej rewolucji skorzystają bez wątpienia ludzie młodzi, którzy tradycyjnie najchętniej posługują się nowymi technologiami.

Wprowadzone przez Unię Europejską zmiany w bankowości zostały umiejętnie opakowane jako krok generujący oszczędności, zapewniający większe bezpieczeństwo, pozwalający na ściślejszą integrację oraz idący z duchem nowych technologii. Tak naprawdę jednak najważniejszym skutkiem PSD2 może być stworzenie potencjalnie niebezpiecznej sytuacji, w której potężne podmioty, które tak jak Facebook czy Google już dziś nie grzeszą wysokimi standardami poszanowania wolności słowa, będą mogły gromadzić bardzo wiele wrażliwych informacji o nas. Istnieje ryzyko, że w nowym świecie, stworzonym w wyniku narzuconych regulacji, będziemy niejako prowadzeni przez komputerowe algorytmy za rękę na internetowe zakupy i nieustannie analizowani w celu optymalizacji kosztów. Każda zaś nasza płatność będzie podstawą do wyliczeń i kategoryzacji służących do oceny naszego statusu majątkowego i zdolności kredytowej.

Dzięki temu uzyskamy na pewno wiele oszczędności i czasu, lecz ukrytym kosztem będzie permanentny nadzór. To, co robimy z zawartością naszego portfela, było zawsze pilnie strzeżoną tajemnicą. Nadchodzą czasy, gdy wiedza o naszym osobistym budżecie w imię efektywności stanie się de facto dobrem publicznym.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Pacjencie, lecz się sam

Nie wiem, czy aż o 12 proc. pogorszył się w ciągu ostatniego roku poziom opieki w polskiej publicznej służbie zdrowia – pewnie nie, wszelako równo o tyle – o 12 proc. – więcej pieniędzy Polacy wydali w pierwszej połowie 2019 r. na prywatne polisy zdrowotne, w porównaniu z pierwszą połową 2018 r. – podała „Rzeczpospolita”. A przecież nie wydawaliby ich, gdyby czuli się bezpiecznie i mogli polegać na publicznej służbie zdrowia, za którą też słono płacą (z wyjątkiem i pod tym względem uprzywilejowanych rolników, którzy uiszczają mikroskopijne składki, a dostęp do służby zdrowia mają taki sam jak płacący wysokie).

W dodatku liczba ubezpieczonych prywatnie, czyli dodatkowo od tego, za co i tak płacą, będąc zmuszonymi uiszczać składki na publiczną służbę zdrowia, wzrosła w tym czasie aż o 20 proc. A to oznacza, że już ponad 2,7 mln Polaków do cna nie ufa publicznej służbie zdrowia – nie jest to jeszcze 10 proc. wszystkich żyjących w Polsce Polaków, ale coraz bardziej się do tego poziomu zbliża. Czy może to dziwić, skoro – jak wynika z raportu Fundacji Watch Health Care – średni czas oczekiwania na gwarantowane świadczenia zdrowotne w 2019 r. przekroczył 4 miesiące – dwa razy dłużej niż w chwili startu badań w 2012 r.?

Zresztą i bez tych poruszających danych ci, którzy wykupili prywatne polisy zdrowotne, na własnej skórze

doświadczają, jak szybko przybywa współkorzystających z tej formy opieki zdrowotnej. A doświadczają, padając ofiarami coraz większego tłoku w prywatnych przychodniach i szpitalach. Wskutek niewydolności publicznej służby zdrowia i tam bowiem szybko rosną kolejki do lekarzy i coraz trudniej umówić się na wizytę.

I w dodatku nie widać żadnej partii, która miałyby systemowy pomysł na poradzenie sobie z zapaścią w służbie zdrowia. W tym – na powstrzymanie procesu zawieszania i zamykania oddziału szpitalnego za oddziałem (niedawno zamknięto aż dziewięć sal operacyjnych w największym szpitalu w Polsce – przy ul. Banacha w Warszawie). A także – co się z tym bezpośrednio wiąże – na zahamowanie masowej emigracji lekarzy; od 1989 r. wyjechało ich z Polski już ponad 30 tys., co sprawia, że Polska ma ich najmniej w Europie – 2,4 lekarza na tysiąc mieszkańców, gdy średnia europejska wynosi 3,8.

Ajedynym – niczym zakłacie powtarzanym przez polityków – bon motem jest ten o potrzebie radykalnego zwiększenia wydatków na służbę zdrowia – z obecnych 4,8 proc. do co najmniej 6 proc. PKB. A przecież chyba już nawet dzieci wiedzą, że w tak jak dziś (zde)zorganizowanej publicznej służbie zdrowia, nawet gdyby wydatki na nią wzrosły do 10 proc. PKB, dla pacjentów oznaczałoby to żadną lub w najlepszym przypadku niewielką zmianę na lepsze. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Nowy model Unii

Nasila się spór o przyszłość Unii Europejskiej. Jest kilka osi tego sporu: obyczajowo-kulturowa, polityczno-finansowa, historyczno-religijna i wiele innych.

W sferze obyczajowo-kulturowej z jednej strony mamy dążenie do legalizacji związków homoseksualnych i akceptację adopcji dzieci przez pary homoseksualne, wsparcie finansowe dla organizacji LGBT oraz otwarcie UE na szeroką falę imigracji z odmiennych kulturowo części świata. Po drugiej stronie są zwolennicy tradycyjnego modelu rodziny i pielęgnacji tradycyjnych wartości.

W osi polityczno-finansowej trwa debata nad wzmocnieniem mechanizmów zarządzania na szczeblu unijnym, np. wspólna waluta i budżet, versus utrzymanie silnej roli państw narodowych. Spór historyczno-religijny ogniskuje się na kwestii dużego napływu imigrantów z krajów islamskich w kontrze do europejskich chrześcijańskich wartości. Z jednej strony mamy brukselskie elity oraz partie lewicowo-liberalne, które wspierają liberalizm obyczajowy, osłabienie roli państw narodowych i otwarcie UE na imigrację, z drugiej – narodowe partie prawicowe i konserwatywne mobilizują wyborców wokół tradycyjnych wartości i zatrzymania procesu globalizacji kulturowej, ekonomicznej i politycznej.

W Polsce toczy się debata na temat propozycji zwiększenia roli regionów w zarządzaniu państwem, która wpisuje się w opisany powyżej funda-

mentalny spór o przyszłość Europy. W 2013 r. napisałem artykuł pt. „European Union of Nuts”, w którym opisałem, jak może wyglądać nowy model Unii Europejskiej. W tym modelu UE staje się unią 97 makroregionów określanych w nomenklaturze unijnej jako NUTS 1. W przypadku Polski byłoby to sześć makroregionów: centralny ze stolicą w Łodzi lub Kielcach, południowy ze stolicą w Katowicach lub Krakowie, wschodni ze stolicą w Lublinie, Rzeszowie lub Białymstoku, północno-zachodni ze stolicą prawdopodobnie w Poznaniu, południowo-zachodni ze stolicą chyba we Wrocławiu, północny ze stolicą prawdopodobnie w Gdańsku i województwo mazowieckie ze stolicą w Warszawie.

W każdym makroregionie byłyby powszechne wybory prezydenta, 97 prezydentów makroregionów tworzyłoby zaś Radę UE, która zastąpiłaby obecny Parlament UE. Z grona nowej Rady UE wybierany byłby Zarząd UE (Rada Zarządzająca), który przejąłby obecne funkcje Komisji Europejskiej.

artykuł pokazuje, jakie obszary pozostałyby w sferze polityk narodowych, a które przenieś transferowane na szczebel unijny. Na unijnym szczeblu decyzyjnym nie istniałyby państwa narodowe, a koalicje wspólnych interesów byłyby tworzone przez poszczególne makroregiony.

Jeżeli w sporze o przyszłość UE wygra frakcja liberalna, to opisany tutaj model może zostać wdrożony w życie. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

7 LISTOPADA 2019 GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

WSPÓLORGANIZATORZY:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PROJEKT DOFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MKiDN

PROJEKT ZREALIZOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM
CENTRUM KULTURY

PARTNER STRATEGICZNY



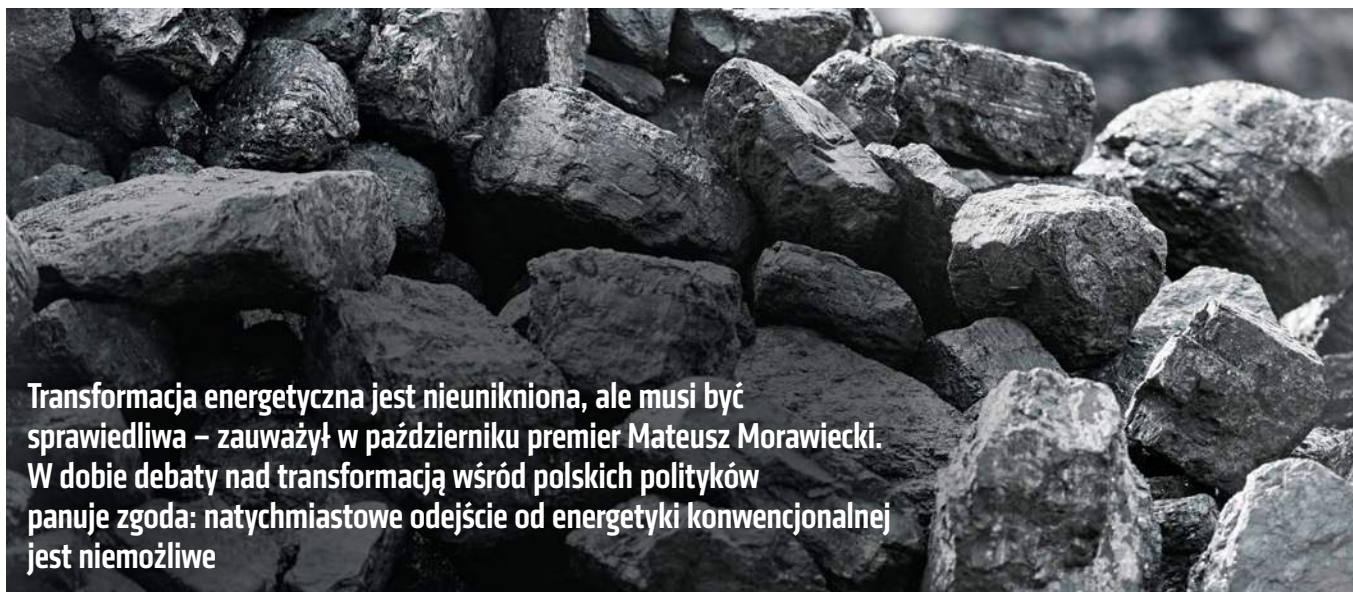
PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



eprasa.pl/6db53a553



FOT. AUBREY STOCK

Transformacja energetyczna jest nieunikniona, ale musi być sprawiedliwa – zauważył w październiku premier Mateusz Morawiecki. W dobie debaty nad transformacją wśród polskich polityków panuje zgoda: natychmiastowe odejście od energetyki konwencjonalnej jest niemożliwe

Czy jesteśmy skazani na import węgla?

Transformacja energetyczna to proces, który potrwa 30, nawet 40 lat – oświadczył w październiku w Brukseli minister finansów, inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, który wystąpił na konferencji Komitetu Regionów PE. We wrześniu w podobnym tonie wypowiedział się wiceminister energii Adam Gawęda. – Transformacja energetyczna to najważniejszy proces, który będzie nam towarzyszył nie przez najbliższe 5 czy 10, ale 30 czy 40 lat – mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

W 2017 r. zużycie węgla kamiennego w Polsce wyniosło według GUS 74,6 mln ton. Z tej liczby prawie 60 proc. surowca wykorzystano w elektrowniach, elektrociepłowniach, kotłach ciepłowniczych i ciepłowniach do wytworzenia energii elektrycznej oraz ciepłej, a kolejne 23,6 proc. w przemyśle i budownictwie, w tym na wsad w koksośniach do produkcji stali. Znaczącym konsumentem węgla były także gospodarstwa domowe (13,7 proc.). – Górnictwo w najbliższym czasie 20–30 lat powinno zapewnić

dostawy głównie do energetyki zawodowej, szeroko rozumianego rynku, a także do odbiorców indywidualnych, wykorzystujących paliwa w tzw. kotłach piątej klasy, czyli czystych kotłach – mówił we wrześniu wiceminister energii Adam Gawęda, cytowany przez portal Biznesalert.pl. W marcu obecnego roku podczas konferencji „Polska energetyka w obliczu innowacji”, zorganizowanej w Krynicy-Zdroju, minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz zauważyła, że 80 proc. krajowego miks energetycznego opiera się na węglu i w tym obszarze polski sektor potrzebuje zmian. – Kierunki tych zmian powinny koncentrować się z jednej strony na lepszym wykorzystaniu węgla, a także na szukaniu alternatywnych źródeł energii – podkreśliła minister Emilewicz.

Według Agencji Rozwoju Przemysłu w pierwszym kwartale 2017 r. produkcja energii elektrycznej z węgla stanowiła 80 proc. ogólnej produkcji energii elektrycznej w Polsce. Biorąc pod uwagę olbrzymi koszt wprowadzania nowo-

czesnych i przyjaznych środowisku technologii produkcji energii, a także fakt, że dzisiejsze technologie OZE nie pozwalają na zbudowanie stabilnych systemów energetycznych, zapewniających dostawy wyłącznie z tego źródła, powinniśmy założyć, że węgiel będzie przez najbliższe dziesięciolecia potrzebny do przeprowadzania zrównoważonej i sprawiedliwej społecznie transformacji energetycznej.

REKORDOWY IMPORT WĘGLA

Po kilku latach względnej stabilizacji wielkości importu węgla utrzymującego się na poziomie 8–10 mln ton rocznie od dwóch lat widzimy jego gwałtowny wzrost. W 2018 r. import węgla kamiennego do Polski wyniósł 19,6 mln ton węgla. Według informacji wiceministra energii Grzegorza Tobiszowskiego, udzielonej w odpowiedzi na interpelację poselską, przede wszystkim był to surowiec z Rosji (13,47 mln ton), ze Stanów Zjednoczonych (1,53 mln ton), z Australii (1,47 mln ton), Kolumbii (1,46 mln ton), Mozambiku (0,55 mln ton), Kazachsta-

nu (0,50 mln ton) oraz Czech (0,36 mln ton). Wiele wskazuje na to, że w tym roku padnie kolejny rekord. Według Eurostatu w I kwartale 2019 r. zagraniczni dostawcy dostarczyli do Polski 4,58 mln ton węgla, czyli o 270 tys. ton więcej niż w tym samym okresie roku ubiegłego.

Warto więc zapytać: Czy Polska – kraj znajdujący się niegdyś w czołówce wydobycia węgla – rzeczywiście musi importować tak duże jego ilości? Według najnowszego raportu „Czy węgiel ma przyszłość?” Instytutu Jagiellońskiego utrzymanie pozycji kraju posiadającego niezależność energetyczną dzięki posiadanym zasobom złóż węgla możliwe jest poprzez optymalną, sprzyjającą temu celowi politykę surowcową oraz politykę koncesyjną.

Jak one wyglądają? Od 1990 r. do 2016 r. wydobycie węgla kamiennego w Polsce spadło o 84,8 mln ton – z poziomu 151,3 mln ton do 66,5 mln ton. W 2018 r. wydobycie spadło do 63 mln ton. To efekt wieloletnich zaniedbań poprzednich rządów w sferze inwestycji w tę gałąź naszej gospodarki. Niski poziom wydobycia jest jednak wciąż powyżej poziomu sprzedaży. Agencja Rozwoju Przemysłu podaje, że w czerwcu 2019 r. kopalnie sprzedały ok. 300 tys. ton węgla mniej, niż wydobuły. Może to mieć związek z trwającym od trzeciego kwartału 2018 r. systematycznym spadkiem cen węgla na światowych rynkach. Mimo spadku wydobycia w polskich kopalniach wzrasta jednak zatrudnienie. Według Agencji Rozwoju Przemysłu w maju 2019 r. w sektorze górnictwa zatrudnionych było 82,8 tys. osób, natomiast w czerwcu już 83,5 tys. Sytuację pogarsza dodatkowo m.in. konieczność sięgania do coraz głębszych złóż, a także sytuacja na rynku pracy, która utrudnia znajdowanie chętnych do pracy w górnictwie. Sytuacji ekonomicznej polskich kopalń nie poprawia także rozbudowany przez lata system przywilejów górniczych. Wszystko to ogranicza możliwości inwestycyjne obecnie działających podmiotów posiadających tak rozbudowaną strukturę, co powoduje dodatkowy spadek konkurencyjności względem importowanego, tańszego surowca.

Nasuwa się zatem pytanie, czy do importu ogromnych ilości tzw. czarnego paliwa przyczynił się jego deficyt na rynku czy też względy ekonomiczne. Niedawna akcja Greenpeace, mająca na

celu zablokowanie statku transportującego węgiel z Mozambiku, spowodowała wznowienie dyskusji o potrzebie zwiększenia wykorzystania tego surowca z rodzimych złóż. Łukasz Schreiber – sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów – stwierdził wówczas, że węgiel sprowadzany jest m.in. z Mozambiku, ponieważ wydobycie takiej ilości z polskich kopalń jest niemożliwe.

Autorzy raportu Instytutu Jagiellońskiego – Andrzej Laskowski i Piotr Stępiński – zauważają, że aby poprawić obecną sytuację w górnictwie, czyli m.in. obniżyć koszty wydobycia, należy wprowadzić do niego nowoczesne technologie eksploatacji, wykorzystania oraz przetwarzania węgla, które obok miejsc pracy w nowoczesnej kopalni prowadzić będą do wzrostu zatrudnienia w firmach okołogórniczych, a także umożliwią znaczne ograniczenie negatywnych skutków oddziaływania na środowisko procesu wydobywania, m.in. ograniczając do minimum powstawanie szkód górniczych, zasolenie wód powierzchniowych czy emisję metanu do atmosfery.

Autorzy raportu sugerują, że takim impulsem mogłoby być wprowadzenie na rynek podmiotów prywatnych, które zwykle niosą ze sobą potencjał innowacyjności. Pozwoliłoby to nie tylko na dostarczenie do branży tak niezbędnych inwestycji, lecz także otwierałoby szansę na wdrożenie wielu innowacyjnych oraz przyjaznych środowisku rozwiązań. Miałoby to ostatecznie wpływ na poprawę rentowności wydobycia rodzimego surowca oraz wzrost poziomu społecznej akceptacji dla budowy nowych kopalń.

INNOWACYJNE KOPALNIE

Proces odchodzenia od węgla powinien w Polsce być ewolucyjny, a nie rewolucyjny.

Wiadomo, że przez co najmniej 20–30 najbliższych lat Polska będzie potrzebować węgla kamiennego do naszych elektrowni, a jeszcze dłużej do produkcji stali, nie wspominając o innych gałęziach przemysłu, które będą stale potrzebować dobrej jakości surowca. W świetle importu taniego lub niskiej jakości węgla polskie górnictwo powinno szukać nowych szans. Jedną z nich może być produkcja wysokiej jakości węgla na rynek opałowy, w tym węgla bezdymnego, czyli paliwa pozba-

wionego w wyniku obróbki termicznej popiołów, dzięki czemu ilość emitowanych zanieczyszczeń podobna jest do spalania gazu ziemnego. Może on skutecznie zastąpić wysokoemisyjne paliwa, zwłaszcza te spalane w domowych piecach. Jego zastosowanie idealnie komponuje się z rządowymi programami wymiany pieców na kotły piątej generacji. Kolejną szansą jest wykorzystanie tego surowca w innych niż energetyka gałęziach gospodarki. Według autorów raportu Instytutu Jagiellońskiego duże szanse rozwojowe stwarzają tu przemysł chemiczny, inżynieria materiałowa, elektromobilność, rolnictwo. Profesor dr hab. inż. Andrzej Jasiński z SGH twierdzi, że w świetle danych o rosnącym imporcie tego surowca (zwłaszcza z kierunku wschodniego) widać, że rynek węgla w Polsce powinien otworzyć się także na inwestycje i inwestorów spoza sektora państwowego. Takie otwarcie wpłynie nie tylko na zwiększenie ilości węgla w naszej gospodarce, lecz także na napływ nowych kapitałów i technologii związanych z jego wydobyciem oraz przetwarzaniem. Za takim podejściem powinna także stać bardziej przyjazna, ale gwarantująca interesy państwa polityka koncesyjna i finansowa.

Uruchomienie wydobycia z nowych złóż – do czego potrzeba jest m.in. koncesja na wydobywanie kopalni wydawana przez Ministerstwo Środowiska – pozwoliłoby w większym stopniu uniezależnić nasz kraj od importu tego surowca spoza Polski. Nowoczesne kopalnie wprowadziłyby innowacyjne technologie i systemy zarządzania, które zwiększają zarówno bezpieczeństwo górników, jak i efektywność wydobycia.

Lepsze niż dotąd sposoby eksploatacji, wzbogacania i wykorzystania węgla mogą zabezpieczyć długofalowe bezpieczeństwo energetyczne i surowcowe Polski. „Rząd powinien ułatwić wdrażanie przodujących technologii w górnictwie poprzez dopuszczanie nowych, innowacyjnych podmiotów do tego sektora oraz stwarzanie zachęt dla ich bezpośredniego i pośredniego finansowania przez instytucje finansowe oraz inne podmioty kontrolowane przez Skarb Państwa” – czytamy w przytaczanym raporcie Instytutu Jagiellońskiego. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby były to podmioty z polskim kapitałem.

Odfutrzenie?



Joanna Bojańczyk

Chociaż od lat z mody próbuje się wypchnąć zwierzęce futra, przemysł trzyma się mocno

Gubernator stanu Kalifornia Gavin Newsom 14 października wydał prawo AB44, które zabrania sprzedaży nowych futer. Chodzi nie tylko o okrycia, lecz także o dodatki: czapki, torby, breloczki, buty. Zakazem objęte są „skóry lub ich części z sierścią, puchem lub włosom” zwierząt takich jak norki, szynszyle, sobole, kojoty, oposy itp. Przewidziana kara grzywny dla łamiących zakaz wynosi 500 dol. (lub 1 tys. dol. w razie wielokrotnego łamania).

Skóry owcze, krowie, jelenie i kozie są dozwolone. Czyli kozuch jest w porządku. Podobnie futro do celów religijnych, np. futrzany kapelusz ortodoksyjnych

Żydów może nadal być w sprzedaży. Także to, co już znajduje się na rynku, może na nim pozostać. Zatem karakułom babci nic nie grozi.

Ponieważ zamożnych ludzi w Kalifornii nie brakuje, podobnie jak czerwonych dywanów, więc zakaz dla niektórych może okazać się dotkliwy. Co wszak gwiazda ma narzucić na ramiona i wieczorową suknię w lutową noc Oscarów?

ANTYFUTRZARSKA KRUCJATA

Radykalizm kalifornijskich ustawodawców specjalnie nie zaskakuje. Zanościło się na to od dawna, akcje antyfutrarskie trwają od lat 80. Do tamtego czasu nikt się noszeniem futer nie oburzał. Zawsze były symbolem statusu. Protest narastał głównie przez organizację PETA (People for the Ethical Treatment of Animals), która zaktywizowała się w latach 90. i po roku 2000. Ostatnio mocno się zradykalizowała. Żąda zakazania nie tylko futer, lecz także jedwabiu, kaszmiru, puchu i pierza (z tymi nie pójdzie chyba tak łatwo, chociaż żądania wpisują się w coraz silniejsze, glo-

balne nastroje proekologiczne). Jak dotąd hodowli zwierząt futerkowych zakazały m.in. Belgia, Norwegia, Niemcy i Czechy. Deklaracje, że prawdziwego futra nie używają w kolekcjach, składają wielkie domy mody: Stella McCartney, Gucci, Versace, Coach, Chanel, Prada, Michael Kors, Giorgio Armani, Tom Ford. Ostatnio do protestu przyłączyła się firma Burberry. Francuski kreator Jean-Paul Gaultier przyznał, że futra są piękne, ale nie będzie ich używał, chyba że tych z recyklingu. Ostatni londyński Fashion Week odbył się całkowicie bez futer. H&M, którego raczej nie kojarzymy z wyfutrzoną lady, deklaruje, że nie używa moheru, czyli sierści króliczej. Niewyjaśniona pozostaje wciąż pozycja Fendi, włoskiego domu mody, który specjalizuje się w haute fourrure – najwyższej półce branży kuśnierskiej. Skóry kupuje na giełdach na Syberii.

Jednak ogólnie sytuacja branży futrzarskiej nie wygląda optymistycznie, przynajmniej tak, jak o tym donoszą media sprzyjające zakazowi. Portal Viva:



Dzisiaj dzikich zwierząt jest coraz mniej, za to mamy samochody z ogrzewanymi siedzeniami, kurtki puchowe oraz zimny bez mrozu. Po co nam prawdziwe futro, skoro sztuczne wygląda tak samo i grzeje tak samo? Odpowiedź – potrzebujemy go dla luksusu, potrzeby ludzkości równie starej jak jej pierwsze włochate pałto.

Mówię to nie z punktu widzenia przeciwnika najstarszego okrycia ludzkości. Osobiście nie jestem ani szczególnie zaciętym wrogiem, ani zwolennikiem futer. Obserwuję ich los jako część procesu historycznego. Nieuchronnie zmierzającego ku rezygnacji z tych, niegdyś przynoszących splendor okryć. Spadkowi zainteresowania futrami sprzyja ocieplenie – gdy piszę te słowa, w październiku termometr wskazuje 20 st. C. Są jednak kraje, w których futra tak łatwo się nie poddają. We Włoszech, najbardziej wyfutrzonym kraju Europy, norki są okryciem tak zwyczajnym jak u nas puchówka, zarówno u starszych pań, które wyszły po zakupy ze swoimi wózekkami, jak i młodych.

KŁĄTWA

W Polsce tradycja elegancji, której składnikiem były futra, została ucięta razem z Jałtą. Przestała istnieć klasa społeczna, która je użytkowała – ta dama z lisem na ramionach, babcia czy prababcia współczesnych, uwieczniona na zdjęciu z lat 30. Inteligencję i mieszczaństwo zniszczono. Zostali prywaciarze i bodylarze, dołożyły się panie niezbyt ciężkich obyczajów. I w ten sposób do dzisiaj na futrze ciąży kłątwa paniusi wystrojonej na niedzielę. „Kiedyś kobieta w futrze była dodatkiem do bogatego mężczyzny – powiedział Jean-Paul Gaultier. – Szczęśliwie te czasy mamy za sobą”.

We wczesnym PRL futro było ustrojowo niepoprawne jako relikwiny sanacyjnego zbytku. W latach 70. w komisach i sklepach futrzarskich pojawiały się rude i srebrne lisy, pierwsze symbole gierkowskiego statusu. Jednak stać na nie było głównie panie trudniące się najstarszym zawodem świata, szybko więc nabrały podejrzanej konotacji. Gdy zapanował młody kapitalizm, lisy przestały wystarczać. Prawdziwa bogata dama, wtedy żona właściciela hurtowni, nosiła norki. Plebs musiał zadowolić się sztucznymi, które na początku lat 90. weszły do mody. Jednak w zasadzie problem futer mało kogo obchodziło. Obok fanatyków wymachujących czerwonym sprayem

w stronę wyfutrzonych dam ludzie przechodzili obojętnie.

FAŁSZYWY ALARM

Wbrew alarmistycznym prognozom PET-y, Vivy oraz innych organizacji obrońcy zwierząt branża futrzarska na świecie ma się nieźle. Według danych Międzynarodowej Federacji Futrzarstwa przemysł ten na świecie zatrudnia ponad milion osób i generuje gigantyczne dochody. Tłumaczy to głównie dobra kondycja rynku chińskiego. Chiny są wszak potentatem w branży.

W Polsce mamy ok. 1,2 tys. ferm futerkowych i branża się rozwija. Cała produkcja jest eksportowana. Najwięcej skór rodzimi hodowcy eksportują do Kanady. W roku 2016 sprzedali 10 mln sztuk. Hodowcy twierdzą, że wojna przeciwko nim toczy się pod płaszczykiem ekologii, pogląd ten popiera wielu ekspertów. Uważają, że raport o tym, co się dzieje w hodowlach zwierząt futerkowych w Polsce, jest zmanipulowany, a informacje w nim zawarte dotyczą pojedynczych, niezrzeszonych hodowców.

– Raport bazuje na emocjach ludzi – powiedział portalowi Money.pl prof. dr hab. Grażyna Jeżewska-Witkowska oraz dr hab. Andrzej Jakubczak z Instytutu Biologicznych Podstaw Produkcji Zwierzęcej Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie.

Doktor Marian Szolucha z Akademii Finansów i Biznesu Vistula dodaje: – Zakazu hodowli zwierząt futerkowych w Polsce chcą trzy grupy – konkurencja, osoby niedoinformowane oraz pseudo-ekolodzy, a dla mnie ekoterrorysty.

Czy rozwiązaniem będą futra sztuczne, które do złudzenia przypominają naturalne? Niezupełnie, bo poliestr z punktu widzenia ekologii to materiał nieprzystający środowisku, pochodna ropy naftowej. I tak źle, i tak niedobrze: futra są okrutne, poliestr rozpyła wokół mikrocząsteczki, bawełna drenuje ziemię z wody. Wizja świata w łapach przemysłu fashion jest niezbyt optymistyczna.

Pocieszeniem mogą być tkaniny, na które przeniosły się wzory dzikich zwierząt, od kiedy futra stały się naganne. Stało się to na początku lat 90. i trwa do dziś, ku zadowoleniu projektantów, którzy czerpią z afrykańskiej fauny. Można mieć jesienkę z lamparta, sukienkę z zebry, balerinki w żyrafę, legginsy w antylopę. Widziałam nawet dziecięcy płaszcz – dalmatyńczyka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Największe futrzarskie domy aukcyjne świata opublikowały aktualne sprawozdania finansowe. Ich wyniki są jednoznaczne. Spadek popytu na futra przyspiesza w zawrotnym tempie, a wraz z nim opłacalność produkcji. I nie zanoszą się na zmianę tego trendu”. W Polsce nie ma specjalnie bojowych nastrojów. PETA twierdzi, że w Polsce 56 proc. obywateli jest za zakazem, gdy przeciwników jest zaledwie 25 proc. Sam prezes Kaczyński potępił męczenie zwierząt dla luksusu. W roku 2018 polscy europosłowie w porozumieniu z europosełami litewskimi i organizacjami pozarządowymi zorganizowali w Parlamencie Europejskim w Brukseli ekspozycję „Niech futra przejdą do historii”. List gratulacyjny przysłała Brigitte Bardot. Przytoczone na prezentacji wyniki sondaży wskazywały, że większość Europejczyków nie akceptuje hodowli zwierząt na futra.

SPLENDOR UTRACONY

Siedem tysięcy lat temu, w paleolicie, żeby przeżyć, człowiek zabijał zwierzę, obdzierał je ze skóry, a mięso zjadał.



Z prof. Arturem Mamcarzem,
kardiologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

FOT. ADRIAN STOLK

Solniczka ze stołu, kawa na stół

KATARZYNA PINKOSZ: 80 proc. zawałów serca i udarów mózgu oraz 70 proc. nowotworów można by uniknąć, gdyby przestać palić, więcej się ruszać, jeść zdrowiej. Zaczynamy w to wierzyć i zmieniamy styl życia dopiero, gdy grozi nam zawał?

PROF. ARTUR MAMCARZ: Ogólnie rzadko udaje się zmienić styl życia. To trudne, ponieważ mają na to wpływ rodzina, znajomi, zwyczaje, miejsce zamieszkania, status ekonomiczny, poziom wykształ-

cenia. Faktycznie jednak większość osób zmienia styl życia – albo przynajmniej próbuje to zrobić – dopiero gdy zachoruje albo czuje, że ma ryzyko zawału serca, udaru mózgu czy nowotworu.

Medycyna stylu życia mówi, że nie warto czekać na chorobę, warto zmienić styl życia wcześniej.

Warto zmodyfikować to, co robi się na co dzień, żeby po pierwsze, zapobiegać

chorobom, a po drugie, żeby wspomóc leczenie farmakologiczne czy zabiegowe, jeśli jest konieczne. Ważne są aktywność fizyczna, sposób żywienia, niepalenie papierosów, higiena snu, umiejętność wypoczyniania, radzenia sobie ze stresem, z emocjami, unikanie przebywania w zanieczyszczonym powietrzu.

Jest mnóstwo rad w Internecie, jak zdrowo się odżywiać, mówią o tym dietetycy, celebryci. Istnieje idealna dieta cud?

Nie. Modna obecnie dieta bezglutenowa pomaga osobom z celiakią, jednak szkodzi innym: zwiększa ryzyko cukrzycy i raka jelita grubego, ponieważ produkty bezglutenowe zawierają za mało błonnika. Podobnie dieta bezmleczna: pomaga osobom uczulonym na mleko, ale innym osobom szkodzi. Szkodzą też zalecenia, żeby stosować olej kokosowy i palmowy, które zawierają duże ilości nasyconych kwasów tłuszczowych, powodujących narastanie blaszki miażdżycowej. Świetnym olejem jest za to tani olej rzepakowy. O 10 proc. lepszy od niego jest lniany, ale... też 10 razy droższy. Czy więc warto go używać?

W kwietniu w piśmie „Lancet” ukazał się artykuł, który opisywał badania trwające 28 lat. Wytypowano 15 elementów

związanych z żywieniem, a następnie obserwowano, jak wygląda ich wpływ na zachorowania. Dzięki temu ułożono ranking czynników, które najbardziej przyczyniają się do przedwczesnej śmierci, głównie z powodu zawałów, udarów i chorób nowotworowych. Okazało się, że najważniejsze są trzy czynniki. Na pierwszym miejscu jest nadmiar chlorku sodu, który w największym stopniu decyduje o chorobach serca, nadciśnieniu tętniczym, udarze mózgu, a także przewlekłej chorobie nerek i niektórych chorobach nowotworowych.

Sól, a nie nadmiar cukru i tłuszczów?

Na pierwszym miejscu na liście zabójców jest właśnie sól. Na drugim – co też mnie zaskoczyło – niedobór produktów pełnoziarnistych, a na trzecim – niedobór warzyw i owoców. Dopiero na kolejnych miejscach znalazł się nadmiar czerwonego, przetworzonego mięsa i cukrów prostych. To pokazuje, jak trzeba skonstruować dietę idealną.

Czyli: mniej soli, jeść częściej kasze, warzywa i owoce?

Tak. I nie musi to być w Polsce awokado. Można sięgać po kapustę, buraki, pomidory, czyli warzywa z naszego regionu.

A sól? W ogóle przestać solić?

W tym, co jemy, i tak jest nadmiar soli, dlatego solniczka powinna zniknąć ze stołu. Wiele osób dosala potrawy, nawet nie próbując ich wcześniej. Chlorek sodu jest potrzebny, reguluje gospodarkę sodowo-potasową, jednak jemy go w nadmiarze. Sól jest i tak dodawana do wielu produktów, które jemy, np. do pieczywa, serów, wędlin. Dlatego też powinniśmy jeść mniej wędlin, czyli przetworzonego mięsa.

Niedawno pojawiły się informacje, że mięso (czerwone) nie szkodzi tak, jak to wcześniej mówiono.

Faktycznie, pokazywano niedawno takie wyniki badań, jednak jest już wiele komentarzy środowisk naukowych, że do analizy wzięto niekoniecznie dobrze konstruowane prace badawcze. Nie zmienia to naszych zaleceń, żeby mięso, zwłaszcza wysoko przetworzone, spożywać jak najrzadziej. Jestem realistą: dieta wegetariańska czy wegańska nie jest dla wszystkich. Zwyczaję żywieniowe są głęboko wpisane w naszą tradycję, region geograficzny. Ważne jednak, żeby jeść mniej mięsa, zwłaszcza tłustego

i wysoko przetworzonego, a więcej ryb, ze względu na zawartość chroniących serce tłuszczów omega-3.

Jednak powiem coś na pocieszenie: aktywność fizyczna potrafi zbilansować wiele szkód wynikających z niewłaściwego żywienia.

Można czasem pozwolić sobie na niezbyt zdrowe odżywianie, jeśli się ruszamy?

Tak, ludzie muszą sprawiać sobie przyjemności. Jeśli komuś sprawia przyjemność zjedzenie steku, to niech to czasem zrobi, tylko niech do jego przyrządzenia użyje ziół, np. bazylii, oregano, a nie soli. A jak zjemy za dużo, to warto umówić się ze znajomymi, pojeździć na rowerze, pograć w siatkówkę, popływać, pochodzić z kijkami.

Jeździć na rowerze, skoro przez dużą część dni w roku wdychamy smog? Może lepiej iść na siłownię?

Siłownia tak – jeżeli trener dobierze odpowiedni zestaw ćwiczeń, siłowych i wytrzymałościowych. Biegać lepiej w lesie niż przy ulicy, i nie chodzi tylko o stawy, lecz także właśnie o smog. Trzeba unikać wysiłku fizycznego na dworze w dni, kiedy normy zanieczyszczeń powietrza są przekroczone. Smog zwiększa ryzyko chorób płuc i serca, jest szczególnie groźny dla dzieci, kobiet w ciąży, chorych na astmę, POChP i serce. Zalecamy co najmniej 30 minut dziennie wysiłku fizycznego przez co najmniej pięć dni w tygodniu, a najlepiej codziennie. Czyli w tygodniu 150 minut wysiłku, dopasowanego do umiejętności, ochoty i przyjemności, jaką ma sprawiać. Ważne, żeby wygospodarować 30 minut dziennie.

To nie takie proste. Panu to się udaje?

Jeżdżę na rowerze co najmniej cztery dni w tygodniu. Mam kalendarz, w którym wszystko zapisuję. W ubiegłym roku jeździłem 240 dni. Przyznam, że decyzja o aktywności fizycznej była u mnie podyktowana tym, żeby zbilansować to, że czasem grzeszę nadmiarem zjedzonych kalorii. Lubię jeść, także słodczy, jem je czasami, jednak staram się potem to wszystko spalić.

Czyli dzięki aktywności fizycznej można czasem popełnić jakiś grzech żywieniowy?

Tak, zresztą podkreśla to wielu dietetyków, do których często wysyłam swoich pacjentów. Mówią, że nie można zakazywać wszystkiego. Pierwsze pytanie

zawsze powinno brzmieć: „Co pan/pani najbardziej lubi jeść?”. Ja bym dodał jeszcze: „Z czego najłatwiej byłoby panu/pani zrezygnować?”. Jeśli ktoś lubi i masło, i kotlety mielone, i gołąbki, i tort czekoladowy, to trzeba wybrać coś, z czego najłatwiej zrezygnować. Może z ciasta, soków lub słodkich napojów do popijania? Małymi krokami trzeba zrobić coś, co w perspektywie kilku miesięcy czy roku przyniesie efekty. W kontekście nadwagi czy otyłości trzeba mówić o chorobie, a nie o odchudzaniu.

Mówił pan o sprawianiu sobie przyjemności. A co z kawą? Przyczynia się do nadciśnienia, a co za tym idzie – do zawałów i udarów – czy to mit?

Tuż po wypiciu kawy ciśnienie może nieznacznie wzrosnąć, ale potem spada, tak więc jeśli pacjent ma ustabilizowane ciśnienie tętnicze, to może ją pić. Picie kawy przynosi wiele korzyści. Z prozdrowotnego punktu widzenia optymalne jest wypijanie trzech–pięciu filiżanek kawy dziennie, a osiem na pewno nie szkodzi. Kawa zmniejsza ryzyko zawałów serca, udarów mózgu, zwłaszcza niedokrwiennych, spowalnia procesy otępienne. Zmniejsza ryzyko raka jelita grubego, wątroby, korzystnie działa w przypadku depresji, zmniejsza ryzyko upadków u starszych pacjentów i złamań osteoporotycznych. Powinni ją pić kierowcy: picie kawy zmniejsza ryzyko wypadków. Co dwie–trzy godziny powinno się wypić kawę podczas jazdy. Efekt działania kawy jest niezależny od tego, jak ją się parzy, czyli tak samo działa zaparzona po turecku, jak z ekspresu. Gorzej z cappuccino, bo im więcej mleka, tym mniej kawy i słabsze jej działanie.

A co z osobami, które za kawą nie przepadają?

Niektórzy wolno metabolizują kofeinę, inni szybko. Osoby wolno metabolizujące kofeinę najprawdopodobniej gorzej się czują po kawie, pewnie dlatego jej nie wybierają. Z kolei osoby, które szybko zasypiają po kawie, zapewne szybko ją metabolizują i mogą pić pięć–sześć razy dziennie. Niektórzy zaś wolą herbatę: bardzo dobrze. Nie muszą zmuszać się do kawy: teina działa tak samo jak kofeina. Warto słuchać swojego organizmu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Artur Mamcarz

– kardiolog, kieruje III Kliniką Chorób Wewnętrznych i Kardiologii WUM.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Sprawa bluźniercy

Henryk Niemirycz, wykształcony i bogaty, skoligacony z wieloma wielkimi rodami Korony, został z własnej woli jednym z ostatnich bluźnierców w Rzeczypospolitej. Poniósł też za swoje czyny surową karę i ledwie wywinął się katu.

Młodzieniec, który odziedziczył pokaźny majątek na Wołyniu, słynął w towarzystwie jako wielbiciel nauki i oświecenia. Wydawał obiady, próbując konkurować ze sławnymi obiadami czwartkowymi Stanisława Augusta Poniatowskiego, organizował bale i bankiety, zapraszał liczne towarzystwo na dysputy, stając się człowiekiem powszechnie znanym. Niemirycz był dobrze wykształcony. Gdy jednak przebywał we Francji, zaraził się libertynizmem, sąsiedzi zatem znali go nie tylko jako uczzonego, lecz także jako ateistę i człowieka pogardzającego wiarą katolicką.

Pewnego razu, kiedy przebywał na Wołyniu, we dworze w Krupcu należącym do Lubomirskich, wspólnie z kompanem Kajetanem Miączyńskim postanowił zakpić sobie z katolików. Biesiadując w towarzystwie podobnych mu ateuszów i farmazonów, zaproponował, aby udali się do kościoła na czczo i przystąpili do komunii, aby pokazać, że nie czeka ich za to żadna kara, i tym samym wydrwić katolickie „zabobony”. Jak powiedział, tak też uczynili – towarzystwo wyruszyło do miejscowego parafialnego kościoła, gdzie Niemirycz przystąpił do komunii bez spowiedzi. Co więcej, nie przełknął komunikantu, ale wypluł go do trzymanej w ręku książki. Następnie, jak podaje Janusz Tazbir w pracy „Bluźniercy, którzy uszli karze”, zaczął się przechwalać i pokazywać opłatek „damom siedzącym w ławkach, z rozmaitemi najniepocziwszymi żartami i szyderstwami”. Wówczas „kobiety się obruszyły i przelekły, gruchnęła wieść po kościele, wsz-



FOT. WIKIPEDIA

czął się szmer, oburzenie, zgroza powszechna”. Zebrani na mszy wzburzyli się, a szlachcice złapali za szable i byliby rozsiekali ateistę. Niemirycz musiał uciekać, chroniąc się we dworze w Krupcach. Stamtąd jak najszybciej udał się do Brodów położonych już za granicą, bo w zaborze austriackim.

Postepek uszedłby mu może płazem, choć w okolicy aż huczało, gdyby nie znalazł się fanatyczny wręcz oskarżyciel, a przy tym świadek bluźnierstwa, skarbnik łucki Jerzy Falkowski. Był on znanym bigotem, który zaczął krzyczeć i rozpowiadać, że Niemirycz dopuścił się świętokradstwa. Tak ateista trafił na fanatyka. Falkowski przez całe życie z zaciekleścią tropił heretyków i bluźnierców, wytoczył proces masonskiej loży w Dubnie, zwąc jej członków farmazonami i oskarżając, że oddają cześć Belzebubowi i profanują świętości. Teraz wniósł przeciwko Niemiryczowi oskarżenie do sądu w Łucku. I chociaż miejscowy starosta Józef Czartoryski, będący sam człowiekiem oświeconym, nie spieszył się z jego rozpatrzeniem, Falkowski zmusił go do tego, podburzając okoliczną szlachtę i wysyłając niekończące się listy oraz pisma do sądu. Przypominał w nich Czartoryskiemu, że jego obowiązkiem jest: „rzuciwszy

wszystkie na bok zatrudnienia, Bogu i ludowi chrześcijańskiemu okazać czułości i powinności przykład”.

Starosta uległ w końcu i posłał Niemiryczowi pozwy, by stawiał się na sąd. Kiedy ów tego nie uczynił, dnia 22 grudnia 1785 r. został skazany za „świętokradzkie świętości Pańskich ku pogardzie użycie” na karę darcia pasów, wyrwanie bluźnierczego języka, ścięcie i na koniec ćwiartowanie, a ciało „porąbane bestiom drapieżnym na karmią między drogi rozstajne” wyrzucić nakazano. Wcześniej sąd biskupi rzucił na niego klątwę. Majątek Niemirycza został skonfiskowany na rzecz państwa, chociaż Falkowski wcześniej wyrzekł się przypadającej mu, jako oskarżycielowi-delatorowi, połowy majątności.

Cóż działo się dalej z Niemiryczem? Podobno uciekł aż do Francji, gdzie wstąpił do wojska. Tułał się za granicą aż do roku 1792, kiedy po wojnie polsko-rosyjskiej zapanały rządy targowicy. Niemirycz miał wśród niej przyjaciół, którzy pomogli mu w 1793 r. skasować zaoznany dekret sądowy; nie wiadomo jednak, czy udało mu się odzyskać majątek. Reszta to już legenda. Podobno pozbawiony przyjaciół rozpił się okrutnie. Powiadano też, że dopiero car Aleksander darował mu winę. Podobno na łożu śmierci poprosił o księdza, który jednak nie zdążył przybyć, aby rozgrzeszyć bluźniercę. Pochowano go w Tajkura na Wołyniu, a na nagrobku postawiono potrzaskaną kolumnę, na pamiątkę jego złamanego żywota.

Największą pamiątką po Niemiryczu jest wydany w Lublinie przez Falkowskiego druk ulotny pt. „Zbrodnia Urodzonego Nimirycza (tak) Tajemnicy Ciała i Krwie Chrystusowej nabybezbożniejszego gwałciciela Przewodem Prawnym w Konsystorzu Polskim Łuckim i w Sądach Grodzkich Łuckich Odkryta”. ©

WŁOSKĄ KLASYKĘ SERWUJE VITO CASETTI

Zaznaczam z góry, że nie jestem kucharzem, ale lubię gotować. Najczęściej włoską klasykę. Kuchnia włoska podziwiana jest m.in. za to, że znakomite dania są w niej tworzone na bazie dosłownie kilku składników. Również dlatego, że składników jest tak mało, bardzo ważna jest ich wysoka jakość. W daniu, o którym opowiem za chwilę, najważniejsza jest doskonała oliwa. Pod koniec października na sklepowe półki trafia olio novo – nowa oliwa. Jest niezwykle smaczna, ale z czasem traci swoje niesamowite właściwości organoleptyczne, nawet jeśli jest przechowywana w zamkniętej butelce. Warto teraz szukać olio novo.

Z przygotowaniem dania, które dziś chcę polecić, nikt nie powinien mieć problemu. To pasta aglio olio e peperoncino, czyli po polsku makaron, czosnek, oliwa, chili. Nie wiem, czy państwo wiedzą, że rodzajów makaronów jest ponad tysiąc. W tym daniu najlepiej sprawdzi się makaron spaghetti, najlepiej włoski. Byłoby doskonale, gdyby reszta składników również pochodziła z Włoch. Papryczki najlepiej z Kalabrii, a oliwa z Toskanii.

Składniki (dla dwóch osób):

- 200 g makaronu spaghetti
- 100 ml oliwy extra vergine
- 3 ąbki czosnku

- 2 papryczki chili
- sól, pieprz

Przygotowanie:

W garnku gotujemy makaron (oczywiście al dente), a w tym czasie na patelni podgrzewamy oliwę. Wrzucamy na oliwę rozdrobniony czosnek, aby się zeszklił, a następnie dorzucamy pestki z papryczek chili.

Dla tej ilości składników dodałbym pestki z dwóch papryczek, ale ostrzegam, że ja lubię ostre smaki. Jeśli ktoś preferuje łagodniejszą wersję, to można użyć pestek z jednej papryczki. Trzeba jednak pamiętać, że pasta aglio olio e peperoncino powinna być dość pikantna. Doprawiamy odrobiną soli i pieprzu.

Ugotowany makaron odcedzamy, przelewamy wodą, przekładamy na patelnię, mieszamy, by składniki się połączyły. I to już, gotowe! Jeśli posiłkowi nie towarzyszy odrobina wina, to Włoch nie czuje, że jadł prawdziwy obiad bądź kolację. Do tego makaronu polecam lampkę czerwonego wina. ©©

oprac. raw

Vito Casetti
jest dziennikarzem
i prezenterem
telewizyjnym.



FOT. FORUMKAWAZI/FOTURIA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak zachować młodość

Wbrew pozorom temat młodości i sposobów jej utrzymania wciąż nie jest wyeksploatowany. Dziwne, bo od praczasów wiadomo, że nic tu nie działa, a jednak każda nowa informacja budzi nadzieję. A nuż? Najbardziej liczymy na sposoby łatwe. Bo któż ma głowę do trudnych i długotrwałych?

Książka „Młodość na dłużej. Jak spowolnić proces starzenia się i pozostać zdrowym przez całe życie” (Rebis) łatwizny nie obiecuje. Może dlatego, że napisał ją lekarz. Duncan Carmichael skończył studia w RPA, zawodowo doskonalił się w Europie, gdzie zajmował się problematyką żywienia i medycyny estetycznej. Założył dwie poświęcone temu kliniki: jedną w Kapsztadzie, drugą w Dorset w Wielkiej Brytanii.

Oliftingach i przerabianiu uest na Kaczora Donalda nic tu nie ma. Jest przegląd tematów, które dotyczą naszego ogólnie pojętego zdrowia i sposobów jego utrzymania, na które sami możemy mieć wpływ. Najpierw musimy je jednak zrozumieć. I właśnie to robi dr Carmichael: tłumaczy, jak funkcjonuje organizm i jak przebiegają procesy, które stanowią o zdrowiu i tempie starzenia się. Wiadomo, że ludzie najbardziej długowieczni mają kilka wspólnych cech: zachowują aktywność i sprawność fizyczną po osiemdziesiątce, są szczupli, nie chorują na cukrzycę ani na miażdżycę, radzą sobie ze stresem, uczestniczą w życiu religijnym, nie palą, nie piją



★★★★★
DUNCAN CARMICHAEL
„MŁODOŚĆ
NA DŁUŻEJ...”
REBIS

dużo, żyją w nietoksycznym środowisku. Na większość tych cech możemy mieć wpływ. Tylko ostatnia – pochodzenie z długowiecznych rodzin – znajduje się całkowicie poza naszym zasięgiem.

A więc dieta. Autor demistyfikuje fetysz kalorii i obala mit o szkodliwości tłuszczu.

Jeśli chodzi o cukier, to dobrych wiadomości nie ma – nadal jest szkodliwy i tuczący. Sporo miejsca dr Carmichael poświęca wątrobie, niewymienalnemu organowi, którego kondycja zależy od naszych nawyków żywieniowych. Stres i sen – wydaje się, że żyjąc w przeładowanej bodźcami rzeczywistości, jesteśmy wobec stresu bezsilni. Okazuje się jednak, że na odwrócenie jego skutków także są sposoby. Ćwiczenia, medytacja, mierzenie stężenia hormonów nadnerczowych. Nie dla każdego, ale zawsze coś.

Czy jest w tej 500-stronicowej książce jakaś najważniejsza wskazówka? „Bez mózgu jestem niczym. Jeśli go uszkodzę, to reszta mojego ciała rozpada się jak zamek z piasku w czasie sztormu. Logika nakazuje więc robić wszystko, by odżywiać i chronić ten tak ważny narząd. [...] Pod paroma ważnymi względami dążenie do zdrowego starzenia zaczyna się od mózgu, a jeśli nam się nie uda, na niewiele poza tym możemy liczyć”. Jak to zrobić, trzeba przeczytać. ©©

TEST „DO RZECZY”: DYSK TRANSCEND ESD230C

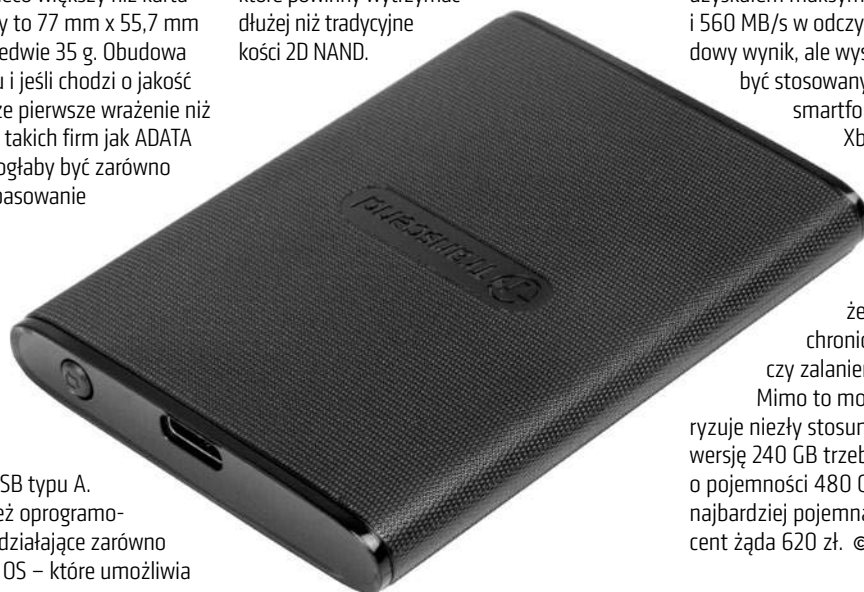
Niewielkie rozmiary i mała waga oraz interfejsy USB 3.1. typu C – to najważniejsze zalety mobilnego dysku SSD tajwańskiej firmy Transcend.

Dysk ESD230C jest nieco większy niż karta kredytowa. Jego wymiary to 77 mm x 55,7 mm x 9,6 mm, a waga to zaledwie 35 g. Obudowa jest wykonana z plastiku i jeśli chodzi o jakość wykonania, to robi gorsze pierwsze wrażenie niż konkurencyjne produkty takich firm jak ADATA czy Samsung. Lepsza mogłaby być zarówno jakość materiału, jak i spasowanie wszystkich elementów.

Plusem tego modelu jest jednak to, że producent dołącza do dysku aż dwa kable: jeden o końcówce do nowoczesnych portów USB typu C, a drugi do starszych, ale wciąż powszechnie używanych USB typu A. Producent udostępnia też oprogramowanie Transcend Elite – działające zarówno na Windowsie, jak i Mac OS – które umożliwia

m.in. szyfrowanie, tworzenie kopii zapasowych oraz przywracanie danych.

Zaletą jest także to, że Tajwańczycy zastosowali w testowanym dysku kości 3D NAND TLC, które powinny wytrzymać dłużej niż tradycyjne kości 2D NAND.



Po stronie plusów można również zapisać niezłą prędkość przesyłu danych. Według producenta maksymalna prędkość zapisu wynosi 460 MB/s, a w odczycie 520 MB/s. W testach uzyskałem maksymalnie 475 MB/s w zapisie i 560 MB/s w odczycie. Nie jest to może rekordowy wynik, ale wystarczający, aby dysk mógł być stosowany jako pamięć zewnętrzna do smartfonów i tabletów czy konsoli Xbox One i PlayStation 4.

Wady testowanego dysku? Jeśli kopiujemy dużą ilość danych, to dysk potrafi się mocno nagrzać. Szkoda też, że obudowa nie jest lepiej chroniona przed uszkodzeniami czy zalaniem cieczą.

Mimo to model ESD230C charakteryzuje niezły stosunek ceny do jakości. Za wersję 240 GB trzeba zapłacić 199 zł. Nośnik o pojemności 480 GB kosztuje ok. 440 zł, a za najbardziej pojemną odmianę 960 GB producent żąda 620 zł. ©©

Jacek Przybylski



NADRUKUJ SOBIE WSZYSTKO

Idziesz obwieszony transparentami na demonstrację KOD czy innych Obywateli, by walczyć o wolność sądów albo mediów, a tu się okazuje, że na partyjne polecenie zmienił się plan gry i już nie chodzi o konstytucję, ale o odwołanie Schetyny z funkcji lidera? Pierwsza myśl – tyle godzin pracy nad transparentami i koszulkami, a cały misterny plan w... Jest rada. Rada nazywa się Prin Cub i jest najmniejszą na świecie przenośną – skorelowaną z aplikacją smartfonową – drukarką, za pomocą której błyskawicznie możesz wykonać nadruk wszędzie i na wszystkim. Czy to na płótnie, drewnie czy bawełnianej koszulce lub... na skórze, np. przedramienia.

Urządzenie współpracuje z telefonem przez sieć Wi-Fi, co ułatwia przesyłanie dowolnego tekstu, obrazu lub projektu i natychmiastowe drukowanie za naciśnięciem jednego przycisku. Drukowanie oczywiście w kolorze. Uwaga fani sędziowania w polskiej piłkarskiej ekstraklasie – sędziowie meczu tym nie wydrukują.

Cena urządzenia to ok. 380 zł. Zamawiać można na Indiegogo, a dostawa w listopadzie.

NOWA ELEKTRYCZNA DESKOROLKA

Jest tego na rynku już zatrzęsienie, więc szalu nie ma. Jednak warte odnotowania – Skatebolt Breeze II to całkiem mocna i szybka deska z wymiennym silnikiem. Osiągi? Też niezłe. Breeze II może przejechać nieco ponad 24 km na średniej prędkości bez konieczności ładowania, jest w stanie podjechać pod wzgórze o stopniu wzniesienia 30 proc., a maksymalna prędkość, którą osiąga, to 45 km/godz.

„Pokład” deskorolki wykonany jest z bambusa i dwóch warstw włókna szklanego, co zdaniem producenta zapewnia równowagę między elastycznością a wytrzymałością, deska jest też wysoce wodoszczelna.

Cena: ok. 1,8 tys. zł. Dostawa w listopadzie, a zamawiać można na portalu Indiegogo. ©©

Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

FUTURYSTYCZNY PRZYJACIEL KIEROWCY



Toyota LQ, najnowszy samochód koncepcyjny zaprezentowany podczas Salonu Motoryzacyjnego w Tokio, ma futurystyczny wygląd, elektryczny napęd i możliwość autonomicznej jazdy na poziomie 4. Oznacza to, że auto może wysadzić pasażerów, samodzielnie znaleźć gdzieś w pobliżu miejsce do parkowania, zaparkować i w odpowiednim momencie podjechać po kierowcę oraz pasażerów w miejscu, w których wysiedli.

Te technologiczne bajery mają już też konkurencję. Japończycy dodali więc do swego auta Yui – interaktywnego awatara sztucznej inteligencji, który ma stać się prawdziwym towarzyszem podróży i stworzyć z kierowcą „emocjonalną więź”.

Jednocześnie Yui pomaga w prowadzeniu (oczywiście tylko wtedy, jeśli człowiek będzie akurat miał kaprys samodzielnie postarować autem), a także uprzyjemnia jazdę, odpowiednio ustawiając oświetlenie wnętrza, temperaturę w kabinie, dobierając odpowiedni do nastroju zapach, a także zachęcając do równomiernego oddychania za pomocą „inteligentnego” fotela kierowcy.

Inteligentny asystent potrafi też dostosować do otoczenia odpowiednią muzykę, a także wyszukać informacje na tematy, o których w danej sytuacji chce z nim porozmawiać kierowca.

Samochód, którego maksymalny zasięg wynosi ok. 300 km, nie tylko nie emituje groźnych dla



zdrowia spalin, lecz także aktywnie oczyszcza powietrze z zanieczyszczeń, przetwarzając ozon na cząsteczki tlenu.

Od czerwca do września 2020 r. prototyp auta z przyszłości będzie można samodzielnie przetestować. Niestety, wyłącznie na ulicach Tokio.



AUKCJA DLA OSZCZĘDNYCH

Mniej niż 1 litr oleju napędowego na 100 km. Zaledwie tyle potrzebuje do poruszania się po drogach Volkswagen XL1, prawdopodobnie najoszczędniejszy samochód spalinowy świata i chyba jedyny diesel, którym na randkę można zabrać seksowną ekolożkę.

Ważący zaledwie 795 kg samochód napędzają silnik Diesla o pojemności 0,8 l i jednostka elektryczna. Auto ma łączną moc 75 KM, co pozwala rozpędzić XL1 od zera do setki w 12 s. Superoszczędny Volkswagen może poruszać się

z prędkością do 160 km/godz. Auto – wyprodukowane zaledwie w 200 egzemplarzach – zostało zaprezentowane w 2011 r. Ci, którzy przegapili premierę, mają szansę kupić własny egzemplarz. W listopadzie jedna sztuka z przebiegiem 131 km zostanie wystawiona na aukcję w Wielkiej Brytanii podczas NEC Classic Motor Show. Eksperti spodziewają się, że cena dojdzie do ok. 60 tys. funtów, czyli niecałych 300 tys. zł. Niby drogo, ale za nowego XL1 trzeba było zapłacić 100 tys. funtów.

GLOBALNE BESTSELLERY

Jakie modele kierowcy na całym świecie kupują najchętniej? Portal Focus2move.com opublikował ranking na podstawie danych z pierwszych siedmiu miesięcy roku. W tym czasie kupiono 48,9 mln samochodów. Najczęściej kupowana była Toyota Corolla. Drugie miejsce zajął Ford F-Series, a trzecie Toyota RAV4. Pierwszą piątkę światowych hitów zamykają dwa modele Hondy: Civic oraz CR-V. © ©

Jacek Przybylski



Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zbrukane słowa Kosińskiego



JOANNA SIEDLECKA

Mój „Czarny ptasior” udowodnił, że „Malowany ptak” Kosińskiego nie był wcale – jak autor utrzymywał – jego autobiografią, dokumentem. Nie było samotnej wędrówki, bicia i topienia go w kloace przez okrutnych polskich wieśniaków. Razem z rodzicami przeżył okupację we wsi Dąbrowa Rzeczycka, która narażała dla nich życie swoje i swoich dzieci, a „Malowany ptak”, który przyprowadził nam w świecie głębię zdziwiających antysemitów, był grzechem głównym Kosińskiego, ale nie jedynym. Miał również inne, o których ciągle wiemy zbyt mało. Przede wszystkim o tym, że nie był w ogóle pisarzem i tylko się pod niego podszywał. Nie pisał bowiem sam własnych książek, korzystał potajemnie z usług licznych opłacanych ghostwriterów, literackich wyrobników i tłumaczy. Coraz bardziej wiarygodne pogłoski o tym krążyły w literackim Nowym Jorku już od dawna. Każdy autor ma przecież własny, niepowtarzalny styl, a każda książka Kosińskiego była zupełnie inna. Nie mógł też, zwłaszcza pierwszych z nich, napisać od razu po angielsku – słabo jeszcze znał ten język, a później

wprawdzie opanował mówioną jego odmianę, ale z pisaniem nadal miał problemy. Barbara Pochoda, redaktorka „The Nation”, dostała od niego list, w którym roiło się od błędów, nie miała więc wątpliwości, że ktoś, kto go pisał, nie mógł być autorem nagradzanych książek. Długo jednak bano się go ruszyć – był ikoną Holocaustu, prezesem amerykańskiego PEN Clubu, miał przyjaciół w „New York Timesie”.

Mimo to w 1982 r. mydlaną bańkę jego kariery zdmuchnęli dwaj młodzi dziennikarze nowojorskiego prestiżowego tygodnika „The Village Voice” – Geoffrey Stokes i Eliot Fremont-Smith. Opublikowali wielki, demaskatorski tekst pod znamienym tytułem „Zbrukane słowa Jerzego Kosińskiego”. Po rzetelnym śledztwie dotarli do wielu jego byłych ghostwriterów, którzy potwierdzili, że dostarczał im niechlujnie zarysowane konспекty swoich powieści, które mieli rozwijać, przerabiać na poprawny, literacki język, szlifować jego koślawe zdania. „Malowanego ptaka” naszkicował najpierw po polsku, poprawionego przez jego – jak ich nazywał – „konsultantów” przełożył na angielski zawodowy tłumacz Aleksander Jordan Lutostawski. Za 400 dol. – jak mówił, traktując to jako szybką chałturę. Wiedząc, że tego rodzaju praktyki mogłyby zniszczyć jego karierę, Kosiński zatrudniał za każdym razem innych pomagierów, wymuszał od nich pisemne oświadczenia o anonimowości ich pracy oraz milczeniu na jej temat, rewidował przy wyjściu, czy nie wynoszą jakichś dowodów. Tłumaczył, że musi korzystać z ich pomocy, bo po wypadku doznał poważnego urazu głowy, a chce dotrzymać terminów. Dziennikarze „The Village Voice” udowodnili też, że dwie pierwsze książki Kosińskiego, wydane zaraz po przyjeździe do USA pod pseudonimem Joseph Nowak: „Przyszłość należy do

nas, towarzysze” i „Nie ma trzeciej drogi” o swoich podróżach po Związku Radzieckim, w którym – jak odkryli – nigdy nie był, finansowała CIA. Jego sfilmowana potem książka „Wystarczy być” była plagiatem nieznanego w Ameryce powieści Dołęgi-Mostowicza o Nikodemie Dyzmie. Falszował też swoją biografię. Chociaż w 1957 r. wyjechał z Polski jak najbardziej legalnie, na stypendium Forda, to utrzymywał, że aby wydostać się z komunistycznej Polski, sfałszował cztery listy polecające od wybitnych profesorów, a w razie wypadku miał w kieszeni fiolkę z cyjankiem.

Tekst „The Village Voice” stał się sensacją, gwiazda Kosińskiego zgasała. Był skończony. Chociaż były to zarzuty bardzo poważne, to ku zdziwieniu wszystkich Kosiński milczał, nie pozwał redakcji do sądu, co uznano za przyznanie się. Próbował podnieść się z ringu, odegrać, pisząc – wreszcie sam – swoją ostatnią książkę „Pustelnik z 69 ulicy”. Okazała się kłęską. Skończony w USA, postanowił przerzucić się na komunistyczną wciąż Polskę, do czego namawiali go jego kumple – Jerzy Urban, Daniel Passent. Mimo że wcześniej na wszystkich wydaniach „Malowanego ptaka” pisał, iż jego akcja działa się w „Central Poland”, „Mittel Poland”, „La Pologne”, na użytek naiwnych Polaków napisał wstęp, że to powieść o krainie mitycznej. Jego przyjazd do Polski w roku 1988 był triumfem – tłumy, wywiady, telewizja. Jednak w kolejce pod Czytelnikiem zobaczył... chłopów z Dąbrowy, którzy przechowywali jego rodzinę. Spełniły się jego najczarniejsze sny – prawda o jego okupacyjnym dzieciństwie mogła w każdej chwili wyjść na jaw. Wiedział, że kłamstwa w dziedzinie Holocaustu Ameryka mu nie daruje. Przestraszył się. Po powrocie do USA popełnił samobójstwo, a w Dąbrowie mówiono, że zagryzło go sumienie. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Wspólna
kamienica

Zaprzeczam. Kategorycznie zaprzeczam, a następnie zaprzeczam kategorycznie. Tytuł powyższy nie ma nic wspólnego z Marianem Banasim i jego kamienicami czy kamienicą. Że też się państwu wszystko tak na bieżąco i z seksem kojarzy!

Ja pragnę się z państwem podzielić takim pomysłem rozciągniętym na kanwie. Kiedyś taki pisarz Uniłowski Zbigniew napisał powieść „Wspólny pokój”. Był z tego piękny skandal oparty na faktach, a niektórzy dodawali, że autentycznych, ale autentyczność nie została zweryfikowana do końca. W przedwojennym pokoju przedwojennej kamienicy mieszkało kilku między innymi literatów, a z innymi literami ci biedni literaci widywali się w Warszawie. Jest to powieść z kluczem, co oczywiście nie oznacza zagadki, gdzie jest klucz do pokoju, w którym było sporo brzydkich słów i pospiesznego seksu ze szczegółami nieszczególnie estetycznymi opisanymi. Ależ był skandal!

Zachęcam państwa do czytania powieści „Wspólny pokój” – do dziś może szokować, co się wydaje szokujące, biorąc pod uwagę, że autor w wieku 28 lat w 1937 r. zmarł nie na gruźlicę, na którą cierpiał, tylko na coś chyba z udarem, zdaje mi się. Zresztą ciekawa sprawa, że jak on był młodym biednym literatem, to żył, może i λίγο, ale jednak, natomiast jak się ożenił z córką bogatego architekta, to umarł.

Nic nie mam do architektów oczywiście, po prostu

literaturę tu upowszechniam. Czy wiedzą państwo, że to koszarne powiedzonko: „Panu się sperma rzuciła na mózg, to jasne”, to z literatury polskiej? Z Uniłowskiego właśnie – dziś już klasyka. Czasem się zastanawiam, czemu ja akurat takie frazy pamiętam, z tego „Wspólnego pokoju” taką: „To nałogowy morfinista i onanizuje się w dodatku. Bardzo często prowokuje mnie i potem się awanturuje”.

Może dlatego, że prawdziwych morfinistów dziś jak na receptę?

A ten pomysł, którym się chciałem z państwem podzielić na kanwie, mógłby na przykład polegać na tym, że jak ten Uniłowski tak trochę w tym „Wspólnym pokoju” umieścić „Kwadrygę” i Tuwima, nawet trochę i Gałczyńskiego, malując wykrzywioną, ale jednak portret epoki i środowiska jednak, to może teraz udałoby się, gdyż jest potrzeba portretowania, taką nakreślić powieść, albo i scenariusz („Wspólny pokój” zekranizował Has, a grali tam Zdzisław Maklakiewicz i mniej znany Holoubek), które to dzieło współczesne portretowałoby i czas, i pokolenie, i mógłby występować w środku współcześnie Paolo ze złotym zegarkiem na rękę i złotym krzyżem na klatce z piersiami wielkości kobiecej stopy (numeracja koszykarska) i mógłby dzwonić do kogoś telefonem, ale nie upieram się. Taka „Wspólna kamienica”, do której ludzie by schodzili się ze swoimi problemami palącymi. Literatura to potęga, opowiada o nas i o tym, co w nas wieczne. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Klub Obrońców
Chomika

Europosłanka Sylwia Spurek nie daje o sobie zapomnieć. Jak nie walka o prawa zwierząt ze skórzaną torebką Louisa Vuitton na ramieniu i paskiem za kilka tysięcy złotych, to wstawianie się za „gwałconymi ze względu na płęć” krowami. Tym razem doktorka w obronę wzięła jednak mniejszego ssaka. „Podczas budowy odcinka drogi ekspresowej S7 pod Miechowem narażone są siedliska chomika europejskiego, który jest gatunkiem zagrożonym. Inwestor ignoruje głos ekologów i lokalnej społeczności. Postanowiłam wystąpić do KE z interpelacją poselską w tej sprawie” – zatweetowała. I takim oto sposobem temat drogi, na którą mieszkańcy Krakowa czekali od kilkunastu lat, stał się elementem sporu politycznego, w który oczywiście musiała zostać włączona Unia.

Nie wiem nawet, od czego zacząć, tak absurdalna i symptomatyczna dla ekolewicy jest to sprawa, dlatego na początek coś z autopsji. Popularna S Siódemka to dla mieszkańców stolicy i drugiego miasta w Polsce najlepsza i najszybsza trasa dojazdu, która jednak cierpi na zasadniczy mankament. Około 50 km wjazdowych i wyjazdowych z Krakowa to jednopasmowe, prowadzące przez miasta i miasteczka oraz w większości pozbawione pobocza krajówki. Ponieważ jeżdżę na tym odcinku dosyć często, w przeciwieństwie do Sylwii Spurek wiem, o czym piszę. Wydostanie się z zatłoczonego miasta, stawanie w korkach,

wypadki i zatrucie przez tabuny samochodów okolicznych miejscowości to codzienność wszystkich, którzy chcą się przebić na drogę ekspresową do Warszawy. Zapóźnienie cywilizacyjne na tym odcinku, który przypomina starą zakopiankę, to wstyd dla państwa polskiego i dziedzictwo niemocy III RP, która infrastrukturalnie kulała przez całe dekady.

Gdy wreszcie przyszedł zgody, administracyjne decyzje i możliwość „domknięcia” newralgicznego fragmentu S7, oczywiście musiała się pojawić przeszkoda. Tym razem wynaleziono nory zamieszkane przez chomika europejskiego i za sprawą Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, której raport podłapała Sylwia Spurek, być może sparaliżowano prace pod Miechowem. Chociaż Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad przekonuje, że przed budową wykonano ekspertyzy i znaleziono dwie opuszczone nory chomika, „ekolodzy” podważają te dane. Chcą, choć to już właściwie niemożliwe – przeprojektowania trasy, budowy barier i tuneli, co będzie kosztować miliony złotych i Bóg wie, ile czasu. Dlaczego podobnych interwencji nie widzimy np. w Niemczech? W kraju, który w latach 40. i 50. uznał chomika europejskiego za groźnego szkodnika i zwalczał go w skali liczonej w milionach, przyczyniając się do jego wymarcia. I co jest dla ludzi pokroju Sylwii Spurek istotniejsze? Nory chomików czy życie ludzi i bezpieczniejsze drogi? Bo tutaj jednak trzeba wybierać. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Granice postępu

KANADA. „Jestem kobietą i jako kobieta mam prawo korzystać z KAŻDEJ usługi dla kobiet, a odmowa świadczenia mi jej jest naruszeniem praw człowieka”.

Tak kilka miesięcy temu Jessica Yaniv – osoba podająca się za kobietę – uzasadniała swoje liczne pozwy wytaczane kolejnym kosmetyczkom, które odmawiały depilowania jej męskich genitaliów. Yaniv nie ukrywała, że jej celem jest doprowadzenie do bankructwa „nietolerancyjnych” kosmetyczek, choć te odmowy uzasadniały głównie swoim brakiem przygotowania do wy-

będą mogli skutecznie używać prawa, aby wymuszać dowolne usługi także na kobietach – takich jak jedna z ofiar Yaniv wyznająca sikhizm – którym religia zabrania obsługiwanie mężczyzn.

WIELKA BRYTANIA. „Zgłaszam to na policję jako przestępstwo z nienawiści. To jak nazwanie czarnego »Murzynem«. Nie ma znaczenia, czy mam fiuta, czy nie. Takie komentarze mogą kogoś popchnąć do samobójstwa. Dlatego zdecydowałam się zgłosić to na policję”.

Tak kilka dni temu Ria Cooper – transseksualistka, która podobnie jak Yaniv zachowała męskie genitalia – zareagowała na to, że fotograf, który zaproponował jej nakręcenie wspólnego pornola, zmienił zdanie, gdy dowiedział się, że „aktorka” fizycznie jest mężczyzną. Na razie sprawa trafiła na policję, a ta wydała oświadczenie, że się nią zajmie. Znając powagę, z którą na Zachodzie podchodzi się do przestępstw z nienawiści, nikt w policji nie będzie chciał narazić się na oskarżenia o pobłażliwość, więc kuriozalna sprawa pewnie znajdzie swój finał w sądzie, a ten będzie musiał rozstrzygnąć, czy odmowa pójścia do łóżka z kobietą, która fizycznie jest mężczyzną, jest dyskryminacją.

STANY ZJEDNOCZONE. „Ma sztuczne rzęsy i makijaż, dużo brokatu. Nosi sukienkę. To nie jest już tylko emocjonalna przemoc, ale przemoc seksualna, manipulowanie tożsamością seksualną dziecka”.

Tak dramat swojego siedmioletniego syna opisuje Jeffrey Younger, któremu sąd w Teksasie odebrał właśnie władzę rodzicielską współdzieloną do tej pory z jego byłą żoną, a ta chce poddać ich wspólnego syna chemicznej kastracji, blokując hormony płciowe, a docelowo zmienić mu płeć. Zdaniem matki chłopiec sam uważa się za dziewczynkę, zdaniem ojca – jest mu to w dużej mierze wmawiane. Sąd umył ręce, przyznając pełnię władzy rodzicielskiej matce chłopca i zostawiając ostateczną decyzję o płci siedmioletniego Jamesa całkowicie w jej gestii. Niewykluczone, że wkrótce będziemy więc mogli śledzić na żywo eksperyment na dziecku w świecie, który piętnuje za danie dziecku klapsa, ale pozwala robić z nim dużo gorsze rzeczy w imię źle rozumianego postępu.

Kiedy czytam narzekania, że jesteśmy zacofani w stosunku do Zachodu, niespecjalnie się martwię. Mam nadzieję jeszcze trochę pożyć w kraju zbyt zacofanym na takie historie. ©©

Eksperyment na dziecku w świecie, który piętnuje za danie dziecku klapsa, ale pozwala robić z nim dużo gorsze rzeczy w imię źle rozumianego postępu

konywania zabiegów na męskich genitaliach. Kanadyjski sąd konstytucyjny właśnie oddalił pozwy, uznając powołanie się przez Yaniv na prawa człowieka za nadużycie, ale chyba na miejscu będzie zastrzeżenie, że taka wykładnia długo się nie utrzyma i kwestią czasu jest, kiedy następcy Yaniv

PODSŁUCHANE

Konwent juniorów

Klaudia, to ilu w końcu jest tych posłów? Ty tak wszystko wiesz...

Oj, Daria, mówiłam ci już wczoraj: czterystu sześćdziesięciu.

A nie stu?

Stu to jest senatorów. Też ci mówiłam.

No może tak, może tak, ale ja się tak stresuję, mówię ci, że jak się tu dzisiaj przedstawiałam jakiemuś takiemu starszemu dziadkowi, to ze zdenerwowania powiedziałam, że mam na imię Maria, a nie Daria. I boję się, że tak zapamiętał.

Któremu dziadkowi?

O, tam stoi, taki z wąsami, śmieszny.

Przecież to Korwin jest.

Korwin? Ten słynny?

Tak.

No popatrz, a taki był miły, nawet mnie w rękę pocałował.

Myślałam, że wy w Razemie nie pozwalacie się całować w rękę.

No, właściwie to nie... Ale mnie tak z zaskoczenia wziął. Znaczący – rękę mi wziął. Ty, a co to jest ta konwencja juniorów, bo mnie o to też pytali wczoraj?

Konwent seniorów chyba?

No, może tak... Ja nie wiem – jak ty to robisz, że tak to wszystko wiesz?

Ja jestem aktorką, moja droga. Aktorzy muszą się umieć uczyć tekstów na pamięć. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zatrzymane prawo jazdy ponownie wyrabiam, ale nie zdążyłem tego uczynić. [...] Kierowałem trzeźwy, a jechałem w stanie wyższej konieczności jako jedyny żywiciel rodziny”.

ARTUR ZAWISZA, były poseł, na Facebooku o potrąceniu rowerzystki

fot. Jerzy Gumowski



Kunszt ripostowania (1)

Pewnego dnia Mickiewiczowi groziło, że się spóźni na umówione spotkanie, lecz z opresji uratował go hrabia Ksawery Branicki — zawiózł poetę swoją karetką. Kiedy dojechali, Mickiewicz serdecznie podziękował i pochwalił rumaki, że takie rączne, a wówczas Branicki spytał go:

— Czemu pan, mistrzu, nie trzyma własnego powozu i własnych koni?

Skonsternowany Mickiewicz wybrnął udając powagę:

— Cóż, ze względów politycznych, panie hrabio.

Szkoda, że takiego samego poczucia humoru zabrakło mu, gdy latami uprawiał w polonijnym świątku emigranckim Paryża politykę procarską, na skutek intryg zaprzyjaźnionego z nim rosyjskiego agenta, Towiańskiego. Ale nie to jest tematem niniejszego felietonu, tylko celna riposta (głównie polityczna). Co mnie skłoniło, by właśnie ów temat ruszyć? Dowcip, jaki usłyszałem od kolegi, antykwariusza Tomka Marszewskiego. Przedwiośnie tegoroczne, PiS obiecuje trzynastą emeryturę dla seniorów. Pewien emeryt mówi do kumpla:

— Wiesz, będą nam dawać „trzynastki”.

— Eee, ja wolałbym trochę starszą — odpowiada tamten.

Będąca słodczą polityki (jej solą jest konieczny przy knuciu spryt) sfera humoru uze wnętrznia się głównie w żartach („kawałach”) opowiadanych o politykach, lecz parnasową ekstraklasę tej sfery stanowią błyskotliwe riposty rzucane z reflekssem przez polityków. Czemu nie przez dzisiejszych naszych, którzy swobodnie dysponują „laci-ną”, ergo: „mięchem” miotanym na przeciwników („Niesiol”) i spółka — machnąłem o tym felieton „Wypróżnianie słów” („Do Rzeczy” 38/2018) — ale rozśmieszając wyrafinowanych sarkazmów czy też „bon-motowych” flesztów nie są zdolni rzucać. Ta ich ułomność jest jawnym świadectwem miałości intelektualnej. Może więc garść „ściągawek” (casusów historycznych) da im podniecie ku wyższym werbalnym lotom. Cytuję niżej parę politycznych ripost godnych przypomnienia:

● Mirabeau, jeden z liderów Zgromadzenia Narodowego podczas Rewolucji Francuskiej, krzyknął z trybuny do swego politycznego adwersarza, Cazalès:

— Zamknę cię w błędnym kole, człowieku!

— Jak to? Chcesz mnie pan objąć? — wycedził Cazalès.

● Lord Durham, współprzewódca wigów (angielskiej Partii Liberalnej), minister gabinetu Greya (1830–1832) i gubernator Kanady (od 1838), miał zwyczaj trzymania lewej ręki w czeluściach kieszeni u spodni. Pewnego razu wkroczył do Izby Lordów z

dzierżonym prawą ręką bilet o pomocy dla rodzin oficerskich, anonując:

— Panowie, oto trzymam w mej dłoni coś, co gruntownie zmieni sytuację wdów po woj-skowych bohaterach!

Na co zareagował książę Wharton:

— W której dłoni, milordzie?...

● Henry Clay i John Randolph, dwaj czołowi amerykańscy senatorowie (pierwsza połowa XIX wieku), stanęli naprzeciwko siebie wewnątrz bardzo wąskiego korytarza. Randolph zgryztał:

— Łajdakom nie ustępuję z drogi!

— A ja zawsze — mruknął Clay, usuwając się na bok.

● Cesarz Napoleon III zdobył władzę dokonując gabinetowego przewrotu. W noc poprzedzającą ów bezkrwawy zamach stanu spytał swą „prawą rękę”, księcia de Morny, czy wszystko zostało tak perfekcyjnie przygotowane, że mają gwarancję sukcesu, a książę spokojnie odparł:

— Mój drogi, jedyną gwarancją, którą mamy, to pewność, że bez względu na to jak się potoczą wydarzenia — ty będziesz miał jutro straż przed swoim progiem.

● U schyłku wieku XIX imperium Habsburgów zwane było Cesarstwem Austro-Wę-



„Mądrej głowie dość dwie słowie”
(przysłowie staropolskie)



gierskim. Gdy arcyksięcia Ottona Habsburga zapytano wówczas czy będzie kibicował na meczu Austria-Węgry, ten zdumiał się:

— Przeciwno komu?...

● Ignacy Paderewski (wielki pianista i polityk-amator) przybywając 3 stycznia 1919 do Warszawy był rozeźlony, bo sympatyzował z endecją, a Komendant Piłsudski po-wołał właśnie lewicowy rząd Moraczewskie-go. Kiedy stawiał się w Belwederze — Naczelnik Państwa, pragnąc go ugłaskać/rozbroić, spytał grzecznie czy „mistrz” nie zechciałby coś zagrać dla niego. Paderewski skrzywił usta i syknął frazę, która nie dała szans porozumieniu:

— Bardzo chętnie, o ile pan zatańczy!

● Gdy Wojciech Trąmpczyński (kilkukrotny „miedzywojenny” marszałek Sejmu i Senatu) znalazł się na znaczku pocztowym, pewien poseł zadzwili:

— I co, szanowny panie marszałku, ze-pchnięto cię do roli znaczka!

Trąmpczyński wydał wargi i fuknął:

— Zrobiono to dlatego, mój panie, żebyś miał zaszczyt polizać mnie od tyłu!

● Podczas rządów Hitlera pewien niemiecki biskup wspominał w mszalnym kazaniu o niekorzystnym wpływie organizacji Hitlerjugend na wychowanie młodzieży. Jakiś członek NSDAP przerwał mu, krzycząc:

— To jest brednia! Ktoś, kto nie ma dzie-ci, nie powinien mędrkować o ich wychowywaniu!

Biskup uśmiechnął się dobrotliwie i od-parł:

— Wypraszam sobie jakąkolwiek krytykę Führera wewnątrz świętego przybytku, moi państwo!

● Pierwsza kobieta w brytyjskim parlamencie, Nancy Astor, nieustannie darła koty z Winstonem Churchillem. Pewnego razu zakończyła ostrą wymianę zdań, syjąc:

— Panie premierze, gdybym była pańską żoną, wlałabym panu truciznę do kawy! Churchill ripostował zimno:

— A ja, gdybym był pani mężem, wypiłbym ją bez namysłu.

● Kiedy królowa Elżbieta II odwiedziła Kanadę na początku lat 70. wieku XX, w trakcie ceremonii pożegnania premier Kanady (Trudeau Senior) ofiarował jej dwa czarne bobry kanadyjskie. Traf chciał, że gdy już kończył mowę laudacyjną, zwierzątkom zebrało się na amory. Trochę speszona królowa spytała, udając nieświadomość:

— Co wyprawia ta para bobrów?...

Pilnujący klatki kanadyjski funkcjonariusz odparł stoicko:

— Nie mam pojęcia, Wasza Królewska Mość, jestem jeszcze kawalerem.

● W najwcześniejszym etapie ustrojowej i ekonomicznej „transformacji” gen. Jaruzelski (pierwszy prezydent III RP, 1990) zaprosił do siebie mocarnych wówczas „liberalów” z Kongresu Liberalno-Demokratycznego (KLD) i spytał ich czy nie ma trzeciej drogi między socjalizmem a kapitalizmem. Odpowiedział mu krótko Andrzej Zawisła („warszawski liberal”, poseł na Sejm, minister przemysłu i handlu):

— Panie generale, trzecia droga to droga do Trzeciego Świata.

Zbliżamy się ku końcowi felietonu i grozi mi oskarżenie, że szowinista Łysiak nie przytacza błyskotliwych ripost kobiecych. Uzupełniam zatem ów brak, rozpoczynając (dla kontynuacji) polityką:

● Na pytanie Hillary Clinton dlaczego USA ciągle nie mogą się doczekać kobiety-prezydenta, Matka Teresa z Kalkuty miała odpowiedzieć:

— Być może wyabortowaliście ją...

● Aktorkę Beatrice Lillie zaczęła na przyjęciu pewna księżniczka, parszkając:

— Nosisz piękny sznur pereł, lecz wątpię czy są prawdziwe. Zezwolisz, bym ugryzła jedną gwoli sprawdzenia?

Aktorka podniosła brwi i wyduła wargę: — Przecież prawdziwych pereł nie nadgryza się sztucznymi zębami!

● Śmiejący się głupekowo gość pubu prosi barmankę:

— Whisky z colą, ale bez lodzika...

Słyszy w odpowiedzi:

— Podać ze słomką, czy pan sobie z buta wyciągnie?...

Za tydzień przytoczę riposty twórców, artystów i wojaków. ©©

Waldemar Łysiak



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**



#GramyDlaKultury

**TOTALIZATOR SPORTOWY MECENASEM
KULTURY NARODOWEJ**